

---

PRACOWITE WAKACJE PANNY MARPLE

---



# Agata Christie

Karaibska tajemnica

---

Wydawnictwo Dolnośląskie



# Karaibska tajemnica

Przełożyła Magdalena Gołaczyńska

Tytuł oryginału: *A Caribbean Mystery*

*Mojemu serdecznemu przyjacielowi*

*Johnowi Cruickshank Rose,*

*na pamiątkę szczęśliwego pobytu*

*w Indiach Zachodnich*

## Rozdział pierwszy

### Opowieść majora Palgrave'a

— Niech pani posłucha tych wszystkich historii o Kenii — rzekł major Palgrave.

— Ludzie wygadują o tym kraju różne rzeczy, chociaż nic o nim faktycznie nie wiedzą. A ja spędziłem tam czternaście lat! Zresztą, najlepszych lat mojego życia.

Panna Marple pokiwała uprzejmie głową. Kiedy major Palgrave ciągnął swoje mało interesujące wspomnienia, starsza pani spokojnie pograżyła się we własnych myślach. Doskonale знаła ten typ opowieści. Zmieniały się tylko szczegóły scenografii. Kiedyś akcja toczyła się zazwyczaj w Indiach. Majorzy, pułkownicy i generałowie używali tego samego słownictwa: Himalaje, Simla, Chotanagpur, służący, posłańcy, tygrysy i tak dalej. Zasób słów majora Palgrave był trochę inny: safari, słonie, suahili, Kikujusi. Jednak zasadniczy schemat pozostawał ten sam, a podstarzały mężczyzna potrzebował słuchacza, aby dzięki wspomnieniom wskrzesić dawne szczęśliwe dni. Czasy, w których chodził wyprostowany, miał bystry wzrok i doskonały słuch.

Niektórzy z gawędziarzy, wciąż przystojni, zachowali coś ze swej żołnierskiej sprawności, inni natomiast byli żałośnie nieatrakcyjni. Major Palgrave, ze swoją zaczerwienioną twarzą, szklanym okiem i sylwetką przypominającą wypchaną żabę, należał niestety do tej drugiej kategorii.

Panna Marple okazywała im wszystkim to samo łagodne współczucie. Słuchała pilnie, od czasu do czasu kiwając ze zrozumieniem głową. Zajmowała się jednocześnie własnymi myślami i cieszyła tym, czym mogła. W tym wypadku rokoszowała się ciemnym błękitem Morza Karaibskiego.

„Kochany Raymond — myślała z wdzięcznością — naprawdę kochany”.

Właściwie dlaczego tak bardzo miałyby się przejmować losem swojej starej ciotki?

Trudno powiedzieć. Może robi to dla spokoju sumienia lub z poczucia rodzinnego obowiązku? Albo może rzeczywiście ją lubi...

Pomyślała, że w zasadzie zawsze ją lubił, ale okazywał to w specyficzny, trochę irytujący sposób — zachowywał się wobec niej protekcjonalnie. Próbował ją edukować i dostosowywać do nowych czasów. Podsuwał jej lektury — nowoczesne, trudne powieści o tych wszystkich nieprzyjemnych ludziach robiących dziwne rzeczy, które bynajmniej nie sprawiały im przyjemności. W czasach młodości panny Marple nie używało się słowa „seks”, ale doprawdy było go mnóstwo i sprawiało ludziom znacznie więcej przyjemności. W każdym razie tak jej się wydawało. Chociaż traktowano go powszechnie jak grzech, to jednak wtedy był czymś lepszym niż obecnie, kiedy uważa się go za rodzaj obowiązku.

Nagle jej wzrok zatrzymał się na otwartej książce, którą trzymała na kolanach.

Udało jej się doczytać do dwudziestej trzeciej strony i naprawdę nie miała ochoty dłużej się męczyć.

— Chcesz powiedzieć, że nie miałaś żadnych doświadczeń seksualnych? —

zapytał młody mężczyzna z niedowierzaniem. — W wieku dziewiętnastu lat? Ależ to konieczne. Niezbędne do życia.

Dziewczyna smutno zwiesiła głowę, kosmyk jej prostych, przetłuszczonych włosów opadł na twarz. — Wiem o tym — wybąkała. — Wiem.

Spojrzał na nią, na jej poplamiony sweter, bose stopy, brudne paznokcie u nóg; poczuł przykry zapach potu... Zastanawiał się, dlaczego wydawała mu się tak niezwykle pociągająca.”

Panna Marple też się nad tym zastanawiała! Doświadczenia seksualne były młodym ludziom tak potrzebne, jak racjonalne żywienie. Biedactwa!

„Cioteczko Jane, dlaczego uparcie chowasz głowę w piasek jak zadowolony z siebie struś? Zaszłyś się na wsi i ograniczasz się do swojego sielskiego otoczenia.

Prawdziwe życie — oto co się liczy”.

Tak mawiał Raymond, a cioteczka Jane skwapliwie mu przytakiwała. Niestety, obawiała się, że faktycznie była dosyć staromodna.

W rzeczywistości jednak jej życie na wsi dalekie było od sielanki. Ludzie tacy jak Raymond nie mieli o tym pojęcia. Biorąc udział w życiu publicznym swojej małej parafii, panna Marple zdobyła całkiem rozległą wiedzę na temat bliźnich. Nie miała potrzeby mówić o tym, ani tym bardziej pisać, wielu rzeczy była jednak świadoma. Na przykład seks — nie brakowało go na wsi — pojawiał się w wersji „normalnej” i sprzecznej z naturą. Gwałty, kazirodztwo, zboczenia różnego typu. Doprawdy, o niektórych z nich nie słyszeli chyba nawet ci utalentowani młodzi pisarze z Oxfordu!

Panna Marple wróciła myślą na Karaiby i podchwyciła wątek opowieści majora Palgrave’a.

— Miał pan niezwykle doświadczenia — zauważyła zachęcająco. — Wyjątkowo ciekawe.

— Och, mógłbym opowiedzieć pani znacznie więcej. Oczywiście, niektóre z tych historii nie nadają

się do powtarzania w towarzystwie dam.

Nauczona wieloletnią praktyką, panna Marple spuściła skromnie wzrok i zatrzepotała rzęsami. Major Palgrave zaprezentował więc ocenioną wersję opisu obyczajów plemiennych, podczas gdy jego towarzyszka powróciła do rozmyślań o swoim ukochanym siostrzeńcu. Raymond West, popularny, dobrze zarabiający powieściopisarz, z pełnym oddaniem starał się pomagać swojej leciwej ciotce.

Podczas ostatniej zimy panna Marple chorowała na zapalenie płuc i lekarze zalecili jej dużo słońca. Raymond wielkopańskim gestem zaproponował wycieczkę do Indii Zachodnich. Panna Marple wahała się — narzekała na koszty, trudy dalekiej podróży, wreszcie obawiała się pozostawić swój dom w St. Mary Mead. Jednak Raymond ze wszystkim sobie poradził. Jego przyjaciel, pisarz, poszukiwał spokojnego miejsca na wsi, gdzie mógłby popracować nad książką. „Zaopiekuje się twoim domem, to prawdziwy domator. Jest może trochę dziwny... to znaczy, chciałem powiedzieć...” Przerwał zakłopotany, bo nawet cioteczka Jane musiała słyszeć o „dziwnych” mężczyznach\*. Przeszedł więc do omawiania pozostałych szczegółów: podróż w dzisiejszych czasach to drobiazg. Ciocia miała polecieć samolotem. Inna znajoma Raymonda, Diana Horrocks, leciała właśnie do Trynidadu i mogła zaopiekować się starszą panią, a później, już na wyspie St. Honoré, ciocia miała zatrzymać się w hotelu Złota Palma. Prowadzili go Sandersonowie, najmiłsi ludzie na świecie, którzy na pewno się nią zajmą. Raymond natychmiast do nich napisał.

Jak to w życiu bywa, Sandersonowie przenieśli się z powrotem do Anglii, ale ich następcy, Kendalowie okazali się równie mili i życzliwi. Zapewnili Raymonda, że nie musi się martwić o swoją ciotkę. Na wyspie mieszka bardzo dobry lekarz, który przyjdzie w razie potrzeby z pomocą, a oni sami będą się nią opiekować i dopilnują, aby jej niczego nie brakowało.

Rzeczywistość potwierdziła przypuszczenia: Kendalowie okazali się bardzo sympatyczni. Molly Kendal była dwudziestokilkuletnią blondynką, szczerą, otwartą i zawsze w pogodnym nastroju. Serdecznie przyjęła starszą panią i zrobiła wszystko, aby uprzyjemnić jej pobyt. Uprzejmy był także mąż Molly, Tim Kendal, szczupły, ciemnowłosy trzydziestolatek.

A więc znajdowała się na Karaibach, z dala od surowego angielskiego klimatu, mając do swej dyspozycji ładny bungalow i przyjaźnie uśmiechnięte miejscowe dziewczęta, zawsze gotowe pomóc. Był również Tim Kendal, który witał ją z uśmiechem w restauracji i doradzał wybór potraw, oraz wygodna ścieżka prowadząca z jej bungalowu nad morze i plażę, gdzie mogła przesiadywać w wiklinowym fotelu i obserwować kąpiących się. Miała także kilku innych starszków do towarzystwa: pana Rafiela, doktora Grahama, pastora Prescottta z siostrą oraz swego obecnego rozmówcę, majora Palgrave’a.

Czegóż więcej mogła sobie życzyć starsza pani?

Panna Marple czuła się winna i ze skrucą wyznawała przed sobą, że nie była tak zadowolona, jak należało.

Ślicznie i ciepło (och, słońce ma zbawienny wpływ na jej reumatyzm!), piękne krajobrazy... Chociaż może trochę monotonne — zbyt dużo palm. Każdy dzień wygląda tak samo i nic się nie dzieje. Inaczej niż w jej rodzinnym St. Mary Mead, gdzie zawsze coś się wydarzyło. Siostrzeniec porównał kiedyś

życie na wsi do piany na powierzchni stawu, a ona oburzona odpowiedziała, że gdyby poobserwować pianę pod mikroskopem, można by zauważyć mnóstwo ciekawych rzeczy. Naprawdę, w St.

Mary Mead zawsze coś się działo... Panna Marple przypominała sobie różne wydarzenia: błąd aptekarza przy przygotowywaniu mikstury na kaszel starszej pani Linnett, dziwaczne zachowanie młodego Polegate'a, przyjazd matki Georgy'ego Wooda (czy ta kobieta rzeczywiście była jego matką?), kłótnię między Joe Ardenem a jego żoną... Tyle ciekawych ludzkich spraw, które dają pretekst do nie kończących się spekulacji. Och, gdyby tutaj zdarzyło się coś intrygującego!

Nagle zdała sobie sprawę, że major Palgrave przeniósł swoją opowieść z Kenii w okolice Afganistanu, na tereny pogranicza północno-zachodniego, gdzie służył jako młodszy oficer. Z całą powagą zadawał jej teraz pytanie:

— Czy pani się z tym zgadza?

Długoletnia praktyka nauczyła pannę Marple radzić sobie również w takich sytuacjach.

— Sądzę, że nie mam wystarczającego doświadczenia, aby to właściwie osądzić.

Obawiam się, że zawsze wiodłam ciche i spokojne życie.

— I tak być powinno, droga pani! Tak powinno być! — zawołał major z należytą galanterią.

— Pana życie było za to niezwykle urozmaicone — ciągnęła panna Marple, w ramach zadośćuczynienia za wcześniejszy brak uwagi.

— Nie najgorsze — przyznał z dumą major. — Naprawdę całkiem niezłe. —

Rozejrzał się wokół i powiedział pełen uznania: — Urocze miejsce.

— Tak, rzeczywiście — zgodziła się panna Marple, ale nie mogła się powstrzymać, aby nie dorzucić: — Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek coś się tutaj dzieje...

Major Palgrave wpatrywał się w nią zaskoczony.

— Ależ tak! Mamy mnóstwo skandali, na przykład... Właściwie, dlaczego nie miałbym pani opowiedzieć?

Nie były to jednak skandale, jakich pragnęła panna Marple. W obecnych czasach nie zdarza się nic prawdziwie intrygującego. Kobiety i mężczyźni zupełnie jawnie zmieniają swoich partnerów, zamiast zachować odrobinę przyzwoitości i wstydliwie taką sprawę zatuszować.

— Kilka lat temu popełniono tu nawet morderstwo — opowiadał major. — Słynna sprawa Harry'ego Westerna. Gazety zrobiły z tego sensację. Zapewne pamięta pani tę historię...

Panna Marple pokiwała głową bez entuzjazmu. To nie był ten rodzaj morderstw, który ją interesował.

Sprawa została nagłośniona, ponieważ dotyczyła bogatych ludzi.

Wydawało się bardzo prawdopodobne, że Harry Western zastrzelił hrabiego Ferrari, kochanka swojej żony, a potem opłacił sobie spreparowanie doskonałego alibi.

Wszyscy świadkowie byli podobno pijani, niektórzy znajdowali się nawet pod wpływem narkotyków. Zdaniem panny Marple to zupełnie nieciekawa sprawa, chociaż trzeba przyznać, że zrobiono z niej sensacyjne widowisko. Jednak takie rzeczy zupełnie jej nie interesowały.

— Jeśli chce pani wiedzieć, nie było to jedyne morderstwo w tamtym czasie —

pokiwał głową i mrugnął do niej porozumiewawczo. — Mam pewne podejrzenia...

Och!

Panna Marple upuściła kłębek wełny, a major rzucił się, aby go podać.

— Skoro już mówimy o morderstwach — podjął opowieść — kiedyś natknąłem się... właściwie nie osobiście, na bardzo dziwną sprawę.

Starsza pani uśmiechnęła się zachęcająco.

— Pewnego dnia zebrało się w klubie większe towarzystwo. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, wie pani, jak to jest. Znajomy lekarz zaczął opowiadać o jednym ze swoich przypadków. Kiedyś w środku nocy zapukał do niego młody człowiek, który powiedział, że jego żona się powiesiła. Nie mieli telefonu, więc sam ją odciął i zrobił

co mógł, a potem wsiadł do samochodu i ruszył na poszukiwania lekarza. Żyła jeszcze, ale niewiele brakowało... W każdym razie wyszła z tego. Młody człowiek, który uwielbiał żonę, płakał jak dziecko. Zauważył, że od pewnego czasu zachowywała się dziwnie i miała napady depresji. Może dlatego... Potem wszystko jakby wróciło do normy, ale mniej więcej miesiąc po wypadku jego żona przedawkowała tabletki nasenne i tym razem zmarła. Smutna historia.

Major Palgrave przerwał i pokiwał głową. Panna Marple czekała cierpliwie, ponieważ opowieść najwyraźniej jeszcze się nie skończyła.

— Wydawałoby się, że na tym koniec. Nic dodać, nic ująć. Po prostu neurotyczka.

Zdarzają się takie przypadki. Jednak w rok później ten znajomy lekarz wymieniał

doświadczenia z innym lekarzem, swoim kolegą. Tamten opowiedział mu o kobiecie, która próbowała się utopić, ale jej mąż wyłowił ją, sprowadził lekarza i razem ją odratowali, a po kilku tygodniach ona otruła się gazem. Czyżby zbieg okoliczności?

Identyczna historia. Mój kolega powiedział: „Miałem taki sam przypadek. Mężczyzna nazywał się Jones (może wymienił tu inne nazwisko), a ten twój, jak się nazywał?” Drugi lekarz nie potrafił sobie przypomnieć. „Chyba Robinson — powiedział — ale na pewno nie Jones”.

— No więc obaj koledzy popatrzyli na siebie i stwierdzili, że to dosyć dziwne.

Wtedy ten mój znajomy wyciągnął zdjęcie i pokazał je drugiemu lekarzowi. „To on, powiedział, zrobiłem to zdjęcie dzień po wypadku, kiedy przyjechałem spisać ich dane osobiste. Przy drzwiach wejściowych zobaczyłem wspaniały okaz hibiskusa, odmianę, której nigdy wcześniej nie widziałem w tym kraju. Miałem akurat w samochodzie aparat i zrobiłem zdjęcie hibiskusa. W tej właśnie chwili mężczyzna pojawił się w drzwiach, więc przypadkowo znalazł się na fotografii. Nawet chyba tego nie zauważył. Zapytałem go o nazwę tej odmiany, ale nie potrafił mi odpowiedzieć”.

Drugi lekarz spojrział na zdjęcie i powiedział: „Jest trochę zamazane, ale mógłbym przysiąc, w każdym razie jestem prawie pewien, że to ten sam człowiek”.

Nie wiem, czy było w tej sprawie jakieś dochodzenie. Jeżeli nawet, to i tak prowadziło ono donikąd. Myślę, że pan Jones lub Robinson zbyt dobrze zacierał za sobą ślady. W każdym razie dziwna historia, prawda? Trudno uwierzyć, że takie rzeczy się zdarzają.

— Ależ tak, zdarzają się — stwierdziła panna Marple spokojnie. — Praktycznie każdego dnia.

— Och, nie wierzę! To brzmi zbyt fantastycznie.

— Jeśli już człowiek opracuje jakąś metodę, która się sprawdza, kiedy wszystko idzie po jego myśli, to nic go nie powstrzyma przed powtórzeniem morderstwa.

— Jak w przypadku *Panien młodych w wannie*?

— Właśnie. To tego typu historia.

— Znajomy lekarz pozwolił mi zatrzymać tę fotografię jako ciekawostkę.

Major Palgrave zaczął szperać w swoim wypchanym portfelu, mruczając pod nosem:

— Tyle tu rzeczy... nie wiem, po co je wszystkie trzymam...

Panna Marple natomiast wiedziała. Te rzeczy spełniały rolę rekwizytów, czy raczej materiałów pomocniczych ilustrujących opowieści, które major miał w swoim repertuarze. Podejrzewała, że usłyszana przed chwilą historia mogła być inna w oryginale, a potem przekształciła się za sprawą wielokrotnego powtarzania. Major nadal przebierał palcami i mamrotał do siebie:

— Zapomniałem już o tej całej sprawie. To była piękna kobieta, nigdy by pani nie podejrzewała... No tak, ale to mi przypomina coś innego... Jakie ciosy! Muszę je pani pokazać...

Przerwał, wydobyl niewielkie zdjęcie i zaczął mu się przypatrywać.

— Chce pani zobaczyć zdjęcie mordercy?

Już miał jej podać fotografię, kiedy zatrzymał się niemal w połowie gestu. W tej chwili major jeszcze bardziej niż zwykle przypominał wypchaną żabę. Wydawało się, że utkwiał wzrok gdzieś ponad jej



prawym ramieniem. Z tamtej strony dobiegał stukot czyichś kroków i jakieś glosy.

— Ach, do diabła! — wykrzyknął. — To znaczy... — Wcisnął wszystko z powrotem do portfela i wepchnął do kieszeni. Jego twarz przybrała jeszcze mocniejszy odcień purpury. Odezwał się nienaturalnie głośno:

— No więc, jak mówiłem, zależało mi, aby pokazać pani te ciosy. To był największy słoń, jakiego w życiu zastrzeliłem! Patrzcie, a kogo my tutaj mamy! — zawołał teraz z udawaną serdecznością. — Nasz wspaniały kwartet! Jak się udał dzisiejszy dzień i przygody z fauną i florą?

Do rozmawiających zbliżyła się czwórka gości, których panna Marple знаła z widzenia. Były to dwie pary małżeńskie. Co prawda nie znała jeszcze ich nazwisk, ale wiedziała już, że wielki mężczyzna z niesamowicie gęstą, popielatą czupryną to Greg, a ta jasna blondynka to jego żona Lucky. Druga para — ciemnowłosa, szczupły mężczyzna i ładna, ogorzała na twarzy kobieta — to Edward i Evelyn. Panna Marple wywnioskowała, że byli botanikami i zajmowali się także ptakami.

— Mieliliśmy wyjątkowego pecha — odpowiedział Greg.

— W każdym razie nie udało nam się dotrzeć do tego, czego szukaliśmy.

— Znają państwo pannę Marple? Oto pułkownik Hillingdon i jego żona oraz Greg i Lucky Dysonowie.

Przywitali się uprzejmie, po czym Lucky zawołała, że umrze, jeśli nie dostanie drinka natychmiast albo jeszcze wcześniej.

Greg przywołał Tima Kendala, który siedział w pobliżu i przeglądał z żoną księgi rachunkowe.

— Tim, podaj nam, proszę, drinki — tu zwrócił się do swojej grupki: — poncz dla wszystkich?

Okazali się jednomyślni.

— Czy dla pani także? — zapytał pannę Marple. Podziękowała i poprosiła o sok z limony.

— Proszę bardzo: sok z limony i pięć razy poncz. Tim przyniósł zamówione napoje.

— Usiądziesz z nami, Tim?

— Żałuję, ale nie mogę. Muszę doprowadzić do porządku te rachunki. Nie mogę zostawić wszystkiego na głowie Molly. Przy okazji, zapraszam państwa serdecznie na wieczorny dancing. Będzie orkiestra.

— Świetnie! — zawołała Lucky. — O cholera — skrzywiła się — cała jestem w kolcach. Edward

umyślnie wepchnął mnie na ciernisty krzak.

— Na uroczę różowe kwiatuszki — sprostował Hillingdon.

— I uroczę długie kolce. Jesteś brutalem i sadystą, Edwardzie.

— Nie to co ja — powiedział z uśmiechem Greg. — Ja jestem prawdziwym aniołem.

Evelyn Hillingdon usiadła obok panny Marple i zaczęła z nią uprzejmie gawędzić.

Panna Marple położyła robótkę na kolanach. Powoli, z pewnym wysiłkiem, spowodowanym bólami reumatycznymi, odwróciła głowę przez swoje prawe ramię.

W niewielkiej odległości znajdował się ogromny bungalow zajmowany przez zamożnego pana Rafiela. Wydawało się jednak, że teraz nikogo tam nie było.

Odpowiadała grzecznie na pytania Evelyn (och, doprawdy, jacy ludzie potrafią być sympatyczni dla starszej pani!), a jednocześnie badała uważnie twarze dwóch siedzących mężczyzn. Edward Hillingdon sprawiał miłe wrażenie — cichy i czarujący. Natomiast Greg był wielkim, hałaśliwie wesołym chłopakiem. On i Lucky to chyba Kanadyjczycy albo Amerykanie.

Popatrzyła na majora Palgrave'a, który nadal zachowywał się zbyt teatralnie, odgrywając dobrotliwego staruszka.

Interesujące...

## **Rozdział drugi**

# Skojarzenia panny Marple

Tego wieczoru w hotelu Złota Palma było bardzo wesoło. Panna Marple siedziała przy swoim stoliku w rogu sali i rozglądała się ciekawie wokół. Sala restauracyjna była przestronna i połączona z tarasem, skąd napływało ciepłe, aromatyczne powietrze karaibskie. Wnętrze oświetlały stojące na stolikach małe lampki w pastelowych kolorach. Większość pań założyła wieczorowe suknie — lekkie tkaniny odsłaniały ich opalone na brązowo ramiona. Przed wyjazdem panna Marple została w delikatny sposób namówiona przez Joan, żonę swego siostrzeńca, do przyjęcia czeku opiewającego na „niewielką sumkę”.

— To dlatego ciociu Jane, że będzie tam dosyć ciepło — tłumaczyła Joan — a nie sądzę, żebyś miała jakieś letnie stroje.

Panna Marple podziękowała i przyjęła czek. W jej czasach wydawało się naturalne zarówno to, że starsi wspierali finansowo młodych, jak również, że osoby, w średnim wieku opiekowały się starszymi. Nie potrafiła jednak zmusić się do kupienia czegoś naprawdę letniego. W jej wieku rzadko kiedy było człowiekowi gorąco, nawet przy najpiękniejszej pogodzie, a na St. Honoré nie panowały prawdziwie tropikalne upały.

Tego wieczoru ubrała się więc zgodnie ze zwyczajami starszych pań z angielskiej prowincji — w popielate koronki.

Nie znaczyło to bynajmniej, że była jedyną starszą osobą w towarzystwie. Na sali znajdowali się przedstawiciele różnych grup wiekowych i narodowości: leciwi magnaci z młodymi, trzecimi lub czwartymi z kolei żonami oraz małżeństwa w średnim wieku z północnej Anglii. Z Caracas przyjechała wesoła rodzinka z dziećmi, a inna przyleciała aż z Chin. Wielu gości pochodziło z różnych krajów Ameryki Południowej — wszędzie słyhać było ich głośne rozmowy po hiszpańsku i portugalsku. Natomiast dwóch duchownych, jeden lekarz i emerytowany sędzia godnie reprezentowali starą, angielską tradycję.

Salę obsługiwały głównie dziewczęta — wysokie, ciemnoskóre, o dumnych sylwetkach, ubrane w lśniąca biel. Poza tym był jeszcze francuski kelner odpowiedzialny za wina i doświadczony włoski szef sali. Nad całością czuwał uważny Tim Kendal, doglądając wszystkiego i zatrzymując się od czasu do czasu przy stolikach, aby zamienić miłe słówko z gośćmi. Pomagała mu w tym jego żona, Molly.

Ta ładna dziewczyna, o pięknych naturalnie złotych włosach, była zawsze promiennie uśmiechnięta i rzadko się denerwowała. Cieszyła się ogromną sympatią wśród swoich pracowników i świetnie radziła sobie ze wszystkimi gośćmi — żartowała kokieteryjnie ze starszymi panami, a młodym kobietom prawiała komplementy na temat ich strojów.

— Och, cóż za elegancka suknia — powiedziała do pani Dyson. — Zazdroszczę pani, sama bardzo bym taką chciała..

Zdaniem panny Marple, Molly wyglądała znakomicie we własnej sukni, białej i wąskiej, z bladozielonym, haftowanym szalem jedwabnym zarzuconym na ramiona.

Lucky dotknęła właśnie tego szala:

— Cudowny kolor! — zawołała — chciałabym mieć taki sam.

— Można go kupić w naszym hotelowym sklepie — odpowiedziała Molly i ruszyła do innych gości. Nie zatrzymała się przy stoliku panny Marple. Zajmowanie się starszymi paniami pozostawiała zwykle swojemu mężowi. „Staruszki wołają mężczyzn” — mawiała.

Tim Kendal podszedł do panny Marple i ukłonił się:

— Czy ma pani jakieś specjalne życzenie? — zapytał. — Proszę je tylko wypowiedzieć, a natychmiast zostanie spełnione. Możemy przygotować, co pani zechce. Przypuszczam, że nasze hotelowe menu, dostosowane do tropikalnego klimatu, nie jest tym, do czego przywykła pani w domu.

Panna Marple uśmiechnęła się i powiedziała, że obce potrawy to jedna z przyjemności, jakie czekają na turystę za granicą.

— Cieszę się, lecz jeśli jest cokolwiek, co mógłbym...

— Na przykład?

— No cóż... — Tim Kendal był trochę zbity z tropu. — Może pudding? —

zaryzykował.

Panna Marple odrzekła z uśmiechem, że pudding nie jest jej do szczęścia potrzebny, wzięła łyżeczkę i zaczęła ze smakiem zjadać swój ulubiony deser lodowy z owocami tropikalnymi.

Wtedy zagrała zamówiona na ten wieczór orkiestra. Głośną muzykę wykonywaną przez zespół instrumentów perkusyjnych uważano za jedną z głównych atrakcji Karaibów. Szczerze powiedziawszy, panna Marple znakomicie mogłaby się bez niej obyć. Uważała, że jest to kakofonia dźwięków, w dodatku stanowczo zbyt głośnych.

Najwyraźniej jednak wszystkim obecnym taka muzyka się podobała. Panna Marple, jako osoba młoda duchem, postanowiła spróbować polubić ten okropny hałas, skoro już musiała go słuchać. Nie mogła przecież poprosić Tima Kendala, aby wyczarował

dla niej jakimś cudem melodię Nad pięknym, modrym Dunajem.

Ach, walc to taki wdzięczny taniec. Zupełnie inny niż te dziwne współczesne tańce. Teraz ludzie rzucali się po parkiecie to tu, to tam, przyjmując nienaturalnie powykrzywiane pozy. „No cóż — pomyślała — widać sprawia to młodym przyjemność...” Nagle zreflektowała się, ponieważ zauważyła, że na sali było bardzo niewiele naprawdę młodych osób. Zabawa przy głośnej muzyce i kolorowych światłach to coś dla młodzieży. Ale gdzie są ci młodzi ludzie? Zapewne studiują na uniwersytetach albo ciężko pracują, mając tylko dwa tygodnie urlopu w roku. Karaiby były dla nich zbyt odległe i za drogie. Zabawne, bez troskie życie to przywilej trzydziesto— lub raczej czterdziestolatków, dojrzałych mężczyzn, którzy próbują zaszaleć, aby dostosować się do swoich

młodych żon. Swoją drogą to bardzo smutne... Panna Marple zatęskniła za młodymi. Była tu oczywiście pani Kendal —

ona nie miała więcej niż dwadzieścia dwa, może trzy lata i wyglądała na osobę, która dobrze się bawi. Ale przecież na tym polegała jej praca.

Przy sąsiednim stoliku siedział pastor Prescott z siostrą. Poprosili pannę Marple, aby przysiadła się i wypila z nimi kawę. Przyjęła zaproszenie. Panna Prescott była szczupłą, surową kobietą, natomiast pastor — okrągłym, rumianym i wielce dobrotliwym mężczyzną.

Podano kawę. Odsunęli trochę krzesła od stolików. Panna Prescott otworzyła torbę z robótką i wyjęła z niej jakieś wyjątkowo brzydkie serwetki, które zamierzała obrębiać. Opowiedziała pannie Marple, jak spędzili z bratem ten dzień. Rano odwiedzili nową szkołę dla dziewcząt, a po południu, po chwili odpoczynku, poszli obejrzeć plantację trzciny cukrowej oraz wypili herbatę z przyjaciółmi, którzy zatrzymali się w pobliskim pensjonacie.

Prescottowie mieszkali w Złotej Palmie dłużej niż panna Marple, dlatego też mogli opowiedzieć jej coś niecoś o pozostałych gościach.

— Ten bardzo leciwy już mężczyzna, to pan Rafiel — wyjaśniła panna Prescott. —

Przyjeżdża tutaj co roku. Jest niewiarygodnie bogaty! Właściciel wielkiej sieci supermarketów w północnej Anglii. Młoda kobieta, która mu towarzyszy, to jego sekretarka, Esther Walters, wdowa. Oczywiście nie ma w tym nic niestosownego, przecież on ma prawie osiemdziesiątkę!

Panna Marple skinęła ze zrozumieniem głową, akceptując stosowność tej sytuacji.

Pastor dorzucił:

— Bardzo sympatyczna młoda osoba. Zdaje się, że jej matka jest również wdową i mieszka w Chichesterze.

— Pan Rafiel ma też ze sobą służącego, właściwie pielęgniarza. To podobno wykwalifikowany masażysta. Nazywa się Jackson. Biedny pan Rafiel jest praktycznie sparaliżowany. To smutne, taki bogaty i taki chory.

— Ale hojny i skory do pomocy bliźnim — zauważył pastor z aprobatą.

Goście zaczęli się już przemieszczać. Niektórzy odsuwali się od grającego zespołu, inni tłoczyli się w jego pobliżu. Major Palgrave przyłączył się do Hillingdonów i Dysonów.

— No a ci państwo... — mówiła panna Prescott, zniżając głos, zupełnie zresztą niepotrzebnie, ponieważ muzyka z łatwością ją zagłuszała.

— Tak? Właśnie miałam o nich zapytać.

— Byli tutaj także podczas ostatnich wakacji. Spędzają w Indiach Zachodnich trzy miesiące w roku,

podróżując po różnych wyspach. Ten wysoki mężczyzna to pułkownik Hillingdon, a ta ciemnowłosa kobieta to jego żona, oboje są botanikami.

Drugie małżeństwo, państwo Dysonowie są Amerykanami. On pisze o motylach, a wszyscy razem interesują się ptakami.

— To dobrze, kiedy hobby pozwala ludziom przebywać na świeżym powietrzu —

powiedział jowialnie pastor.

— Jeremy, nie sądzę, aby oni byli zadowoleni słysząc, że nazywasz ich zajęcie

„hobby” — zauważyła siostra pastora. — Publikowali artykuły w „National Geographic” i „Royal Horticultural Journal”. Traktują to bardzo poważnie.

Od strony stolika, który właśnie obserwowali, dobiegł ich gromki śmiech. Był tak donośny, że zagłuszył nawet grającą orkiestrę. Gregory Dyson odchylił się na krześle i uderzał dłonią w stół, jego żona protestowała, a major Palgrave opróżnił swoją szklaneczkę i przyklaskiwał im.

W tym momencie trudno byłoby ich uznać za poważnych ludzi.

— Major Palgrave nie powinien tyle pić — rzekła, panna Prescott z przekąsem. —

Ma nadciśnienie.

Rozbawione towarzystwo dostało właśnie następną kolejkę ponczu.

— To miło dowiadywać się czegoś nowego o ludziach — zauważyła panna Marple. — Na przykład ta czwórka... kiedy poznałam ich dzisiaj po południu, nie byłam pewna, która z tych pań jest czyją żoną.

Zapadła chwila ciszy. Panna Prescott zakaszła cichutko i odezwała się:

— No cóż, jeśli o to chodzi...

— Joan! — zawołał pastor ostrzegawczo. — Chyba nie powinnaś już nic więcej mówić.

— Doprawdy Jeremy, nie zamierzałam powiedzieć nic szczególnego. Tylko tyle, że w ubiegłym roku byliśmy z jakiegoś powodu przekonani, że pani Dyson jest panią Hillingdon, dopóki ktoś nie wyprowadził nas z błędu.

— To dziwne, jak łatwo ulegamy mylnym wrażeniom, prawda? — stwierdziła panna Marple niewinnie i popatrzyła pannie Prescott prosto w oczy. Kobiety wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Człowiek bardziej wrażliwy niż pastor Prescott mógłby uznać, że przeszkadza tym dwóm paniom. Przesłały sobie oczami jeszcze jeden bezgłośny sygnał: „porozmawiamy innym razem”.

— Pan Dyson nazywa swoją żonę Lucky. Czy to jej prawdziwe imię, czy tylko przydomek? —

zapytała panna Marple.

— To chyba nie jest prawdziwe imię.

— Zapytałem kiedyś o to — przyznał pastor. — Wyjaśnił, że nazywa ją Lucky, ponieważ przynosi mu szczęście\*. Gdyby stracił żonę, szczęście także by go opuściło.

„Ładnie powiedziane”, pomyślałem.

— Lubi żarty — zauważyła panna Prescott.

Pastor popatrzył na siostrę bez przekonania.

Muzycy postanowili zagłuszyć samych siebie, wybuchając dziką kakofonią dźwięków. Jednocześnie na parkiet wbiegła grupa tancerzy. Panna Marple, podobnie jak inni goście, odwróciła krzesło, aby na nich popatrzeć. Tancerze podobali jej się znacznie bardziej niż muzycy. Lubiła obserwować migające w tańcu stopy i rytmicznie kołyszące się ciała. Było w tych ruchach tyle niezwyklej energii.

Tego wieczoru po raz pierwszy poczuła się w nowym otoczeniu jak w domu.

Sądziła już, że utraciła swoją zwykłą umiejętność wyszukiwania u nowych znajomych cech dobrze znanych jej osób. Początkowo oszołomiły ją zapewne te jaskrawe barwy i egzotyczne stroje. Teraz poczuła jednak, że wreszcie będzie mogła przeprowadzić kilka ciekawych porównań.

Molly Kendal na przykład, kojarzyła jej się z tą sympatyczną dziewczyną (nie potrafiła sobie przypomnieć jej imienia), która pracowała jako konduktorka w autobusie do Market Basing. Zawsze pomagała pasażerom przy wsiadaniu i nigdy nie sygnalizowała odjazdu, dopóki nie upewniła się, że wszyscy bezpiecznie siedzieli.

Tim Kendal przypominał trochę szefa sali w restauracji Royal George w Medchesterze. Pewny siebie, a jednocześnie podenerwowany. Pamiętała, że tamten kelner miał wrzody. Major Palgrave natomiast nie wyróżniał się niczym z grupy znanych jej wojskowych: generała Leroya, kapitana Flemminga, admirała Wicklowa i komendanta Richardsona. Postanowiła zająć się kimś ciekawszym, na przykład Gregiem. Miała kłopoty z jego oceną, ponieważ był Amerykaninem... może odrobinę podobnym do zabawnego sir George'a Trollope'a, który opowiadał dowcipy na zebraniach obrony cywilnej, albo do pana Murdocha. Rzeźnik Murdoch miał raczej złą reputację, ale niektórzy twierdzili, że tylko za sprawą plotek, które sam lubił

rozpuszczać. Teraz kolej na Lucky. Cóż, prosta sprawa — przypominała jej Marleen z Trzech Koron. Evelyn Hillingdon? Nie budziła jednoznacznych skojarzeń. Z wyglądu pasowała do wielu ról — wysokie, szczupłe i ogorzałe Angielki nie należały do rzadkości. Trochę była podobna do lady Caroline Wolfe, pierwszej żony Petera Wolfe'a, która popełniła samobójstwo. A może do cichej Leslie James, która rzadko kiedy pokazywała, co naprawdę czuje, aż nagle sprzedała dom i wyjechała z miasteczka, nie wyjawwszy nawet nikomu swoich zamiarów. A pułkownik Hillingdon? Trudno powiedzieć. Będzie musiała go najpierw trochę lepiej poznać.

Typowy cichy mężczyzna o dobrych manierach. Nigdy nie wiadomo, co tacy ludzie myślą, jednak

czasem potrafią zaskoczyć otoczenie. Pamiętała, jak pewnego dnia spokojny major Harper poderżnął sobie gardło. Nikt nie wiedział dlaczego. Panna Marple знаła chyba odpowiedź, ale nigdy nie miała całkowitej pewności.

Zerknęła w kierunku stolika pana Rafiela. Wiedziała już, że był niesamowicie bogaty (o tym mówili wszyscy) i co roku przyjeżdżał do Indii Zachodnich. Poza tym był na wpół sparaliżowany i wyglądał jak stary, nastroszony drapieżny ptak. Ubranie zwisało luźno na jego pomarszczonym ciele. Mógł mieć siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, ale równie dobrze i dziewięćdziesiąt lat. Przebiegły wzrok zdradzał

cechy jego charakteru. Pan Rafael często zachowywał się opryskliwie, lecz ludzie prawie nigdy nie czuli się tym urażeni. Brak dobrych manier usprawiedliwiała jego wielkie bogactwo, a także przytłaczająca osobowość, dzięki której pan Rafael hipnotyzował otoczenie. Wszyscy czuli, że ma prawo być niegrzeczny, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

Obok siedziała jego sekretarka, pani Walters — kobieta o sympatycznej twarzy i płowych włosach. Pan Rafael był równie często niegrzeczny wobec niej, lecz ona jakby tego nie zauważała. Okazywała mu nie tyle służalczość, co chłodną obojętność, zachowując się jak dobrze wyszkolona pielęgniarka. Może nią zresztą była. Do pana Rafiela podszedł właśnie wysoki, przystojny młody człowiek w białej marynarce i stanął przy jego krześle. Starszy pan spojrzał na niego, skinął głową i wskazał mu wolne miejsce. Młody człowiek usiadł posłusznie. Panna Marple domyśliła się, że to ten prywatny masażysta, pan Jackson. Przyjrzała mu się uważnie.

\*

Molly Kendal stanęła za barem. Rozprostowała plecy i zsunęła z nóg buty na wysokim obcasie. Od strony tarasu przyszedł Tim i dołączył do niej. Przez chwilę byli sami.

— Jesteś zmęczona, kochanie? — zapytał.

— Odrobinę. Jakoś wyjątkowo bolą mnie nogi.

— Czy ta praca nie jest dla ciebie za ciężka? Masz przecież tyle obowiązków. —

Spojrzał na nią z niepokojem.

Roześmiała się.

— Och Tim, nie żartuj! Uwielbiam to miejsce. Jest cudownie. Moje marzenia wreszcie się spełniły.

— Owszem, wszystko wygląda świetnie, kiedy jest się gościem. Jednak prowadzenie hotelu to ciężka praca.

— No cóż, niczego nie zdobywa się bez wysiłku — zauważyła Molly rozsądnie.

Tim zmarszczył brwi.



— Myślisz, że dobrze nam idzie? Czy zrealizują się nasze marzenia?

— Oczywiście, że tak.

— A nie obawiasz się, że ludzie mówią: „To już nie ten sam hotel, co za czasów Sandersonów”?

— Naturalnie, zawsze znajdzie się ktoś, kto tak powie. Jakiś stary, niezadowolony wapniak na przykład. Ale zapewniam cię, że prowadzimy ten interes znacznie lepiej niż Sandersonowie. Jesteśmy wspaniali. Ty oczarowujesz starsze panie i sprawiasz wrażenie, jakbyś koniecznie chciał nawiązać z tymi pięćdziesięciolatkami romans. Ja natomiast kokietuję starszych panów, aby poczuli się nadal atrakcyjni i pociągający lub też odgrywam rolę słodkiej córeczki wobec tych bardziej sentymentalnych. Och, mamy to wszystko doskonale opanowane.

Tim rozpogodził się.

— Cieszę się, że tak myślisz. Trochę się bałem, bo zaryzykowaliśmy bardzo wiele.

Rzuciłem przecież pracę...

— I dobrze zrobiłeś — przerwała Molly. — Marnowałeś się tam.

Roześmiał się i pocałował ją w czubek nosa.

— Powiedziałam ci już, że wszystko mamy opanowane — powtórzyła. —

Dlaczego ciągle się martwisz?

— Widać taką już mam naturę. Nie mogę przestać o tym myśleć. A gdyby stało się coś złego?

— Co na przykład?

— No, nie wiem... ktoś mógłby się utopić.

— Nie tutaj. To jedna z najbezpieczniejszych plaż. Mamy zresztą ratownika, tego olbrzymiego Szweda.

— Głupiec ze mnie — powiedział Tim Kendal. Zawahał się, a potem spytał: —

Nie miałaś już więcej tych snów, prawda?

— To nie było zbyt miłe, Tim. Nie mówmy o tym — odrzekła Molly i roześmiała się.

## **Rozdział trzeci**

### **Śmierć w hotelu**

Panna Marple jak zwykle zjadła śniadanie w łóżku. Przyniesiono jej herbatę, jajko na twardo i

plaster papai.

Karaibskie owoce trochę ją rozczarowały. Zawsze okazywały się czymś w rodzaju papai. Gdyby tak mogła dostać na śniadanie choć jedno dobre jabłko... Ale na tej wyspie nie znano chyba jabłek.

Po pierwszym tygodniu pobytu panna Marple odzwyczaiła się także od zadawania pytań o pogodę. Każdy dzień był tutaj jednakowo słoneczny, bez jakichkolwiek ciekawszych atrakcji.

— Ach, ta cudownie nieobliczalna angielska pogoda... zamruczała panna—

Marple, zastanawiając się, czy przetworzyła jakiś cytat, czy też sama to zdanie wymyśliła.

Słyszała oczywiście, że zdarzały się tutaj huragany, jednak huragan, w rozumieniu panny Marple, to nie to samo co „zwyczajna pogoda”. Huragan był raczej przejawem Siły Wyższej. Po gwałtownej, trwającej zaledwie pięć minut ulewie, ludzie byli przemoczeni do suchej nitki, ale wysychali w ciągu kolejnych pięciu minut.

Czarnoskóra dziewczyna uśmiechnęła się i powiedziała: „dzień dobry”, stawiając tacę na kolanach panny Marple. Miała śliczne białe zęby i radosny uśmiech. Te karaibskie dziewczęta to sympatyczne istoty, szkoda tylko, że miały awersję do zawierania małżeństw, co bardzo martwiło pastora Prescottta. „Dużo chrztów, mówił, próbując się pocieszyć, ale niestety żadnego ślubu!” Panna Marple zjadła śniadanie i zaplanowała, jak spędzi ten dzień. Nie miała się specjalnie nad czym zastanawiać. Postanowiła, że wstanie i ubierze się powoli (było już dosyć gorąco, a jej palce nie poruszały się tak zwinnie jak dawniej), a potem odpocznie z dziesięć minut. Następnie weźmie ze sobą robótkę i pójdzie wolnym krokiem w stronę hotelu. Tam zdecyduje, gdzie się usadowić. Może na tarasie z widokiem na morze? Albo na plaży, żeby obserwować kąpiących się i dzieci? Zwykle wybierała tę drugą możliwość. Po południu odpocznie, a później może wybierze się na przejażdżkę. Zresztą to naprawdę nie miało większego znaczenia...

— Dzisiejszy dzień będzie jak każdy inny — podsumowała.

A jednak taki nie był.

Panna Marple zaczęła realizować swój program. Kiedy szła ścieżką prowadzącą do hotelu, spotkała Molly Kendal. Po raz pierwszy ta pogodna dziewczyna nie uśmiechnęła się. Wyglądała na tak zrozpaczoną, że panna Marple od razu zapytała:

— Moja droga, czy coś się stało?

Molly skinęła głową. Zawahała się, ale potem rzekła:

— No cóż, i tak się pani dowie. Wszyscy będą musieli się dowiedzieć. Chodzi o majora Palgrave’a. Nie żyje.

— Nie żyje?

— Tak. Umarł w nocy.

— Mój Boże, tak mi przykro.

— To takie straszne... śmierć na wyspie. Przygnębiające dla wszystkich. Choć z drugiej strony, był przecież dosyć stary...

— Wczoraj wieczorem sprawiał wrażenie wesołego i chyba dobrze się czuł —

zauważyła panna Marple, lekko urażona tym cichym założeniem, że człowiek w podeszłym wieku może umrzeć w każdej chwili. — Wyglądał na zdrowego — dodała.

— Miał nadciśnienie — powiedziała Molly.

— Przecież w dzisiejszych czasach są na to jakieś lekarstwa. Nauka czyni cuda.

— To prawda. Ale on chyba zapomniał wziąć te swoje tabletki, albo połknął ich za wiele. Wie pani, to działa jak insulina.

Zdaniem panny Marple cukrzyca nie miała raczej związku z nadciśnieniem.

— A co powiedział lekarz? — zapytała.

— Och, doktor Graham, który jest już właściwie na emeryturze i mieszka w naszym hotelu, obejrzał majora. Potem naturalnie zjawił się tutejszy lekarz i wystawił

świadczenie zgonu. Nie było żadnych wątpliwości. Takie niebezpieczeństwo grozi ludziom, którzy mają wysokie ciśnienie, zwłaszcza kiedy nadużywają alkoholu, a major Palgrave naprawdę nie wylewał za kołnierz, na przykład wczoraj...

— Tak, zauważyłam — przyznała panna Marple.

— Prawdopodobnie zapomniał wziąć lekarstwo. Staruszek miał po prostu pecha.

Przecież nikt nie żyje wiecznie, prawda? Tylko że to jest ogromny kłopot dla mnie i dla Tima... to znaczy goście mogą pomyśleć, że coś niedobrego było w jedzeniu...

— Ależ z pewnością skutki zatrucia i nadciśnienia są zupełnie inne!

— O tak, ale ludzie lubią plotkować. A jeśli goście stwierdzą, że nasze jedzenie jest niedobre i wyjadą... albo opowiedzą o tym znajomym?

— Naprawdę nie sędzę, aby musiała się pani tak przejmować — powiedziała panna Marple życzliwie. — Jak już pani zauważyła, śmierć człowieka w tym wieku, a major miał pewnie grubo ponad siedemdziesiątkę, to nic niezwykłego. Większość osób tak to potraktuje. Smutne lecz najzupełniej normalne wydarzenie.

— Gdyby chociaż nie stało się to tak nagle... — rzekła Molly tragicznym głosem.

„Rzeczywiście, to było nagłe i zaskakujące wydarzenie” — pomyślała panna Marple, kiedy została sama i ruszyła dalej wolnym krokiem. Major bawił się wczoraj znakomicie w towarzystwie Dysonów i Hillingdonów.

Hillingdonowie i Dysonowie... Panna Marple zwolniła jeszcze bardziej, aż w końcu zatrzymała się gwałtownie. Zamiast iść na plażę, znalazła wygodne miejsce w zacienionym kącie tarasu i wyjęła robótkę. Druty uderzały o siebie szybko, jakby chciały nadążyć za tokiem jej myśli. Nie podobała jej się ta sprawa. Wcale jej się nie podobała. Wszystko potoczyło się tak błyskawicznie...

Odtworzyła w myślach wydarzenia z poprzedniego dnia.

Te opowieści majora Palgrave’a...

Wszystkie były do siebie podobne i nie słuchała ich zbyt uważnie. Może jednak należało go posłuchać?

Kenia... najpierw mówił o Kenii, potem o Indiach i pograniczu północno-

zachodnim a następnie, nie wiadomo dlaczego, przeszedł do opowieści o morderstwach. Ale nawet wtedy nie słuchała go naprawdę. To była jakaś głośna w tych stronach sprawa. Pisano o niej w prasie...

Potem major schylił się, podniósł kłębek jej wełny i... tak, właśnie wtedy zaczął mówić o fotografii. „Zdjęcie mordercy” — tak dokładnie powiedział.

Panna Marple zamknęła oczy i próbowała sobie dokładnie odtworzyć całą opowieść.

Major poznał tę dziwną historię w klubie (ale jakim klubie?). Opowiadał ją lekarz, który usłyszał o tym od innego lekarza. Jeden z lekarzy zrobił zdjęcie komuś, kto ukazał się w drzwiach. Osobie, która była mordercą. Przypominała sobie teraz różne szczegóły.

Major chciał jej pokazać to zdjęcie, wyjął portfel i zaczął przerzucać jego zawartość. Nie przestawał opowiadać...

Wciąż mówił, gdy nagle podniósł głowę i coś zobaczył. Patrzył nie na nią, tylko na kogoś z tyłu, dokładnie ponad jej prawym ramieniem. Wtedy przerwał, zaczerwienił

się, wepchnął wszystko do portfela lekko drżącymi dłońmi i zaczął nienaturalnie głośno opowiadać o ciosach upolowanego słonia.

W chwilę później przyłączyli się do nich Hillingdonowie i Dysonowie...

Wtedy właśnie obróciła głowę przez prawe ramię, ale nie zobaczyła tam nikogo i niczego. Natomiast po lewej stronie, w pewnej odległości od nich siedzieli właściciele hotelu, Tim Kendal z żoną, a jeszcze dalej — rodzina z Wenezueli. Jednak major Palgrave nie patrzył w ich kierunku.

Panna Marple rozmyślała aż do lunchu.

Po południu nie pojechała na przejażdżkę. Zamiast tego powiadomiła doktora Grahama, że nie czuje się najlepiej i poprosiła, aby zechciał przyjść ją zbadać.

## **Rozdział czwarty**

# Konsultacja lekarska

Doktor Graham był miłym, starszym panem w wieku sześćdziesięciu lat. Przez wiele lat prowadził praktykę lekarską w Indiach Zachodnich, ale teraz przeszedł już właściwie na emeryturę i znaczną część obowiązków przekazał swoim karaibskim kolegom.

Przywitał się uprzejmie z panną Marple i zapytał, co jej dolega. Na szczęście dla panny Marple w jej wieku zawsze znajdzie się jakaś dolegliwość, na którą można się uskarżyć, wyolbrzymiając ją odpowiednio. Wahała się między bólem w barku a strzykaniem w kolanie. Ostatecznie jednak wybrała kolano, które często dawało jej się we znaki.

Doktor Graham był niezwykle życzliwy i powstrzymał się od stwierdzenia, że w jej wieku należy się po prostu takich kłopotów spodziewać. Przepisał jej jakieś tabletki (jedne z tych powszechnie zalecanych przez wszystkich lekarzy), a ponieważ z doświadczenia wiedział, że starsze osoby czują się niekiedy samotne podczas pierwszego pobytu na St. Honoré, został jeszcze, aby chwilę pogawędzić.

„Taki sympatyczny człowiek — pomyślała panna Marple — naprawdę strasznie mi wstyd, że musiałam go okłamać. Ale nie miałam chyba innego wyjścia”.

Panna Marple została wychowana w poszanowaniu uczciwości i z natury była niezwykle prawdomówna. Jednak w sytuacjach wyjątkowych, gdy uznała to za konieczne, potrafiła kłamać jak z nut.

Odchrząknęła, zakaszłała przepraszająco i zagadnęła typowym dla staruszek, lekko drżącym głosem:

— Pani doktorze, chciałabym o coś zapytać. Nie powinnam o tym wspominać, ale z drugiej strony, nie bardzo wiem, jak inaczej miałabym postąpić. Oczywiście, to rzecz mało istotna, tylko że... widzi pan, dla mnie jest bardzo ważna. Mam nadzieję, że pan to zrozumie i nie posądzi mnie o brak taktu, czy nawet gruboskórność,...

Słyszając taki wstęp, doktor Graham spytał dobrotliwie:

— Czy coś panią niepokoi? Może mógłbym pani pomóc?

— Sprawa ma związek z majorem Palgravem. Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Byłam wstrząśnięta, kiedy dziś rano usłyszałam o wszystkim.

— No tak. Niestety, to nastąpiło tak nagle. Jeszcze wczoraj wydawał się być w wyjątkowo dobrym nastroju.

Doktor Graham wyraził swój żal w dosyć konwencjonalny sposób. Najwyraźniej śmierć majora nie była dla niego niczym niezwykłym. Panna Marple zastanawiała się, czy nie próbuje wyolbrzymiać całej sprawy, kierując się wrodzoną podejrzliwością.

Może nie powinna już ufać swoim własnym osądom? Właściwie nikogo nie osądzała, było to jedynie

przecucie, W każdym razie, zaplątała się już w to wszystko, więc powinna brnąć dalej.

— Wczoraj po południu długo rozmawialiśmy — wyjaśniała. — Major opowiadał

mi o swoim niezwykle urozmaiconym życiu. Widział tyle fascynujących miejsc na świecie.

— Rzeczywiście — przyznał doktor Graham, sam wielokrotnie, zanudzany wspomnieniami majora.

— Potem zaczął mówić o swojej rodzinie i dzieciństwie, ja natomiast opowiedziałam mu o moich siostrzeńcach i siostrzenicach, czego życzliwie wysłuchał.

Pokazałam mu zdjęcie jednego z siostrzeńców, które miałam przy sobie. To taki kochany chłopiec, właściwie już nie chłopiec, ale dla mnie zawsze nim pozostanie.

Rozumie pan, co mam na myśli?

— Chyba tak — odrzekł doktor Graham, zastanawiając się, kiedy wreszcie starsza pani przejdzie do sedna sprawy.

— Podałam mu fotografię i właśnie ją oglądał, gdy nagle zjawili się ci sympatyczni ludzie... ci, którzy zbierają motyle i kwiaty... państwo Hillingdonowie, zdaje się i...

— Ach tak. Hillingdonowie i Dysonowie.

— Właśnie. Podeszli do nas roześmiani i rozgadani, przysiedli się, zamówili drinki, a potem rozmawialiśmy już wszyscy razem. Było bardzo miło. Major odruchowo musiał włożyć moją fotografię do swojego portfela, który następnie schował do kieszeni. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale później, gdy sobie tę scenę przypomniałam, powiedziałam do siebie: „Trzeba koniecznie poprosić majora, aby oddał mi zdjęcie Denzila”. Myślałam o tym wczoraj wieczorem, kiedy rozpoczął

się dansing, ale nie chciałam przeszkadzać majorowi, ponieważ tak wesoło bawił się ze swoim towarzystwem i pomyślałam, że muszę pamiętać, aby poprosić go o to następnego dnia rano, tylko że dzisiaj rano... — panna Marple przerwała, zadyszana.

— Tak, tak — powiedział doktor Graham. — Doskonale rozumiem. No więc chciałyby pani oczywiście odzyskać to zdjęcie?

Panna Marple gorliwie pokiwała głową.

— No właśnie. Widzi pan, to jedyne zdjęcie i na dodatek nie mam negatywu. Nie chciałabym, aby zginęło, ponieważ biedny Denzil, mój ukochany siostrzeniec, zmarł

kilka lat temu. Ta fotografia to jedyna pamiątka po nim. Pomyślałam sobie, że może... jeśli oczywiście to nie jest zbyt wielki kłopot... że może panu udałoby się odzyskać dla mnie to zdjęcie. Widzi pan, nie bardzo wiem, do kogo mogłabym się zwrócić. Nie orientuję się, kto zajął się teraz rzeczami osobistymi majora. To taka trudna sprawa... Ktoś inny mógłby pomyśleć, że się

naprzykrzam. Nikt by nie zrozumiał, ile ta fotografia dla mnie znaczy.

— Oczywiście, oczywiście — rzekł doktor Graham.

— Doskonale rozumiem pani zaniepokojenie. To całkiem naturalne. W

najbliższym czasie mam się właśnie spotkać z tutejszymi władzami. Pogrzeb odbędzie się jutro i na pewno przyjdzie jakiś urzędnik, aby przejrzeć dokumenty majora oraz jego rzeczy, przed przekazaniem ich najbliższej rodzinie. Proszę więc opisać to zdjęcie.

— Widać na nim drzwi wejściowe do domu. W drzwiach pojawił się właśnie ten człowiek... to znaczy Denzil. Zdjęcie zrobił inny mój siostrzeniec, który interesował

się rzadkimi roślinami i zamierzał sfotografować wyjątkowo piękny okaz kwitnącego... hibiskusa, zdaje się. Tak się złożyło, że Denzil w tym momencie wychodził z domu. Dlatego też to nie było jego najlepsze zdjęcie, trochę zamazane, ale bardzo je lubiłam i zawsze nosiłam przy sobie.

— No cóż, to mi chyba wystarczy. Sądzę, że bez większego problemu odzyskamy dla pani tę fotografię.

Doktor wstał. Panna Marple uśmiechnęła się do niego.

— To miło z pana strony, panie doktorze, naprawdę bardzo miło. Rozumie pan chyba mój problem, prawda?

— Ależ oczywiście, że tak — zapewnił doktor Graham.

— A teraz proszę się tym nie przejmować. Niech pani codziennie robi ćwiczenia na kolano, ale bardzo ostrożnie i niezbyt intensywnie. Ja tymczasem przyślę pani tabletki. Proszę zażywać trzy razy dziennie po jednej.

## **Rozdział piąty**

### **Panna Marple podejmuje decyzję**

Następnego dnia panna Marple w towarzystwie panny Prescott poszła na nabożeństwo żałobne za majora Palgrave'a, które odprawił pastor Prescott.

Życie na wyspie potoczyło się zwykłym torem. Śmierć majora Palgrave'a traktowano już tylko jako minione wydarzenie, trochę nieprzyjemne, lecz o którym szybko się zapomina. Na Karaibach najważniejsze było słońce, morze i towarzyskie rozrywki. Major zakłócił na moment te przyjemności, rzucając na słoneczne dni ponury cień, który jednak szybko się rozwiął. W końcu nikt zbyt dobrze nie znał

zmarłego. Był dosyć gadatliwym starszym panem, typowym klubowym nudziarzem, zameczającym ludzi swoimi wspomnieniami, których nikt nie miał ochoty słuchać.



Nie zakotwiczył się na dłużej w żadnym zakątku świata. Jego żona zmarła wiele lat temu, wiódł więc samotne życie i miał samotną śmierć. Ten rodzaj samotności polegał

jednak na przebywaniu wśród ludzi i całkiem przyjemnym spędzaniu czasu. Major Palgrave był może samotnym, ale także dosyć wesołym człowiekiem. Korzystał z życia na swój własny sposób. Teraz jednak nie żył, został pochowany i nikt się tym za bardzo nie przejmował. Za tydzień nikt nawet nie będzie o nim pamiętał i nie poświęci mu choćby drobnego wspomnienia.

Jedyną osobą, która mogłaby odczuć jego brak, była panna Marple. Bynajmniej nie dlatego, aby darzyła go jakimś szczególnym uczuciem. Major po prostu należał do jej pokolenia i reprezentował znany jej model życia. Zauważyła, że kiedy człowiek się starzeje, nabiera zwyczaju słuchania innych. Słuchała majora może nie zawsze z wielkim zainteresowaniem, jednak między nimi zawiązała się nie porozumienia. W

zasadzie nie czuła się pogrążona w żałobie, ale brakowało jej majora.

Po południu w dniu pogrzebu, kiedy siedziała na swoim ulubionym miejscu z robótką w dłoniach, podszedł do niej doktor Graham. Odłożyła druty i przywitała się z nim. Przysiadł się i od razu przemówił przeproszającym głosem:

— Obawiam się, że mam dla pani raczej przykrą wiadomość.

— Naprawdę? Mówi pan o...

— Tak. Nie znaleźliśmy tej pani cennej fotografii. Boję się, że sprawiłem pani ogromny zawód.

— No cóż, trudno. Teraz zdałam sobie sprawę, że byłam zbyt sentymentalna.

Zatem nie ma mojego zdjęcia w portfelu majora?

— Nie, ani też nigdzie indziej w jego rzeczach. Znaleźliśmy parę listów, wycinki z gazet i różne drobiazgi, także kilka starych fotografii, ale nie było ani śladu zdjęcia, o którym pani mówiła.

— Ojej — westchnęła panna Marple. — Cóż, nic na to nie poradzimy. Bardzo dziękuję za pomoc, panie doktorze. Sprawiałam panu tyle kłopotu...

— Ależ to naprawdę żaden kłopot. Z doświadczenia wiem jednak, jak wiele znaczą takie rodzinne pamiątki, zwłaszcza dla starszych osób.

Doktor Graham pomyślał, że staruszka całkiem nieźle to przyjęła. Przypuszczał, że major Palgrave natknął się na zdjęcie, kiedy wyjmował coś ze swojego portfela i nie pamiętając nawet, skąd się tam wzięło, podarł je jako coś bez znaczenia. Niestety, zdjęcie miało wielkie znaczenie dla tej starszej pani. Mimo wszystko przyjęła wiadomość raczej pogodnie, ze stoickim spokojem.

W rzeczywistości jednak panna Marple daleka była od stoickiego spokoju i pogody ducha. Z jednej strony potrzebowała trochę więcej czasu, aby przemyśleć to wszystko.

Z drugiej strony czuła, że powinna jak najefektywniej wykorzystać nadarzącą się okazję. Wciągnęła doktora Grahama w rozmowę ze skwapliwością, której nie zamierzała wcale ukrywać. Dobrotliwy lekarz wytłumaczył to sobie jako naturalną u samotnej starszej pani potrzebę wygadania się przed kimś. Dokładając starań, aby panna Marple szybko zapomniała o utracie zdjęcia, rozmawiał z nią uprzejmie o życiu na St. Honoré i opowiadał o różnych ciekawych miejscach, które mogłaby zwiedzić.

Nawet nie zauważył, kiedy rozmowa wróciła do tematu śmierci majora Palgrave'a.

— To smutne, kiedy ktoś umiera tak daleko od domu — zauważyła panna Marple.

— Chociaż na podstawie tego, co usłyszałam od majora, domyślam się, że nie miał żadnej bliskiej rodziny. Zdaje się, że mieszkał w Londynie sam.

— Myślę, że sporo podróżował — powiedział doktor Graham. — Zwłaszcza zimą.

Nie lubił angielskich zim, czego nie można mieć mu za złe.

— Rzeczywiście, nie można — zgodziła się. — A może miał jakiś szczególny powód... na przykład chore płuca czy inną dolegliwość, która zmuszała go do spędzania zimy za granicą.

— Och, nie sądzę.

— Podobno miał nadciśnienie. Niestety, to powszechne w naszych czasach.

— Mówił pani o tym, prawda? — Ależ nie. Nigdy nawet nie wspominał.

Usłyszałam o tym od kogoś innego.

— Ach tak.

— Przypuszczam — kontynuowała panna Marple — że w takiej sytuacji można się spodziewać najgorszego.

— Niekoniecznie — odrzekł doktor. — Obecnie znamy sposoby na kontrolowanie ciśnienia krwi.

— Jego śmierć wydawała się tak niespodziewana. Ale być może pan nie był zaskoczony.

— No cóż, przyznam, że nie zaskakuje mnie zbyt wiele śmierć człowieka w wieku majora. Jednak nie spodziewałem się tego w jego przypadku. Mówiąc szczerze, zawsze uważałem, że był w dobrej formie, ale nie miałem okazji go zbadać i nigdy nawet nie mierzyłem mu ciśnienia.

— Czy można stwierdzić, to znaczy... czy lekarz może stwierdzić, że człowiek ma wysokie ciśnienie tylko na podstawie jego wyglądu? — zapytała panna Marple niewinnie.

— Nie, to nie wystarczy — uśmiechnął się doktor Graham. — Trzeba zbadać takiego człowieka.

— Ach, rozumiem. Mówi pan o tym okropnym badaniu, kiedy lekarz owija rękę gumową opaską i pompuje ją. Bardzo tego nie lubię. Ale mój doktor twierdzi, że mam wyjątkowo dobre ciśnienie, jak na osobę w moim wieku.

— Cóż, miło mi to słyszeć — zapewnił doktor Graham.

— No tak, major chyba za bardzo lubił poncz — powiedziała panna Marple, zamyślona.

— Rzeczywiście. Alkohol to nie najlepszy pomysł przy nadciśnieniu.

— Słyszałam, że bierze się wtedy lekarstwa. To prawda?

— Tak. Jest kilka rodzajów leków. W pokoju majora znaleziono buteleczkę takich tabletek o nazwie normatens.

— Nauka dokonuje dzisiaj cudów — stwierdziła panna Marple. — Lekarze mogą tak wiele zrobić.

— Ale mamy jednego groźnego rywala — zauważył doktor — naturę. Dlatego do czasu do czasu wracamy do starych, dobrych domowych sposobów.

— Jak przykładanie pajęczyny do rany? — spytała panna Marple. — Kiedy byłam dzieckiem, zawsze się tak robiło.

— Bardzo rozsądnie — rzekł lekarz.

— A okład z siemienia lnianego albo nacieranie klatki piersiowej olejkiem kamforowym w przypadku dokuczliwego kaszlu?

— Widzę, że zna pani wszystkie te sposoby! — Doktor roześmiał się i wstał. —

Jak pani kolano? Nie dawało się za bardzo we znaki?

— Nie, już mi przeszło.

— Nie będziemy więc rozstrzygać, czy to zasługa natury, czy moich tabletek.

Żałuję, że nie mogłem pani pomóc ,w tej drugiej sprawie.

— Ależ był pan niezwykle uprzejmy! Naprawdę czuję się zażenowana, że zabrałam panu tyle czasu. Mówił pan, że w portfelu nie znaleziono żadnych zdjęć?

— Były tam dwie stare fotografie samego majora — jedna przedstawiająca go jako młodego chłopaka podczas gry w polo, druga — jako myśliwego, który opiera stopę na upolowanym tygrysie. Pamiątki z dawnych czasów. Szukałem jednak dokładnie i zapewniam, że nie było tam fotografii pani siostrzeńca.

— Och, nie wątpię, że szukał pan dokładnie. Złe mnie pan rozumiał. Pytałam z ciekawości. Wszyscy przechowujemy takie dziwne rzeczy...

— Skarby przeszłości — powiedział z uśmiechem. Gdy doktor pożegnał się i odszedł, panna Marple przez kilka minut nie wracała do swojej robótki. W

zamyśleniu patrzyła na palmy i morze. Teraz wiedziała już coś konkretnego. Musiała zastanowić się nad znaczeniem tego, co usłyszała. Zdjęcie, które major wyciągnął z portfela, a potem pospiesznie schował, zniknęło po jego śmierci. Takiej rzeczy major by nie wyrzucił. Włożył zdjęcie do portfela, więc powinno nadal się tam znajdować.

Mogły zginąć pieniądze, ale nikt nie ukradłby zdjęcia, chyba że miałby ku temu szczególny powód... Starsza pani spoważniała. Musiała podjąć decyzję. Pytanie brzmiało, czy ma pozwolić majorowi spoczywać w spokoju, czy nie? Czy nie byłoby lepiej pozostawić wszystko tak, jak jest? Zacytowała szeptem: „Duncan legł w grobie; po gorączce życia śpi dobrze...”\* Ale teraz nie można już majorowi zaszkodzić.

Odszedł tam, gdzie nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Czy to przypadek, że zmarł właśnie tamtej nocy? Może jednak to nie był przypadek? Lekarze tak łatwo godzą się ze śmiercią starych ludzi. Zwłaszcza, kiedy znajdują w pokoju zmarłego buteleczkę leków regulujących ciśnienie krwi. Ale jeśli ktoś zabrał fotografię z portfela majora, mógł równie dobrze podrzucić fiolkę tabletek, do jego pokoju. Panna Marple nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek widziała majora biorącego jakieś leki. Nigdy nie wspominał o nadciśnieniu. „Nie jestem już tak młody jak dawniej” —

to było wszystko, co powiedział na temat swojego zdrowia. Czasami miewał

zadyszkę, trochę dokuczala mu astma i nic poza tym. Ktoś jednak mówił, że major miał nadciśnienie... Molly? Panna Prescott? Nie potrafiła sobie przypomnieć.

Panna Marple westchnęła i upomniała samą siebie, chociaż oczywiście nie wypowiedziała tych słów na głos: „No i co sugerujesz, Jane? Czy przypadkiem nie wyolbrzymiasz wszystkiego? Czy rzeczywiście masz jakiś punkt zaczepienia?” Raz jeszcze, najdokładniej jak mogła, odtworzyła w myśli rozmowę z majorem na temat morderstw i morderców.

— Mój Boże! — rzekła. — Nawet jeśli mam rację, to naprawdę nie widzę, co mogłabym w tej sprawie zrobić.

Wiedziała jednak, że spróbuje.

## **Rozdział szósty**

### **Rozmyślenia przed świtem**

Panna Marple obudziła się bardzo wcześnie. Podobnie jak wielu starszych ludzi, miała lekki sen i zdarzały jej się długie, bezsenne godziny. Planowała wtedy, co będzie robić przez następne dni. Oczywiście te plany zazwyczaj dotyczyły jej całkiem prywatnych, domowych spraw. Jednak tego

ranka myśli panny Marple krążyły wokół

morderstwa. Zupełnie poważnie zastanawiała się, co powinna zrobić w sytuacji, gdyby jej podejrzenia okazały się słuszne. Zadanie nie było łatwe. Miała tylko jedną jedyną broń, a mianowicie rozmowę.

Staruszki często rozmawiają o najróżniejszych, przypadkowych sprawach. Ludzie czują się tym znudzeni, lecz oczywiście nigdy nie podejrzewają istnienia jakiś ukrytych motywów. Rzecz jasna, nie zadawałaby pytań wprost. (Nie wiedziała zresztą, o co miałyby tak naprawdę pytać?) Chodzi o to, aby zebrać trochę więcej informacji o pewnych osobach. Zrobiła w myśli ich przegląd.

Mogłaby zapewne dowiedzieć się czegoś jeszcze na temat majora Palgrave'a, ale czy to by jej rzeczywiście w czymś pomogło? Bardzo wątpliwe. Jeżeli major został

zamordowany, to nie ze względu na jakieś jego prywatne tajemnice ani z powodu nadziei na spadek po nim, ani też z chęci zemsty. Była to jedna z tych wyjątkowych spraw, w których wiedza o ofierze nie pomagała w odkryciu mordercy. Jej zdaniem, jedyny problem polegał „a tym, że major Palgrave zbyt wiele mówił!

Doktor Graham powiedział jej dosyć ciekawą rzecz: major miał w portfelu stare fotografie ze swojej młodości. Jedną zrobioną podczas gry w polo, drugą — po ustrzeleniu tygrysa, a także kilka innych tego typu zdjęć. Dlaczego nosił je wszystkie przy sobie? Dla panny Marple, która zetknęła się już w wieloma emerytowanymi admirałami, brygadierami, generałami i zwykłymi majorami, było to oczywiste —

staruszek uwielbiał opowiadać historyjki i pokazywać przy okazji zdjęcia. Taka opowieść mogła zaczynać się od słów: „Pewnego razu w Indiach, podczas polowania na tygrysy, przydarzyło mi się coś niezwykłego...”, albo być zwykłym wspomnieniem na temat gry w polo lub też historią mordercy, zakończoną prezentacją kolejnej fotografii z portfela.

Rozmowa z panną Marple przebiegała według tego samego schematu. Mówili o morderstwach, więc major opowiedział pewną historię, którą zamierzał uatrakcyjnić wypróbowanym wielokrotnie sposobem — miał pokazać zdjęcie i powiedzieć coś w rodzaju: „Nigdy by pani nie przypuszczała, że ten facet może być mordercą, prawda?” Tak działo się często, a anegdotka należała do zwykłego repertuaru majora. Kiedy tylko rozmowa schodziła na temat zbrodni, major z zapalem rozwijał swoje gawędziarskie talenty.

Panna Marple doszła więc do wniosku, że major mógł wcześniej opowiedzieć tę samą historię komuś innemu, nawet kilku osobom. W takiej sytuacji mogłaby usłyszeć od nich szczegóły sprawy albo też dowiedzieć się, jak wyglądał ten człowiek ze zdjęcia. Pokiwała z zadowoleniem głową: to będzie dobry początek.

Oprócz tego miała oczywiście „czterech podejrzanych”, jak ich w myśli nazywała.

Ale właściwie, skoro major Palgrave mówił o mężczyźnie, podejrzanych było tylko dwóch. Wprawdzie panowie Hillingdon i Dyson nie wyglądali na morderców, jednak mordercy często

wyglądają niewinnie.

Czy był ktoś jeszcze? Kiedy odwróciła wtedy głowę, nie zobaczyła za sobą nikogo.

Był tam tylko bungalow pana Rafiela. Czy możliwe, aby wyszedł z niego jakiś człowiek, a potem wrócił do środka, zanim ona zdążyła odwrócić głowę? Jeśli tak, mógł to zrobić tylko ten pielęgniarz-masażysta. Jak on się nazywał? Ach, tak —

Jackson. Czy Jackson mógł pojawić się w drzwiach domku? To wyglądałoby tak samo jak ujęcie na fotografii — człowiek stojący w drzwiach — i wywołałoby natychmiastowe, szokujące skojarzenie. Do tamtej pory major nie przyglądał się chyba specjalnie Arthurowi Jacksonowi. Staruszek miał dosyć snobistyczne zainteresowania — skoro Jackson nie był pukka sahib\*, major nie zaszczycił go więcej niż jednym spojrzeniem. Możliwe, że tak było do momentu, kiedy staruszek, trzymając fotografię w ręku, nie rzucił okiem ponad prawym ramieniem panny Marple i nie ujrzał człowieka stojącego w drzwiach...

Panna Marple poprawiła poduszkę. Oto jej plan na następny, a właściwie na najbliższy dzień: zrobić wywiad na temat Hillingdonów, Dysonów i pielęgniarza Jacksona.

\*

Doktor Graham również obudził się wcześniej. W takiej sytuacji obracał się zwykle na drugi bok i spał dalej. Tego dnia jednak coś nie dawało mu spokoju i sen nie nadchodził. Już dawno nie miał podobnych kłopotów z zaśnięciem. Co go tak zaniepokoiło?

Naprawdę trudno było odgadnąć. Leżał więc i zastanawiał się. To miało związek z... tak, z majorem Palgrave'em. Ze śmiercią majora? Nie potrafił jednak zrozumieć, co mogłoby go w tej sprawie zaniepokoić. Czy chodziło o coś, co powiedziała ta roztrzepana staruszka? Miała pecha z tym zdjęciem... na szczęście nie bardzo zmartwiła się jego zniknięciem. Ale co ona takiego powiedziała, że obudziło się w nim to dziwne uczucie niepokoju? W końcu nie było nic niezwykłego w śmierci majora. Zupełnie nic. Tak przynajmniej doktor w tej chwili uważał.

Wydawało się zupełnie jasne, że stan zdrowia majora... nagle coś zakłóciło jego rozmyślenia: co właściwie wiedział o stanie zdrowia majora? Wszyscy mówili, że staruszek cierpiał na nadciśnienie. Jemu samemu nigdy nie zdarzyło się rozmawiać z majorem na ten temat. Z drugiej strony, prawie wcale z nim nie rozmawiał. Palgrave był starym nudziarzem, a doktor omijał takich z daleka. Skąd więc u diabła ten pomysł, że coś jest nie w porządku? Czy przez te staruszkę? Przecież nie powiedziała nic szczególnego. Zresztą to nie jego sprawa. Miejscowa policja była całkowicie usatysfakcjonowana — znaleźli fiolkę normatensu, a podobno major otwarcie mówił

o swoim wysokim ciśnieniu. Doktor Graham przewrócił się na drugi bok i wkrótce zasnął.

\*

Poza terenem hotelu, w jednym ze slumsów nad zatoczką, Victoria Johnson kręciła się niespokojnie w swoim łóżku, aż wreszcie usiadła. Ta dziewczyna z St. Honoré była wspaniałym stworzeniem o

kształtach jakby wykutych z czarnego marmuru przez świetnego rzeźbiarza. Przeczesała palcami ciemne, mocno kręcone włosy i trąciła stopą śpiącego obok mężczyznę. — Obudź się, człowieku. Mężczyzna zamruczał i odwrócił się.

— Czego chcesz? Do rana jeszcze daleko.

— Obudź się. Chcę z tobą porozmawiać Mężczyzna usiadł, przeciągnął się i ziewnął, ukazując szerokie usta i piękne zęby.

— Co cię niepokoi, kobieto?

— Ten major, który umarł. Coś mi się tutaj nie podoba. Coś jest nie w porządku.

— A niby co? Był stary, no to umarł.

— Posłuchaj, chodzi o te jego tabletki. Te, o które pytał mnie doktor.

— Może za dużo ich połknął.

— Nie, nie o to mi chodzi. Posłuchaj... — pochyliła się nad nim, szepcząc coś zaaferowana. Mężczyzna ziewnął i położył się z powrotem.

— O czym ty mówisz? To nic niezwykłego.

— Mimo wszystko rano powiem o tym pani Kendal. Myślę, że coś tu jest nie w porządku.

— Zawracanie głowy — rzekł mężczyzna, którego dziewczyna, mimo braku oficjalnego ślubu, uważała za swego obecnego męża. — Nie szukajmy kłopotów —

powiedział, ziewnął i odwrócił się na drugi bok.

## **Rozdział siódmy**

### **Poranek na plaży**

Goście spędzali przedpołudnie na plaży.

Evelyn Hillingdon wyszła z wody i opadła na gorący, złocisty piasek. Zdjęła czepek kąpielowy i potrząsnęła energicznie ciemnymi włosami. Na tej niewielkiej plaży codziennie około 11.30 odbywało się coś w rodzaju spotkania towarzyskiego. Z

lewej strony Evelyn w nowoczesnym, egzotycznym fotelu wiklinowym siedziała señora de Caspearo, przystojna Wenezuelka. Obok niej wypoczywał pan Rafiel, stały bywalec Złotej Palmy, który terroryzował wszystkich tak, jak tylko zamożny inwalida w podeszłym wieku potrafi. Towarzyszyła mu Esther Walters, która zwykle miała ze sobą notes i ołówek na wypadek, gdyby pan Rafiel przypomniał sobie nagle o jakimś pilnym interesie i zechciał nadać telegram. Staruszek nie prezentował się w stroju plażowym najlepiej — sama sucha skóra i kości, po prostu człowiek stojący

nad grobem. Na wyspach mówiło się jednak, że przez ostatnie osiem lat wyglądał

dokładnie tak samo. Z pomarszczonej twarzy zerknęły bystre niebieskie oczy. Panu Rafielowi ogromną przyjemność sprawiało natychmiastowe zaprzeczanie wszystkiemu, cokolwiek usłyszał.

W towarzystwie znajdowała się także panna Marple. Jak zwykle siedziała i robiła na drutach, przysłuchując się rozmowom, do których bardzo rzadko się włączała.

Teraz, kiedy to zrobiła, wszyscy byli zaskoczeni, ponieważ zapomnieli już o jej obecności. Evelyn Hillingdon spojrzała na nią pobłaźliwie, jak się patrzy na poczciwą staruszkę.

Señora de Caspearo nucila coś pod nosem, po raz kolejny nacierając olejkiem swoje długie piękne nogi. Nie należała do osób zbyt rozmownych. Spojrzała niezadowolona na buteleczkę olejku.

— Nie jest tak dobry jak frangipanio, którego niestety nie można tutaj dostać —

powiedziała ze smutkiem w głosie, a następnie przymknęła powieki.

— Czy chciałby się pan wykapać? — zapytała Esther Walters pana Rafiela.

— Wykąpie się, jak będę gotowy — odrzekł staruszek zgryźliwie.

— Już wpół do dwunastej — dodała pani Walters.

— No i co z tego? — zapytał. — Myślisz, że jestem zależny od czasu? Muszę zrobić to o dwunastej, tamto dwadzieścia po, a coś innego za dwadzieścia pierwsza?!

Esther Walters miała do czynienia z panem Rafielem dostatecznie długo, aby wypracować sobie metody odpowiedniego postępowania. Wiedziała, że lubił mieć dużo czasu na odpoczynek po wyczerpującej kąpieli. Dlatego też wspomniała, która jest godzina, dając mu najbliższe dziesięć minut na odrzucenie propozycji, tak aby potem mógł ją zaakceptować, udając, że to jego własna decyzja.

— Nie lubię tych espadryli — stwierdził pan Rafiel, przypatrując się swojej podniesionej stopie. — Mówiłem o tym Jacksonowi, ale ten głupiec nigdy nie zwraca uwagi na moje słowa.

— Mogę panu przynieść inne buty.

— Nie, siedź spokojnie w jednym miejscu. Nie znoszę, kiedy ludzie kręcą się i robią okropne zamieszanie.

Evelyn przesunęła się delikatnie na piasku i rozprostowała ramiona. Panna Marple skupiona niby na swojej robótce, wyciągnęła stopę, dotknęła Evelyn i pospiesznie zawołała:

— Och, najmocniej panią przepraszam! Obawiam się, że panią kopnęłam.

— Nic nie szkodzi — odrzekła Evelyn. — Na tej plaży robi się coraz bardziej tłoczno.



— Och, proszę się nie ruszać. Odsunę mój leżak i już więcej to się nie powtórzy.

Panna Marple usadowiła się trochę dalej i zaczęła mówić w sposób typowy dla gadatliwej, naiwnej staruszki.

— Jak tu cudownie! Wie pani, nigdy wcześniej nie byłam w Indiach Zachodnich.

Zawsze myślałam, że to jeden z tych dalekich krajów, których nigdy nie zobaczę, no i proszę: nagle się tu znalazłam! A wszystko dzięki mojemu kochanemu siostrzeńcowi.

Przypuszczam, że pani doskonale zna te strony, prawda?

— Wcześniej byłam na tej wyspie raz czy dwa razy i oczywiście na większości pozostałych.

— Ach tak. To z powodu tych motyli i dzikich kwiatów. Była tu pani ze swoimi...

przyjaciółmi, czy może... krewnymi?

— To przyjaciele, nic poza tym.

— Sądzę, że ze względu na wspólne zainteresowania często wyjeżdżacie państwo razem?

— Tak. Od kilku lat tak podróżujemy.

— Zapewne mieli państwo jakieś niezwykle przygody?

— Chyba nie — odpowiedziała Evelyn beznamiętnym głosem, była lekko znudzona. — Widać przygody zawsze przytrafiają się innym ludziom. — Ziewnęła.

— Nigdy nie zetknęli się państwo z jadowitymi wężami, dzikimi zwierzętami lub agresywnymi tubylcami?

„Robię z siebie straszną wariatkę” — pomyślała panna Marple. — Nie zdarzyło nam się nic gorszego niż ukąszenia owadów — zapewniła ją Evelyn.

— Wie pani, a biedny major Palgrave został kiedyś ukąszony przez węża... —

Panna Marple błyskawicznie wymyśliła tę historyjkę.

— Naprawdę?

— Nigdy pani o tym nie opowiadał?

— Być może. Nie pamiętam.

— Chyba znała go pani bardzo dobrze.

— Majora? Nie, prawie wcale.

— Zawsze miał tyle interesujących historii do opowiedzenia.

— Okropny, stary nudziarz — odezwał się pan Rafiel. — Na dodatek głupiec.

Żyłby nadal, gdyby odpowiednio dbał o siebie.

— Ależ proszę pana! — zaprotestowała pani Walters.

— Wiem, co mówię. Jeśli człowiek odpowiednio troszczy się o swoje zdrowie, zawsze dobrze się czuje. Spójrz na mnie. Lekarze spisali mnie na straty kilka lat temu.

„W porządku”, powiedziałem. Ustaliłem więc własne zasady dbania o zdrowie i stosuję się do nich. No i proszę: żyję.

Powiódł wokół dumnym wzrokiem. Rzeczywiście jego obecność w tym miejscu wydawała się czymś niewłaściwym.

— Biedny major miał nadciśnienie — zauważyła Esther Walters.

— Nonsens — rzekł pan Rafiel.

— Ależ tak — powiedziała Evelyn Hillingdon z zaskakującą pewnością siebie.

— Skąd pani wie? — zapytał Rafiel. — Mówił pani o tym?

— Nie, ktoś inny o tym wspominał.

— Zawsze miał taką purpurową twarz — panna Marple przyłączyła się do większości.

— To nic nie znaczy — oświadczył Rafiel. — W każdym razie nie miał wysokiego ciśnienia. Wiem, bo sam mi o tym powiedział.

— Jak to, powiedział panu? — spytała Esther Walters. — Sądzę, że nie można chyba definitywnie wykluczyć u siebie jakiegoś schorzenia.

— Można. Kiedyś, gdy wychylał szklaneczkę tego swojego ponczu i pochłaniał

duże ilości jedzenia, powiedziałem mu, że powinien przestrzegać diety i nie pić tyle, bo w jego wieku trzeba się liczyć z nadciśnieniem. On odpowiedział, że nie musi na nic uważać, ponieważ, jak na swoje lata, ma doskonałe ciśnienie.

— Ale zdaje się, że brał na to leki — panna Marple po raz kolejny wtrąciła się do rozmowy. — Tabletki, które nazywają się normatens, czy jakoś tak.

— Moim zdaniem — powiedziała Evelyn — nie chciał się przyznać, że coś mu dolega. Myślę, że należał do takich ludzi, którzy boją się chorób i dlatego wypierają się swoich przypadłości.

Jak na Evelyn Hillingdon, była to bardzo długa wypowiedź. Panna Marple spojrzała w zamyśleniu na ciemnowłosą kobietę.

— Problem w tym — rzekł pan Rafiel tonem nie znoszącym sprzeciwu — że wszyscy uwielbiają mówić o cudzych dolegliwościach. Uważają, że każdy człowiek po pięćdziesiątce umrze wkrótce z powodu nadciśnienia, choroby wieńcowej czy czegoś podobnego. Bzdura! Jeśli człowiek mówi, że nic mu nie dolega, to ja mu wierzę. Sam najlepiej zna swój stan zdrowia. Która godzina? Za piętnaście dwunasta?

Już dawno powinienem być po kąpieli. Esther, dlaczego mi o tym nie przypomniałaś?

Pani Walters nie sprostowała. Podniosła się i zręcznie pomogła wstać panu Rafaelowi. Kiedy szli plażą, ona ostrożnie go podtrzymywała. Razem weszli do wody.

Señora de Caspearo otworzyła oczy i zamruczała:

— Jaki wstrętny starzec! Wszyscy oni są tacy brzydcy! Powinno się ich uśmiercać w wieku czterdziestu, albo lepiej trzydziestu pięciu lat. Mam rację?

Usłyszeli chrzęst kroków Edwarda Hillingdona i Gregory'ego Dysona.

— Cześć Evelyn, jaka dzisiaj woda?

— Taka jak zawsze.

— Aha, bez zmian. Gdzie jest Lucky?

— Nie wiem — odrzekła Evelyn.

Panna Marple po raz kolejny spojrzała w zamyśleniu na leżącą, ciemnowłosą kobietę.

— A teraz zabawię się w wieloryba — powiedział Gregory, zrzucił jaskrawą, wzorzystą koszulę i popędził przez plażę. Wymachując ramionami, sapiąc głośno i parskając, wpadł do wody i popłynął szybkim kraulem. Edward Hillingdon usiadł na piasku obok żony i zapytał:

— Masz ochotę jeszcze raz się wykapać? Uśmiechnęła się i założyła czepek.

Weszli do morza w znacznie mniej widowiskowy sposób.

Señora de Caspearo znów otworzyła oczy.

— Na początku myślałam, że to ich miesiąc miodowy. On jest dla niej taki czarujący. Ale podobno są już osiem czy dziewięć lat po ślubie. To niewiarygodne, prawda?

— Ciekawe, gdzie jest pani Dyson? — spytała panna Marple.

— Ta Lucky? Jest z innym mężczyzną.

— Naprawdę tak pani sądzi?

— Na pewno — odrzekła señora de Caspearo — Taki typ kobiety. Tylko że ona nie jest już zbyt młoda. Mąż nie pozostaje jej dłużny. Zdradza ją na prawo i lewo.

Wiem, co mówię.

— No, tak — powiedziała panna Marple. — Na pewno pani wie.

Señora de Caspearo rzuciła jej zdziwione spojrzenie. Najwyraźniej nie spodziewała się takiego komentarza z jej strony. Ale panna Marple przyglądała się morskim falom z niewinnym wyrazem twarzy.

\*

— Proszę pani, czy mogę z panią porozmawiać?

— Oczywiście — odrzekła Molly Kendal. Siedziała za biurkiem w swoim biurze.

Victoria Johnson, ciemna wysoka dziewczyna w śnieżnobiałym uniformie, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi w jakiś znaczący, tajemniczy sposób.

— Chciałabym pani o czymś powiedzieć.

— Tak, słucham? Czy coś się stało?

— Tego nie wiem. Nic jestem pewna. Chodzi o tego starszego pana, który nie żyje.

O tego pana majora, który zmarł we śnie.

— Tak, tak. Słucham?

— W jego pokoju była buteleczka tabletek. Doktor pytał mnie o nie.

— Tak?

— Pan doktor powiedział: „Zobaczmy, co major miał w swojej apteczce” i tak zrobił. Znalazł na półce w łazience proszek do czyszczenia zębów, leki na niestrawność, aspirynę, leki z kory szalkaku i wreszcie buteleczkę tych tabletek o nazwie norma... normatens.

— Tak? — powtórzyła Molly.

— Pan doktor popatrzył na buteleczkę i pokiwał z zadowoleniem głową. Ale potem sama zaczęłam o tym rozmyślać i... Tych tabletek wcześniej tam nie było.

Nigdy ich nie widziałam w jego łazience. Inne rzeczy tak: proszek do zębów, aspirynę, wodę kolońską i tak dalej... Ale tych tabletek, tego normatensu, nigdy wcześniej nie zauważyłam.

— A wiec myślisz, że... — Molly była zdezorientowana.

— Nie wiem, co myśleć — odparła Victoria. — Wiem tylko, że coś jest nie w porządku. Stwierdziłam, że lepiej pani o tym powiem. Może powinna pani porozmawiać z panem doktorem. Może coś się za tym kryje. Ktoś na przykład podrzucił te tabletki, żeby pan major je połknął i umarł.

— Och, to raczej niemożliwe — powiedziała Molly. Victoria potrząsnęła ciemną czupryną.

— Nigdy nic nie wiadomo. Ludzie potrafią robić różne złe rzeczy.

Molly wyjrzała przez okno. To miejsce wyglądało jak raj na ziemi. Słoneczne, bezchmurne niebo, rafy koralowe, muzyka i taniec — prawdziwy eden. Jednak nawet nad rajem zawisł cień — cień grzechu i szatana. „Złe rzeczy” — och, jakże nienawidziła tych słów!

— Zajmę się tym, Victorio — rzekła ostro. — Nie martw się. Przede wszystkim jednak nie roznoś po hotelu głupich plotek.

Tim Kendal wszedł w momencie, kiedy Victoria niechętnie zbierała się do odejścia.

— Czy coś się stało, Molly?

Zawahała się. Victoria mogła z tym pójść także do niego. Dlatego też powtórzyła mu słowa dziewczyny.

— Nie rozumiem, o co to całe zamieszanie. Właściwie jakie to były tabletki?

— No cóż, sama nie wiem, Tim. Kiedy przyjechał doktor Robertson, powiedział chyba, że mają coś wspólnego z nadciśnieniem.

— W takim razie wszystko się zgadza. Miał nadciśnienie, więc zażywał lekarstwa.

To normalne. Znam wielu takich ludzi.

— Tak — Molly zawahała się — ale Victoria uważa, że jedna z tych tabletek mogła go zabić.

— Och, kochanie! To chyba zbyt melodramatyczne. Sądysz, że ktoś mógł

zamienić jego lekarstwo na nadciśnienie na jakieś inne tabletki, którymi się otrul?

— Tak, jak to przedstawiasz, rzeczywiście brzmi absurdalnie — powiedziała Molly skruszonym głosem — ale Victoria chyba tak właśnie pomyślała.

— Głupia dziewczyna! Oczywiście możemy iść i zapytać o wszystko doktora Grahama, na pewno będzie wiedział. Ale naprawdę myślę, że to nonsens i nie warto mu zawracać głowy.

— Też tak myślę.

— Skąd u diabła przyszło tej dziewczynie do głowy, że ktoś mógł zamienić lekarstwa, że wsypał inne tabletki do tej samej fiołki?

— Nie wiem, czy dobrze ją zrozumiałam — rzekła Molly bezradnie. — Victoria chyba uważa, że tej fiołki z... normatensem wcześniej tam nie było.

— Ależ to bzdura! Musiał przecież zażywać te leki regularnie, aby obniżyć ciśnienie krwi — powiedział Tim Kendal i poszedł beztróska na spotkanie z Fernandem, szefem sali restauracyjnej.

Molly nie potrafiła jednak przestać myśleć o tej sprawie. Kiedy minęło już zamieszanie związane z lunchem, powróciła do niej.

— Tim — zagadnęła męża — zastanawiałam się, co będzie, jeśli Victoria, zacznie rozpowiadać wszystkim wokół o tej sprawie. Może powinniśmy zapytać kogoś o radę?

— Moja droga! Robertson i jego ludzie byli już tutaj, obejrzeliby wszystko dokładnie i wy pytali nas o wszystko, co ich interesowało.

— No tak, ale wiesz, jak to jest z tymi dziewczynami... — No dobrze! Mam pomysł. Poradzimy się doktora Grahama. On będzie wiedział, co z tym zrobić.

Doktor Graham siedział na swojej werandzie z książką w ręku. Młodzi ludzie podeszli do niego i Molly zaczęła wyłuszczać sprawę. Mówiła trochę nieskładnie, więc zabrał głos Tim.

— To brzmi dosyć idiotycznie — wyjaśnił przeproszającym tonem — lecz, o ile dobrze zrozumiałem, ta dziewczyna umyśliła sobie, że ktoś wsypał truciznę do fiołki z... jak się nazywało to lekarstwo? Do fiołki z normatensem.

— Ale skąd coś takiego przyszło jej do głowy? — zapytał doktor. — Czy widziała lub słyszała coś niezwykłego? Skąd w ogóle ten pomysł?

— Nie wiem — powiedział Tim bezradnie. — Ta fiołka była chyba inna, tak Molly?

— Nie — odrzekła Molly. — Victoria zdaje się powiedziała, że fiołka z tym norma... normate...

— Z normatensem — podpowiedział lekarz. — Zgadza się. To popularne lekarstwo. Major zażywał je regularnie.

— Victoria powiedziała, że nigdy wcześniej nie widziała tej fiołki w jego pokoju.

— Nigdy wcześniej jej nie widziała? — zapytał ostro Graham. — Jak to?

— Tak właśnie mówiła. Mówiła, że na półce w łazience były różne rzeczy. Wie pan, proszek do zębów, aspiryna, woda kolońska... och, wymieniła wszystko bez zająknięcia. Zapewne regularnie sprzątała tę półkę, dlatego tak dobrze pamiętała, co tam było. Ale tę jedną rzecz, fiołkę z normatensem, zobaczyła tam dopiero w dzień śmierci majora.

— To bardzo dziwne — głos doktora Grahama wcale nie złagodniał. — Czy jest tego pewna?

Zaskoczeni tonem głosu, Kendalowie ze zdziwieniem patrzyli na lekarza. Nie spodziewali się, że doktor Graham tak zareaguje.

— Była o tym przekonana — rzekła Molly wolno.

— Może chciała po prostu wywołać sensację — zasugerował Tim.

— Może — powiedział doktor. — Wolałbym jednak osobiście zamienić kilka słów z tą dziewczyną.

\*

Victoria była wyraźnie zadowolona, że mogła raz jeszcze o wszystkim opowiedzieć.

— Nie chciałabym mieć żadnych kłopotów — wyjaśniła. — Nie postawiłam tam tej buteleczki i nie wiem, kto to zrobił.

— Ale uważasz, że ktoś ją tam podrzucił? — zapytał Graham.

— Widzi pan, panie doktorze, tak musiało się stać, skoro nie było jej tam wcześniej.

— Major Palgrave mógł ją trzymać w szufladzie albo w teczce, czy jakimś innym miejscu.

Victoria potrząsnęła głową i oświadczyła rezolutnie:

— Raczej nie, skoro brał tabletki regularnie, prawda?

— Prawda — przyznał Graham niechętnie. — Ten lek musiałyby zażywać kilka razy dziennie. Nigdy nie widziałaś, jak to robił?

— Wiem, że nie miał tej buteleczki wcześniej. Pomyślałam więc, że te tabletki mogą mieć związek z jego śmiercią, że były zatrute czy coś w tym rodzaju. Może miał

jakiegoś wroga, który mu to podrzucił, żeby go zabić.

— Nonsens, dziewczyno! — zaprotestował lekarz. — Oczywisty nonsens! Victoria była zaskoczona.

— Mówi pan, że te tabletki były lekarstwem? Dobrym lekarstwem? — zapytała z powątpiewaniem.

— Dobrym, co więcej: bardzo potrzebnym lekarstwem — odrzekł Doktor. — Nie musisz się niczym martwić, Victorio. Zapewniam cię, że w tych tabletkach nie było nic szkodliwego. To właściwy lek, który zażywa się przy określonych dolegliwościach.

— Och, panie doktorze, zdjął mi pan kamień z serca! — zawołała Victoria i pokazała śnieżnobiałe zęby w radosnym uśmiechu.

Niestety, nikt nie zdjął kamienia z serca doktora Grahama. Jego niepokój, początkowo tak mglisty,

stawał się coraz bardziej wyraźny.

## **Rozdział ósmy**



# Rozmowa z Esther Walters

— Ten hotel nie jest już taki jak dawniej — powiedział pan Rafiel do sekretarki, zirytowany widokiem zbliżającej się do nich panny Marple. — Ledwie człowiek usiądzie spokojnie, a już naprzykrzają mu się jakieś stare kwoki. Po co takie babcie w ogóle przyjeżdżają na Karaiby?

— A gdzie według pana powinny jeździć? — zapytała Esther Walters.

— Do Cheltenham — odpowiedział natychmiast Rafiel. — Albo do Bournemouth

— zaproponował — lub do Torquay czy Llandrindod Wells. Mają ogromny wybór.

To ładne miejsca. Z pobytu tam staruszki są wystarczająco zadowolone.

— Przypuszczam, że zazwyczaj nie mogą sobie pozwolić na wyjazd do Indii Zachodnich — zauważyła Esther. — Nie wszyscy mają tyle szczęścia, co pan.

— Faktycznie! — zawołał. — Wypominaj mi to, proszę bardzo! Przyjechałem tu obolały, cierpiący i niepełnosprawny. Jest czego zazdrościć! Za to ty nic nie robisz.

Dlaczego jeszcze nie przepisałaś moich listów na maszynie?

— Nie miałam czasu.

— No więc zabierz się zaraz do pisania, dobrze? Przywiozłem cię tutaj, żebyś pracowała, a nie siedziała na słońcu i prezentowała swoje wdzięki.

Ktoś mógłby uznać, że pan Rafiel zachowywał się wyjątkowo nieznośnie, ale Esther Walters, która pracowała u niego od kilku lat, doskonale wiedziała, że staruszek „więcej szczekał niż kąsał”. Ten człowiek cierpiał z powodu prawie nieustającego bólu i niegrzeczne uwagi były jednym ze sposobów ulżenia sobie.

Niezależnie od tego, co mówił, Esther Walters pozostawała niewzruszona.

— Piękny wieczór, prawda? — zagadnęła panna Marple, siadając obok nich.

— Co w tym niezwykłego? — spytał pan Rafiel.

— Przecież właśnie dlatego tu przyjechalіśmy.

Panna Marple zaśmiała się cicho.

— Jest pan taki surowy. Pogoda jest typowym dla Anglików tematem do rozmów.

Powiedziałam to z przyzwyczajenia... Ojej, to nie ten kolor wełny! — Położyła torbę z robótką na stoliku i podreptała w stronę swojego bungalowu.

— Jackson! — Wrzasnął pan Rafiel. Pielęgniarsz pojawił się natychmiast.

— Zaprowadź mnie do domu — polecił Rafiel. — Zrobisz mi teraz masaż.

Idziemy, zanim pojawi się ta stara kwoka. Co wcale nie znaczy, że te masażę mi pomagają — dorzucił. Potem pozwolił podnieść się i, asekurowany przez masażystę, poszedł do bungalowu.

Esther Walters odprowadziła ich wzrokiem, a następnie zwróciła głowę w stronę panny Marple, która nadchodziła z kłębkim nowej wełny:

— Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam? — zapytała staruszka.

— Oczywiście, że nie — odrzekła Esther Walters. — Za chwilę muszę iść przepisać coś na maszynie, ale jeszcze przez dziesięć minut zamierzam rozkoszować się zachodem słońca.

Panna Marple usiadła więc i zaczęła mówić do Esther Walters. Przypatrywała się jednocześnie sekretarce Rafiela. Nie była to olśniewająco piękna kobieta, ale mogłaby wyglądać całkiem atrakcyjnie, gdyby tylko spróbowała. Panna Marple, zastanawiała się, dlaczego Esther tego nie robi. Możliwe, że nie spodobałoby się to panu Rafielowi, ale, zdaniem panny Marple, byłoby mu to raczej obojętne. Tak bardzo był zajęty sobą, że — o ile nie poczułby się zaniedbywany — nie miałby nic przeciwko, nawet gdyby jego sekretarka wyglądała jak rajska hurysa. Poza tym pan Rafiel zwykle kładł się spać wcześniej, więc podczas wieczornych dansingów Esther Walters mogłaby spokojnie... — panna Marple szukała w myśli odpowiedniego określenia, prowadząc równocześnie swobodną rozmowę na temat wycieczki do Jamestown — no tak: mogłaby rozkwitać! Uroda Esther mogłaby rozkwitać wieczorami.

Zręcznie nakierowała rozmowę na temat pielęgniarsza Jacksona. Esther Walters odpowiadała dosyć wymijająco.

— To bardzo kompetentny i doświadczony masażysta — wyjaśniła.

— Przypuszczam, że pracuje u pana Rafiela od wielu lat.

— Ależ nie. Zdaje się, że od jakichś dziewięciu miesięcy.

— Jest żonaty? — próbowała zgadnąć panna Marple.

— Żonaty? — Esther zdziwiła się. — Nie sędzę. Nigdy o tym nie wspominał.

Jeżeli tak, to... Nie — stwierdziła po chwili. — Moim zdaniem na pewno nie jest żonaty — posumowała z lekkim rozbawieniem.

Panna Marple zinterpretowała sobie to zdanie w następujący sposób: „W każdym razie nie zachowuje się jak człowiek żonaty”. Z drugiej jednak strony, ilu żonatych mężczyzn zachowywało się tak, jakby nie mieli żon? Panna Marple mogłaby podać z tuzin takich przykładów!

— Jest dosyć przystojny — powiedziała w zamyśleniu.

— Tak, chyba tak — zgodziła się Esther, nie wykazując zainteresowania.

Panna Marple rozważała te odpowiedzi. Czyżby nie interesowali jej mężczyźni? A może myśli tylko o jednym z nich? Podobno jest wdową...

— Od dawna pracuje pani dla pana Rafiela? — zapytała.

— Od pięciu lat. Po śmierci męża musiałam wrócić do pracy zawodowej. Mam córkę, która chodzi do szkoły, a mąż nie zostawił nam zbyt wiele.

— Pan Rafiel musi być bardzo trudnym pracodawcą — zaryzykowała stwierdzenie panna Marple.

— Nie bardzo, jeśli się go dobrze pozna. Często wpada we wściekłość i bywa dosyć kłótlivy. Moim zdaniem cały problem polega na tym, że męczą go inni ludzie.

Przez ostatnie dwa lata miał pięciu pielęgniarzy. Lubi szukać sobie nowych ofiar. Ale ze mną zawsze potrafił dojść do porozumienia.

— Pan Jackson to zapewne bardzo usłużny młody człowiek?

— Tak, zaradny i taktowny — przyznała Esther. — Oczywiście czasami jest trochę... — przerwała

Panna Marple zastanowiła się.

— Chce pani powiedzieć, że jego pozycja jest dosyć nieokreślona? Nie wiadomo, czy to pielęgniarz, służący czy masażysta? — podpowiedziała.

— No tak. Jest wszystkim po trosze. Mimo wszystko — uśmiechnęła się — myślę, że jest zupełnie zadowolony.

Nad tą informacją panna Marple także się zastanowiła. Jednak niewiele jej to dało.

Kontynuowała więc swoją pozornie chaotyczną pogawędkę i wkrótce dowiedziała się sporo rzeczy na temat czworga miłośników przyrody: państwa Dysonów i Hillingdonów.

— Hillingdonowie przyjeżdżają tu co najmniej od trzech czy czterech lat —

wyjaśniła sekretarka. — Ale Gregory Dyson spędził tu znacznie więcej czasu.

Doskonale zna Indie Zachodnie. Zdaje się, że najpierw przyjeżdżał ze swoją pierwszą żoną. To była osoba o delikatnym zdrowiu, która musiała spędzać zimy za granicą, w każdym razie w jakimś ciepłym miejscu.

— Zmarła czy rozwiedli się?

— Nie, zmarła. Gdzieś tutaj. To znaczy nie na St. Honoré, ale na jakiejś innej wyspie w Indiach Zachodnich. To nie była zwyczajna sprawa, chyba wybuchł jakiś skandal. On nigdy o pierwszej żonie

nie mówi. Słyszałam o tym od innej osoby.

Przypuszczam, że nie najlepiej się między nimi układało.

— A potem ożenił się z tą panią Lucky — panna Marple wypowiedziała ostatnie słowo z lekką dezaprobatą, jakby chciała dorzucić: „Cóż to za dziwne imię?”

— Wydaje mi się, że to krewna jego pierwszej żony.

— Od dawna przyjaźnią się z Hillingdonami?

— Och, sądzę, że dopiero od czasu, kiedy Hillingdonowie przyjechali tu po raz pierwszy. Od trzech czy czterech lat, nie dłużej.

— Państwo Hillingdonowie wydają się sympatyczni — zauważyła starsza pani. —

Są bardzo spokojni.

— Rzeczywiście, to spokojni ludzie.

— Wszyscy uważają, że są sobie wyjątkowo oddani — powiedziała panna Marple obojętnym tonem, lecz Esther Walters spojrzała na nią ostro.

— Pani jest innego zdania? — spytała.

— Ależ pani także, prawda moja droga?

— No cóż, czasami zastanawiam się...

— Takim cichym mężczyznom jak pułkownik Hillingdon ekstrawaganckie kobiety wydają się często pociągające. — Następnie zrobiła znaczącą pauzę i dodała: —

Lucky, jakie dziwne imię. Czy sądzi pani, że jej mąż się czegoś domyśla?

„Stara plotkara!”, pomyślała Esther Walters i odrzekła chłodno:

— Nie mam pojęcia.

Panna Marple ponownie zmieniła temat.

— Smutna sprawa z tym majorem Palgravem — zauważyła.

Esther bez przekonania przyznała jej rację.

— Tak naprawdę, to żal mi Kendalów — powiedziała sekretarka.

— Rzeczywiście, to przykre, kiedy coś takiego zdarza się w hotelu.

— Widzi pani, ludzie przyjeżdżają tutaj, żeby się dobrze bawić — wyjaśniała Esther — aby zapomnieć o chorobach i śmierci, o podatku dochodowym, zamarzających rurach i tym podobnych kłopotach. Nikt nie lubi — w jej głosie pojawił się nagle zupełnie inny ton — kiedy przypomina mu się o śmierci.

Panna Marple odłożyła robótkę.

— Dobrze powiedziane, moja droga — rzekła. — Naprawdę, bardzo dobrze. Ma pani rację.

— Oni są jeszcze tacy młodzi — kontynuowała Esther Walters. — Zaledwie pół roku temu przejęli ten interes po Sandersonach i strasznie się obawiają, czy im się powiedzie, ponieważ nie mają zbyt wielkiego doświadczenia.

— Czy pani sądzi, że to wydarzenie może im naprawdę zaszkodzić?

— Szczerze powiedziawszy, nie — odparła Esther. — Nie sądzę, aby tutaj pamiętało się o czymś dłużej niż przez jeden czy dwa dni. Mówi się: „Wszyscy przyjechaliśmy na Karałby, aby dobrze się bawić, więc bawmy się dalej”. Myślę, że śmierć wstrząsa trochę ludźmi, pamiętają o niej przez jeden dzień, ale już po pogrzebie nikt o niej nie myśli. Chyba, że ktoś im o tym przypomina. To właśnie powiedziałam Molly, ale ona oczywiście lubi się zamartwiać.

— Pani Kendal? Zawsze wydaje się taka beztraska.

— Myślę, że tylko taką odgrywa — powiedziała Esther powoli. — Moim zdaniem należy do tych osób, które nie potrafią uwolnić się od myśli, że coś może im się nie udać.

— Sądziłam, że raczej jej mąż wszystkim się przejmuje.

— Nie, raczej nie. Według mnie to ona wiecznie się zamartwia, a on martwi się tym, że ona się martwi. Wie pani chyba, co mam na myśli.

— To ciekawe — stwierdziła panna Marple.

— Myślę, że Molly desperacko pragnie być szczęśliwa i na taką wyglądać. Dużo nad tym pracuje i ten wysiłek ją wyczerpuje. Dlatego ma te dziwne napady depresji.

Jest trochę... no cóż, trochę niezrównoważona.

— Biedne dziecko — rzekła staruszka. — Jakże często spotykamy takich ludzi i nawet ich o to nie podejrzewamy.

— Tak dobrze się maskują, prawda? Niemniej jednak — dodała Esther — nie sądzę, aby Molly miała w tym wypadku powód do zmartwień. Teraz, znacznie częściej niż kiedyś, ludzie umierają na chorobę wieńcową, wylew krwi do mózgu i tym podobne rzeczy. Dziś tylko zatrucie pokarmowe lub dur brzuszny robią na innych wrażenie.

— Major Palgrave nigdy nie wspomniał mi, że miał nadciśnienie — zauważyła panna Marple. — Czy pani o tym mówił?

— Powiedział to komuś, nie pamiętam komu. Może nawet panu Rafielowi. Wiem, że pan Rafiel twierdzi coś zupełnie innego, ale to u niego normalne. Na pewno kiedyś wspomniał mi o tym Jackson. Powiedział, że major powinien uważać z piciem alkoholu.

— Rozumiem — rzekła panna Marple w zamyśleniu i spytała: — Zapewne uważała pani majora za dosyć nudnego staruszka. Opowiadał mnóstwo anegdot i często się powtarzał.

— To było najgorsze — przyznała sekretarka. — Musiałam słuchać tych samych opowieści kilka razy, chyba że udało mi się wcześniej przed nim umknąć.

— Właściwie mnie to tak bardzo nie przeszkadzało — powiedziała starsza pani. —

Przyzwyczaiałam się. Nie mam nic przeciwko, jeśli po raz kolejny słyszę te same historie, ponieważ zwykle je zapominam.

— Ach tak! — Esther roześmiała się wesoło.

— Major szczególnie lubił opowiadać taką historię o morderstwie — zauważyła panna Marple. — Przypuszczam, że słyszała ją pani?

Esther Walters otworzyła torebkę i zaczęła w niej czegoś szukać. Wyjęła szminkę i rzekła:

— Obawiam się, że zgubiłam watek. Przepraszam, o co pani pytała?

— Zapytałam, czy major opowiadał pani swoją ulubioną historię o morderstwie.

— Chyba tak, teraz sobie przypominam. O ludziach, którzy zatruli się gazem, tak?

Właściwie to żona otruła męża. To znaczy podała mu jakiś środek .nasenny i włożyła jego głowę do piekarnika. O to chodzi?

— Niezupełnie — odparła staruszka. — Popatrzyła na Esther Walters w zadumie.

— Opowiadał tyle rzeczy — powiedziała skruszona sekretarka. — Mówiłam już, że nie zawsze go słuchałam.

— Miał zdjęcie — dodała panna Marple — które zwykle pokazywał rozmówcom.

— Tak, chyba miał. Nie .pamiętam, co na nim było. Pokazał, je pani?

— Nie — odrzekła panna Marple. — Nie pokazał. Przeszkodzono nam...

## **Rozdział dziewiąty**

# Panna Prescott i inni

— Słyszałam, że... — zaczęła opowiadać panna Prescott, zniżając głos i rozglądając się ostrożnie dookoła.

Panna Marple przysunęła bliżej krzesło. Minęło trochę czasu, zanim udało jej się pogawędzić z panną Prescott w cztery oczy. Ponieważ duchowni są bardzo rodzinni, panna Prescott prawie zawsze pojawiała się w towarzystwie swego brata. Bez wątpienia obu paniom łatwiej było poplotkować, kiedy pocziwy pastor nie znajdował

się w pobliżu.

— Wygląda na to... — mówiła panna Prescott — oczywiście nie chciałabym wywoływać żadnej sensacji i nic nie wiem o tej sprawie na pewno...

— Ależ rozumiem — uspokoiła ją panna Marple.

— Wygląda na to, że doszło do jakiegoś skandalu, jeszcze za życia jego pierwszej żony. Ta kobieta, Lucky (swoją drogą, co to za imię!) była kuzynką żony. Przyjechała tutaj, aby zajmować się razem z nim tymi kwiatami, motylami i tak dalej. Dużo się o tym mówiło, ponieważ oni dwoje mieli się ku sobie, wie pani, o czym myślę...

— Ludzie szybko zauważają takie rzeczy — przyznała panna Marple.

— A potem dosyć nieoczekiwanie zmarła jego żona.

— Umarła tutaj, na St. Honoré?

— Nie, nie. Byli chyba wtedy na Martynice albo Tobago.

— Rozumiem.

— Słyszałam jednak od osób, które tam wtedy pojechały, że lekarzowi nie podobała się ta sprawa.

— Naprawdę? — spytała zaciekawiona panna Marple.

— Oczywiście to tylko plotka, ale... no cóż, pan Dyson bardzo szybko ożenił się ponownie — zniżyła głos — zdaje się, że już po miesiącu.

— Już po miesiącu — powtórzyła panna Marple. Obie panie spojrzały na siebie.

— Mężczyzna zupełnie bez serca — stwierdziła panna Prescott.

— Tak, rzeczywiście — przyznała panna Marple.

— Czy wchodziły w grę jakieś pieniądze? — zapytała delikatnie.

— Doprawdy, nie wiem. Ale on często mówi żartem, że żona przyniosła mu szczęście. Pewnie słyszała to pani?

— Tak słyszałam — odparła.

— Zdaniem niektórych może to oznaczać, że szczęśliwie i bogato się ożenił.

Chociaż z drugiej strony —siostrą pastora sprawiała wrażenie osoby, która chce być zupełnie obiektywna — ona jest bardzo ładna, jeśli ktoś lubi ten typ urody. Osobiście sędzę, że to raczej pierwsza żona miała spory majątek.

— A czy Hillingdonowie są zamożni?

— No cóż. Myślę, że tak. Nie są bajecznie bogaci, ale wystarczająco zamożni.

Zdaje się, że kształcą swoich dwóch synów w ekskluzywnej prywatnej szkole, mają bardzo ładny dom w Anglii i większą część zimy spędzają na podróżach.

W tym momencie pojawił się pastor i zaproponował krótki spacer. Panna Prescott poszła z bratem, a panna Marple została na swoim miejscu.

Kilka minut później mijał ją Gregory Dyson, który szedł wielkimi krokami w stronę hotelu. Pomachał jej wesoło ręką.

— O czym pani tak rozmyśla? — zawołał.

Panna Marple uśmiechnęła się łagodnie. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby odrzekła: „Zastanawiałam się, czy jest pan mordercą”.

To naprawdę wydawało się bardzo prawdopodobne. Wszystko idealnie do siebie pasowało. Ta historia o śmierci pierwszej pani Dyson... Major Palgrave wyraźnie mówił o mordercy żon, robiąc aluzję do *Panien młodych w wannie*. Tak, wszystko wydawało się oczywiste, nawet zbyt oczywiste. Jedyne problem w tym, że elementy łamigłówki układały się zbyt łatwo... Panna Marple zganiła się za tę myśl. Kimże ona była, aby ustalać wzór zachowania prawdziwego mordercy?

Nagle podskoczyła, słysząc niespodziewanie głośne pytanie:

— Nie widziała pani Grega?

Panna Marple pomyślała, że Lucky nie była w najlepszym humorze.

— Właśnie tędy przechodził. Poszedł do hotelu.

— No oczywiście! — zawołała poirytowana Lucky i pospieszyła za mężem.

„Ma czterdziestkę jak nic — pomyślała panna Marple — a dzisiaj wygląda na swój wiek!” Zrobiło jej się żal wszystkich Luckych na świecie — kobiet tak zależnych od upływu czasu.



Usłyszawszy za sobą hałas, odwróciła krzesło. Pan Rafiel, podtrzymywany przez Jacksona, wychodził właśnie z bungalowu na poranne zażywanie świeżego powietrza.

Masażysta umieścił staruszkę na wózku inwalidzkim i krzątał się wokół niego. Pan Rafiel niecierpliwie odprawił pielęgniarza. Jackson odszedł w stronę hotelu.

Panna Marple postanowiła nie tracić czasu. Pan Rafiel nigdy nie pozostawał sam na długo. Zaraz pewnie przyjdzie do niego Esther Walters. Panna Marple chciała z nim zamienić kilka słów na osobności i pomyślała, że teraz nadeszła odpowiednia chwila. Będzie musiała szybko wyjaśnić, o co jej chodzi. Trzeba mówić wprost. Pana Rafiela nie interesowały rozwlekłe pogawędki o wszystkim i o niczym w stylu starszych pań. W takiej sytuacji wycofałby się zapewne do bungalowu, uznając się za ofiarę prześladowań. Panna Marple postanowiła działać otwarcie.

— Chciałabym pana o coś zapytać — powiedziała.

— W porządku — odparł. — Miejmy to już za sobą. O co pani chodzi? O składkę na cele dobroczynne, na misję w Afryce, remont kościoła czy coś innego?

— Rzeczywiście — przyznała. — Zajmuję się tego typu rzeczami i byłabym wdzięczna, gdyby ofiarował pan coś na cele charytatywne. Ale nie o to mi chodziło.

Chciałam zapytać, czy major Palgrave kiedykolwiek opowiadał panu historię o mordercy.

— Ach, więc pani też o tym mówił? — spytał Rafiel.

— Przypuszczam, że dała się pani nabrać. Oczarował panią tymi dramatycznymi opowieściami?

— Właściwie nie wiem, co tym sądzić — rzekła.

— A co on dokładnie panu powiedział?

— Wygadywał coś o jakiejś uroczej istocie, kolejnym wcieleniu Lukrecji Borgii.

Młoda, piękna, złotowłosa i tak dalej...

— Och! — zawołała trochę zaskoczona panna Marple

— I kogo ta kobieta zamordowała?

— Męża, oczywiście — odrzekł. — A pani myślała, że kogo?

— Dała mu truciznę?

— Nie, chyba tabletki nasenne. Potem wsadziła mu głowę do piekarnika w kuchence gazowej. Pomysłowa kobieta! Oświadczyła, że popełnił samobójstwo.

Łatwo się z tego wywinęła. Stwierdzono ograniczoną poczytalność czy coś w tym rodzaju. Tak to

teraz nazywają, jeśli mordercą jest piękna kobieta albo biedny młody chuligan, ukochany synalek mamusi.

— Czy major pokazywał panu zdjęcie?

— Zdjęcie tej kobiety? Nie. Dlaczego miałby to robić?

— Och! — westchnęła panna Marple.

Była zaskoczona. Widocznie major przez całe życie opowiadał ludziom nie tylko o tygrysach i słoniach, na które polował, ale także o mordercach, z którymi się zetknął.

Możliwe, że miał cały repertuar historii o różnych morderstwach. Należało się z tym pogodzić... Nagle wyrwał ją z zamyślenia krzyk pana Rafaela:

— Jackson! — zawołał. Nie było żadnej odpowiedzi.

— Czy chce pan, żebym go odszukała? — spytała panna Marple, podnosząc się.

— Nie znajdzie go pani. Ciągle gdzieś krąży. Taki już ma niespokojny charakter.

Ale w sumie jestem z niego zadowolony.

— Pójdę go poszukać — rzekła panna Marple. Znalazła Jacksona na tarasie.

Siedział w głębi i pił drinka z Timem Kendalem.

— Pan Rafael pana wzywa — oznajmiła.

Jackson zrobił wyrazisty grymas, opróżnił szklaneczkę i wstał.

— Ciągle to samo — mruknął. — Ani chwili spokoju. Myślałem, że załatwienie dwóch telefonów i zamówienie dla niego dietetycznego menu zapewni mi chociaż piętnastominutowe alibi. Widać, nic z tego! — zawołał Jackson, podziękował pannie Marple za wiadomość, panu Kendalowi za drinka i poszedł.

— Żal mi go — powiedział Tim. — Zapraszam go od czasu do czasu na drinka, żeby mu poprawić humor. A pani co mogę podać? Może pani ulubiony sok ze świeżej limony?

— Nie teraz, dziękuję. Przypuszczam, że opieka nad kimś takim jak pan Rafael musi być wyczerpująca. Niepełnosprawni bywają tacy uciążliwi...

— Nie o to mi właściwie chodziło. Jackson bardzo dobrze zarabia i spodziewał się, że będzie musiał wysłuchiwać takiego zrzędzenia. Stary Rafael nie jest znowu taki zły.

Miałem na myśli coś innego... — Zawahał się.

Panna Marple spojrzała na Tima pytająco.

— Jakby to powiedzieć... jego status wydaje się niejasny. Ludzie są okropnymi snobami. Nie ma tu nikogo o tej samej pozycji społecznej. Stoi wyżej niż służący, a niżej niż przeciętny turysta. Trochę jak guwernantka z epoki wiktoriańskiej. Nawet ta sekretarka, pani Walters, ma się za kogoś lepszego niż on. Skomplikowana sytuacja.

— Tim przerwał i dodał przejęty: — To naprawdę straszne, jak wiele problemów towarzyskich pojawia się w takim hotelu.

Minął ich doktor Graham. Usiadł z książką przy stoliku z widokiem na morze.

— Coś chyba martwi doktora Grahama — zauważyła panna Marple.

— Och, wszyscy tutaj mamy jakieś zmartwienia.

— Pan też? Czyżby z powodu śmierci majora Palgrave'a?

— Przestałem się już tym przejmować. Goście jakby zapomnieli o tym zdarzeniu.

Nie, chodzi o moją żonę, Molly. Czy zna się pani na snach?

— Snach? — zdziwiła się panna Marple.

— Tak. Myślę o złych snach, właściwie koszmarach. Każdemu z nas czasami się zdarzają. Ale zdaje się, że Molly ma je prawie co noc. Jest przerażona. Można coś na to zaradzić? Czy są jakieś lekarstwa? Brała już tabletki nasenne, ale one tylko pogarszają sprawę. Usiłuje się obudzić i nie może.

— O czym są te sny?

— Coś lub ktoś ją goni, śledzi, szpieguje. Nie może się pozbyć tego wrażenia nawet na jawie.

— Jestem pewna, że doktor...

— Ona jest wrogiem lekarzy. Nie chce nawet o tym słyszeć. No cóż, przypuszczam, że to wkrótce minie. Jeszcze niedawno byliśmy tacy szczęśliwi, wszystko się tak dobrze układało i nagle ta historia z majorem... Chyba śmierć staruszka Palgrave'a bardzo ją zdenerwowała. Od tego czasu jest jakby inną osobą...

— Wstał. — Muszę wracać do swoich obowiązków. Na pewno nie ma pani ochoty na sok z limony?

Panna Marple potrząsnęła głową. Została sama ze swoimi myślami. Była poważnie zaniepokojona. Zerknęła na doktora Grahama i nagle podjęła decyzję. Wstała i podeszła do jego stolika.

— Powinnam pana przeprosić, doktorze — zaczęła.

— Czyżby? — doktor spojrział na nią ze zdziwieniem. Podsunął jej krzesło, aby usiadła.

— Obawiam się, że zrobiłam najbardziej haniebną rzecz na świecie — rzekła. —

Umyślnie pana doktora okłamałam.

Spojrziała na niego pełna obaw. Doktor Graham był trochę zaskoczony, lecz bynajmniej nie zdruzgotany.

— Naprawdę? — spytał. — No cóż, nie może się pani tak bardzo tym przejmować.

Zastanawiał się, w jakiej sprawie ta miła staruszka mogła go okłamać? Na temat swojego wieku? Ale o ile sobie przypominał, nie mówiła mu nigdy, ile ma lat.

— Posłuchajmy więc, co pani ma do powiedzenia — zaproponował, widząc, że panna Marple wyraźnie pragnie mu wszystko wyznać.

— Pamięta pan, jak mówiłam panu o tym zdjęciu siostrzeńca, które pokazywałam majorowi Palgrave'owi i którego mi nie oddał?

— Tak. Oczywiście, że pamiętam. Przykro mi, że nie udało nam się znaleźć tego zdjęcia.

— Nie było żadnego zdjęcia siostrzeńca — powiedziała panna Marple cichym głosem.

— Słucham?

— Nie było zdjęcia siostrzeńca. Obawiam się, że wymyśliłam tę całą historię.

— Wymyśliła pani? — spytał lekarz lekko rozdrażniony. — Dlaczego?

Panna Marple wyjaśniła. Opowiedziała o tym, jak major Palgrave wspomniał

historię o morderstwie, jak zamierzał pokazać jej zdjęcie mordercy i jaki był później zmieszany. Następnie opisała swoje obawy, pod wpływem których postanowiła spróbować jakoś dotrzeć do tego zdjęcia.

— Naprawdę nie widziałam innego sposobu, jak tylko opowiedzieć panu tę całkowicie zmyśloną historyjkę — rzekła. — Mam nadzieję, że mi pan wybaczy.

— Sądzi pani, że major rzeczywiście chciał pani pokazać fotografię mordercy?

— Tak właśnie powiedział — odparła. — Twierdził, że dostał ją od znajomego, od którego usłyszał tę historię o mordercy.

— Tak, tak. A pani, przepraszam, że spytam, uwierzyła mu?

— Nie wiem, czy wtedy mu uwierzyłam, czy nie — odpowiedziała. — Tylko że, widzi pan,

następnego dnia major już nie żył.

— Tak — przyznał doktor Graham, wstrząśnięty jasnością tego jednego zdania.

„Następnego dnia już nie żył”...

— A zdjęcie zniknęło.

Doktor Graham spojrział na starszą panią.. Nie wiedział właściwie, co powiedzieć.

— Wybacz pani — rzekł w końcu — ale czy tym razem mówi mi pani prawdę?

— Nie dziwie się, że mi pan nie dowierza — powiedziała. — Na pana miejscu też bym miała wątpliwości. Ale tak, to co teraz mówię, jest prawdą. Zdaje sobie jednak sprawę, że ma pan na to tylko moje słowo. Mimo wszystko, nawet jeśli mi pan nie wierzy, sądziłam, że powinnam panu o tym powiedzieć.

— Dlaczego?

— Doszła do wniosku, że powinien pan poznać jak najwięcej faktów, w razie gdyby...

— W razie czego?

— W razie, gdyby postanowił pan podjąć jakieś kroki w tej sprawie.

## **Rozdział dziesiąty**

### **Decyzja podjęta w Jamestown**

Doktor Graham znajdował się w biurze administratora wyspy, w Jamestown. Po drugiej stronie biurka siedział jego przyjaciel, Daventry — młody, poważny mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu lat.

— Byłeś dosyć tajemniczy podczas naszej rozmowy telefonicznej — stwierdził

Daventry. — Czy masz jakiś problem?

— Jeszcze nie wiem — odrzekł doktor Graham — ale pewna rzecz nie daje mi spokoju.

Daventry przyjrzał się lekarzowi. Potem podziękował skinieniem głowy służącemu, który przyniósł napoje. Opowiadał swobodnie o swojej ostatniej wyprawie na ryby, a kiedy tamten wyszedł, poprawił się na krześle i spojrział na Grahama.

— A teraz mów — powiedział.

Doktor przedstawił mu wszystkie niepokojące go fakty. Daventry zagwizdał cicho.

— Rozumiem. Uważasz, że było coś dziwnego w tej historii ze starym Palgrave'em. Nie jesteś pewien, czy zmarł śmiercią naturalną. A kto podpisał

świadczenie zgonu? Przypuszczam, że Robertson. I nie miał żadnych wątpliwości, prawda?

— Nie, ale myślę, że kiedy wystawiał świadectwo, mógł się zasugerować tymi tabletkami znalezionymi w łazience. Zapytał mnie, czy Palgrave wspominał, że cierpi na nadciśnienie, a ja odpowiedziałem, że nigdy nie rozmawiałem z nim na ten temat, ale chyba mówił o tym innym gościom. Ta fiołka z tabletkami i wypowiedzi innych osób... wszystko razem do siebie pasowało. Nie było najmniejszego powodu do podejrzeń. Wtedy nasunęły się zupełnie oczywiste wnioski, ale teraz sądzę, że mogły być niewłaściwe. Gdybym ja wystawiał świadectwo zgonu, napisałbym to samo bez chwili wahania. Przyczyna śmierci majora wydawała się oczywista i nie pomyślałbym o tym już nigdy, gdyby nie to dziwne zniknięcie zdjęcia...

— Posłuchaj — rzekł Daventry. — Nie obraż się, ale czy przypadkiem nie za bardzo przejąłeś się tą dziwną historyjką opowiedzianą ci przez staruszkę? Wiesz, jakie są te starsze panie. Chwytają się jakiegoś drobnego szczegółu i wyolbrzymiają całkiem zwyczajną rzecz.

— Tak, wiem — odparł doktor nieszczęśliwym głosem.

— Zdaje sobie z tego sprawę. Stwierdziłem, że to możliwe i tak zapewne jest. Nie potrafiłem jednak sam siebie do końca przekonać. To, co mówiła, brzmiało tak logicznie.

— Wszystko wydaje mi się mało prawdopodobne — powiedział Daventry. —

Jakaś staruszka opowiada ci historyjkę o zdjęciu, którego nie powinno być w portfelu... nie, nie, chyba coś pokręciłem: które powinno tam być... Tak naprawdę jedynym pewniejszym punktem oparcia jest oświadczenie pokojówki. Dziewczyna twierdzi, że fiołki z tabletkami, uznanej przez lekarza sądowego za dowód, nie widziała wcześniej w pokoju majora. Ale to można wytłumaczyć na setki sposobów.

Major mógł nosić tabletki w kieszeni.

— Tak, to możliwe.

— Albo pokojówka mogła się pomylić. Po prostu nie zauważyła fiołki wcześniej.

— To też możliwe.

— Cóż zatem?

— Dziewczyna mówiła z przekonaniem — rzekł Graham powoli.

— No cóż, wiesz przecież, że mieszkańcy St. Honoré łatwo się ekscytują. Do wszystkiego podchodzą bardzo emocjonalnie, wszystkim się przejmują. Myślisz, że ona wie więcej, niż mówi?

— Wydaje mi się to dosyć prawdopodobne — odparł Graham z namysłem.

— A więc lepiej spróbuj to z niej wydobyć. Nie chciałbym robić niepotrzebnego zamieszania wokół całej sprawy, dopóki nie dowiemy się czegoś konkretnego. Skoro przyczyną śmierci nie było nadciśnienie, to co według ciebie?

— Tyle jest dzisiaj skutecznych środków, które można wykorzystać...

— Masz na myśli takie, które nie pozostawiają śladów?

— Nie wszyscy są na tyle uprzejmi, aby podawać ofierze arszenik — powiedział doktor Graham ironicznie.

— Wyjaśnij więc swoje podejrzenia. Sugerujesz, że fiołka z tabletkami została podmieniona, a w tej drugiej znajdowała się trucizna?

— Nie, nie. Tak myśli ta pokojówka, Victoria... nie pamiętam jej nazwiska. Ale ona się myli. Jeśli ktoś chciał się szybko pozbyć majora, wystarczyło wsypać mu coś do drinka, aby śmierć wyglądała na naturalną, podrzucić do jego pokoju fiołkę z lekami zalecanymi na nadciśnienie, a jednocześnie puścić plotkę o rzekomej dolegliwości majora.

— A kto puścił tę plotkę?

— Próbowałem się dowiedzieć. Bezskutecznie. Ktoś był wyjątkowo sprytny. Pan Iks twierdzi, że usłyszał o tym od pani Igrek, a pani Igrek tłumaczy, że nic takiego nie mówiła, ale zdaje się, że wspominał o tym kiedyś pan Zet. Pan Zet wyjaśnia, że na ten temat rozmawiało kilka osób, a jedną z nich był chyba pan Iks... Błędne koło.

— Mówisz, że ktoś był wyjątkowo sprytny...

— Tak. Kiedy tylko okazało się, że major nie żyje, wszyscy mówili o jego nadciśnieniu, powtarzając, co usłyszeli od innych.

— Czy nie prościej byłoby zwyczajnie go otruć i na tym koniec?

— Nie. To oznaczałoby dochodzenie i najprawdopodobniej sekcję zwłok. A tak przyjechał lekarz, stwierdził zgon i wystawił odpowiednie świadectwo.

— Co chcesz, żebym zrobił? Zawiadomił Brytyjską Policję Kryminalną?

Zasugerował, aby go odkopali? Sprawa zrobi się nieprzyjemna...

— Można to utrzymać w tajemnicy.

— Tutaj? Na St. Honoré? Zastanów się! Wszystko rozniesie się pocztą pantoflową, zanim do czegokolwiek się zabierzemy. A jednak... — Daventry westchnął —

musimy chyba coś z tym zrobić. Chociaż, moim zdaniem, okaże się to zupełnie niepotrzebne.

— Obyś miał rację — powiedział doktor Graham.

## Rozdział jedenasty

### Wieczór w Złotej Palmie

Molly poprawiała nakrycia w sali restauracyjnej: zabrała niepotrzebny nóż, wyrównała leżący krzywo widelec, przestawiła kilka kieliszków i odeszła parę kroków, aby sprawdzić ostateczny efekt. Potem wyszła na taras. Nie było tam jeszcze nikogo, więc wolnym krokiem ruszyła w stronę oddalonego krańca tarasu i zatrzymała się przy balustradzie.

Zaczynał się kolejny wieczór wypełniony beztroskimi rozmowami i wesołymi toastami. Życie, za którym długo tęskniła i z którego jeszcze kilka dni temu była tak bardzo zadowolona. A teraz nawet Tim wydawał się zaniepokojony i podenerwowany. Oczywiście nic dziwnego, że się trochę martwił. Zależało mu, aby przedsięwzięcie się powiodło. W końcu zainwestował w ten interes wszystko, co miał.

Molly uważała jednak, że nie tym się naprawdę przejmował. Chodziło o nią. Ale dlaczego miałby się o nią martwić? Bo tego, że się martwił, była najzupełniej pewna.

Te pytania, które jej zadawał, szybkie i nerwowe spojrzenia rzucone na nią od czasu do czasu...

Zastanawiała się, dlaczego tak się działo. Była przecież bardzo ostrożna.

Rozważyła wszystko dokładnie. Nie potrafiła niczego pojąć. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy się to zaczęło. Nawet nie była pewna, co się z nią właściwie dzieje. Zaczęła bać się innych ludzi, ale nie wiedziała dlaczego. Co mogliby jej zrobić?

Dlaczego w ogóle miałoby cokolwiek jej robić?

Pokiwała głową i nagle wzdrygnęła się. Poczła czyjąś rękę na swoim ramieniu.

Odwróciła się i zobaczyła trochę zaskoczonego Gregory'ego Dysona, który powiedział skruszony:

— Najmocniej przepraszam. Przestraszyłem cię, maleństwo?

Molly nie znosiła, kiedy nazywano ją „maleństwem”, więc odpowiedziała energicznie:

— Nie słyszałam, jak pan nadchodził, panie Dyson. Dlatego tak podskoczyłam.

— Panie Dyson? Zachowujesz się dzisiaj bardzo oficjalnie. Czyż nie jesteśmy tu wszyscy jedną rodziną? Ed i ja, Lucky, Evelyn, ty i Tim, Esther Walters i staruszek Rafie!. Wszyscy tworzymy wielką, szczęśliwą rodzinę.

„Zdążył już sobie trochę popić”, pomyślała Molly i uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

— Och, czasami kiepska ze mnie gospodyni — rzekła swobodnie. — Ja i Tim uważamy, że



grzeczniej jest nie zwracać się do gości po imieniu.

— Dajmy sobie spokój z tymi sztywnymi konwenansami! A teraz, kochana Molly, zapraszam cię na drinka.

— Może później — zaproponowała. — Mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

— Ależ, nie uciekaj! — Objął ją ramieniem. — Jesteś uroczą dziewczyną, Molly.

Mam nadzieję, że Tim docenia szczęście, jakie go spotkało.

— Och, myślę, że tak — odpowiedziała pogodnie.

— Wiesz, mógłbym naprawdę oszaleć na twoim punkcie — wyznał i spojrzał na nią pożądliwie. — Tylko wolałbym, żeby moja żona nie słyszała tego, co mówię.

— A jak się udała wasza popołudniowa wyprawa?

— Chyba dobrze. Ale tak między nami mówiąc, czasami mam już dość. Nudzą mnie te ptaki i motyle. A co byś powiedziała, gdybyśmy któregoś dnia wybrali się na mały piknik we dwoje?

— Zastanowię się — odparła Molly wesoło. — Czekam na konkrety! — Zaśmiała się i uciekła z powrotem do baru.

— Cześć Molly! — zawołał Tim. — Czemu się tak spieszysz. Z kim rozmawiałaś na tarasie? — Wyrzwał przez okno.

— Z Gregorym Dysonem — odparła.

— Czego chciał?

— Przystawiał się do mnie — wyjaśniła Molly.

— Niech go diabli!

— Nie denerwuj się — uspokoiła go Molly. — Sama poślę go do wszystkich diabłów. Umiem sobie z takimi radzić.

Tim zamierzał jeszcze coś powiedzieć, ale zauważył Fernanda i pospieszył za nim, aby wydać kilka poleceń. Molly wymknęła się kuchennymi drzwiami i zeszła po schodkach na plażę.

Gregory Dyson zaklął pod nosem. Potem ruszył wolno do swojego bungalowu. Był

już blisko drzwi, kiedy usłyszał głos kogoś ukrytego w cieniu krzewów. Odwrócił

głowę i przestraszył się. Z powodu zapadającego zmierzchu wydawało mu się przez chwilę, że ujrzał jakiegoś ducha. Potem roześmiał się. Postać wyglądała jak zjawą bez oblicza, ponieważ miała czarną

twarz i biały strój.

Victoria wyszła z krzaków na ścieżkę.

— Proszę pana...

— Tak, o co chodzi?

Zawstydzony wcześniejszym przestradchem, przemówił teraz lekko zniecierpliwiony. — Mam coś dla pana — wyciągnęła w jego stronę rękę, w której trzymała fiolkę z normatensem. — To należy do pana, prawda?

— Och, moje tabletki! Tak, tak oczywiście. Gdzie je znalazłaś?

— Znalazłam je tam, gdzie zostały zaniezione. W łazience tego dżentelmena.

— Co to znaczy: „w łazience tego dżentelmena”?

— Tego, który nie żyje — wyjaśniła poważnym tonem. — Nie wydaje mi się, żeby spoczywał w pokoju.

— Dlaczego nie, do diabła? — zapytał Dyson.

Victoria patrzyła na niego bez słowa.

— Nadal nie rozumiem, o czym ty mówisz. Czy to znaczy, że znalazłaś tę fiolkę z tabletkami w bungalowie majora Palgrave’a?

— Tak, zgadza się. Kiedy doktor i ci panowie z Jamestown wychodzili, kazali mi wyrzucić wszystko, co było w łazience. Proszek do zębów, wodę kolońską i inne rzeczy, łącznie z tą buteleczką.

— No więc dlaczego jej nie wyrzuciłaś?

— Dlatego, że te tabletki są pańskie. Pan ich szukał. Pytał mnie pan o nie, pamięta pan?

— No tak... szukałem. Myślałem, że... że gdzieś się po prostu zapodziały.

— Nie, nie zapodziały się. Zostały zabrane z pana bungalowu i podrzucone do majora Palgrave’a.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał gwałtownie.

— Wiem, bo widziałam — błysnęła w uśmiechu białymi zębami. — Ktoś zaniósł

buteleczkę do pokoju nieżyjącego dżentelmena. A teraz ją panu oddaję.

— Czekał, czekał. Co masz na myśli? Kogo widziałaś? Dziewczyna zniknęła pośpiesznie w cieniu krzewów.

Greg chciał ruszyć za nią, ale zrezygnował. Stał w miejscu i w zamyśleniu drapał

się w podbródek.

— Co się stało, Greg? Zobaczyłeś ducha? — zapytała pani Dyson, która nadeszła ścieżką od strony bungalowu.

— Przez chwile myślałem, że tak.

— Z kim rozmawiałeś?

— Z tą pokojówką, która u nas sprząta. Ma na imię Victoria, zdaje się.

— Czego chciała? Podrywała cię?

— Nie żartuj, Lucky. Ta dziewczyna wbiła sobie do głowy jakiś idiotyzm.

— Tak? A jaki?

— Pamiętasz, jak kilka dni temu nie mogłem znaleźć moich tabletek normatensu?

— Tak przynajmniej mówiłeś.

— Co to znaczy: „tak mówiłeś”?

— Och, do diabła! Czy zawsze musisz łapać mnie za słówka?

— Przepraszam — powiedział Greg. — Wszyscy zrobili się tacy cholernie tajemniczy. — Wyciągnął dłoń, w której trzymał fiolkę. — Ta dziewczyna przyniosła mi moje tabletki.

— A więc to ona je zwinęła?

— Nie. Chyba gdzieś znalazła.

— No i co w tym tajemniczego?

— Właściwie nic — odparł Greg. — Po prostu mnie wkurzyła. To wszystko.

— O co ci chodzi, Greg? Daj spokój! Chodź, napijemy się czegoś przed kolacją.

\*

Molly zeszła na plażę. Wzięła jeden ze starych, rozklekotanych foteli wiklinowych, rzadko już teraz używanych i usiadła na nim. Przez chwilę patrzyła na morze, nagle ukryła głowę w dłoniach i rozpłakała się. Wtem usłyszała obok siebie jakiś szelest.

Kiedy podniosła głowę, ujrzała nad sobą panią Hillingdon.

— Dobry wieczór, Evelyn. Przepraszam, nie usłyszałam cię...

— Co się stało, dziecinko? — zapytała Evelyn. — Coś złego? — Przysunęła sobie drugi fotel i usiadła. — Powiedz mi.

— Nic się nie stało — rzekła Molly. — Zupełnie nic.

— Ależ, tak. Stało się. Nie siedziałabyś tutaj zapłakana bez powodu. Nie możesz mi powiedzieć? Posprzeczaliście się z Timem?

— Nie, nie.

— Cieszę się. Wyglądacie na takich szczęśliwych.

— Wy także — odparła Molly. — Tim i ja uważamy, że to wspaniałe, kiedy po tylu latach małżeństwa dwoje ludzi jest tak bardzo szczęśliwych jak ty i Edward.

— No tak — powiedziała Evelyn. Jej głos zabrzmiał ostrzej, ale Molly tego nie zauważyła.

— Ludzie często się kłócą — rzekła Molly. — Awanturują się. Nawet jeśli się im na sobie zależy, i tak się kłócą. Wszystko im jedno, czy robią to w czterech ścianach, czy na oczach innych.

— Niektórzy lubią tak żyć — zauważyła Evelyn. — To im zupełnie nie przeszkadza.

— Ale ja myślę, że to straszne — rzekła Molly.

— Ja też, naprawdę — przyznała Evelyn.

— Jednak, kiedy patrzę na ciebie i Edwarda...

— Och nie, Molly. Nie mogę pozwolić, abyś nadal miała o nas mylne wyobrażenie.

Edward i ja... — przerwała. — Prawda jest taka, że przez ostatnie trzy lata prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

— Co? — Molly patrzyła na Evelyn z przerażeniem. — Ja... ja nie mogę w to uwierzyć.

— Och, oboje doskonale odgrywamy swoje role — wyjaśniła Evelyn. — Żadne z nas nie chciałoby kłócić się publicznie. Zresztą, tak naprawdę nie ma się o co kłócić.

— Ale co się stało?

— To co zwykle.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Jest ktoś inny...

— Zgadza się, inna kobieta. I nie sędzę, abyś miała kłopoty z odgadnięciem, kim jest ta inna.

— To znaczy... pani Dyson? Lucky? Evelyn skinęła głową.

— Rzeczywiście, ciągle ze sobą flirtują — przyznała Molly — ale myślałam, że to tylko...

— ...żarty i nic poza tym? — dokończyła Evelyn.

— Ale dlaczego... — Molly przerwała i zaczęła inaczej: — Czy nie próbowałaś, chciałam powiedzieć... No, cóż, chyba nie powinnam pytać.

— Pytaj, o co tylko zechcesz — rzekła Evelyn. — Jestem już zmęczona tym milczeniem i udawaniem przykładnej, szczęśliwej żony. Edward zupełnie stracił dla Lucky głowę. Był na tyle głupi, że mi to wyznał. Przypuszczam, że mu ulżyło. Poczul

się prawdopodobny, honorowy i tak dalej... Nie wziął pod uwagę moich uczuć.

— Chciał od ciebie odejść?

Evelyn potrząsnęła głową.

— Wiesz, że mamy dwoje dzieci — odparła — i oboje bardzo je kochamy. Są teraz w szkole, w Anglii. Nie chcieliśmy niszczyć im domu rodzinnego. Zresztą Lucky też wcale nie myślała o rozwodzie. Greg jest bardzo zamożnym człowiekiem.

Po pierwszej żonie odziedziczył duży majątek. Dlatego postanowiliśmy zostawić wszystko tak, jak jest, i nie przeszkadzać sobie. Edwarda i Lucky łączy miłość do grobowej deski, Greg żyje w błogiej nieświadomości, a ja pozostałam dobrą przyjaciółką męża. — Evelyn mówiła to z narastającą goryczą w głosie.

— Jak... jak w ogóle możesz to znieść?

— Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego. Ale czasami...

— Tak? — spytała Molly.

— Czasami miałabym ochotę ją zabić.

Sposób, w jaki wypowiedziała te słowa, przestraszył Molly.

— Nie mówmy już więcej o mnie — zaproponowała Evelyn. — Porozmawiajmy o tobie. Chciałabym usłyszeć, co się stało.

Molly milczała przez pewien czas, a potem odrzekła:

— Chodzi o to... Wydaje mi się, że coś jest ze mną nie w porządku.

— Nie w porządku? Co przez to rozumiesz? Molly potrząsnęła smutno głową.

— Boję się — wyznała. — Strasznie się boję.

— Czego się boisz?

— Wszystkiego — odrzekła Molly. — To mnie coraz bardziej prześladowuje.

Dźwięki dochodzące z zarośli, kroki za mną, jakieś głosy. Jakby przez cały czas ktoś mnie śledził, szpiegował. Ktoś mnie nienawidzi. Nie mogę się pozbyć uczucia, że ktoś mnie nienawidzi.

— Kochanie — Evelyn była zaszokowana — od jak dawna to trwa?

— Nie wiem. To się nie zaczęło nagle, tylko narastało stopniowo. Potem dołączyły się inne rzeczy.

— Jakie?

— Zdarza się — powiedziała Molly wolno — że czegoś nie potrafię sobie przypomnieć, po prostu nie pamiętam.

— Chcesz powiedzieć, że masz zaniki pamięci?

— Chyba tak. Jest, na przykład, piąta po południu, a ja nie pamiętam, co się zdarzyło powiedzmy o wpół do drugiej lub o drugiej.

— Ależ, moja droga. Mogłaś wtedy po prostu spać. To pora popołudniowej drzemki.

— Nie — rzekła Molly. — Nie w tym rzecz. Widzisz, kiedy wraca mi świadomość, nie wydaje się, aby to była tylko drzemka, ponieważ znajduję się w zupełnie innym miejscu. Czasami mam na sobie inne ubranie i wygląda na to, że coś robiłam, nawet z kimś rozmawiałam, ale niczego nie pamiętam.

Evelyn była wstrząśnięta.

— Ależ, Molly, kochanie! Skoro tak, powinnaś pójść do lekarza.

— Nie pójdę do lekarza! Nic chcę nawet o tym słyszeć.

Evelyn popatrzyła na dziewczynę uważnie i wzięła ją za rękę.

— Być może nic ma powodu do niepokoju, Molly. Jest dużo różnych zupełnie niegroźnych zaburzeń psychicznych. Lekarz na pewno to potwierdzi.

— A może nie. Może powie, że ze mną naprawdę dzieje się coś złego.

— Ale dlaczego właśnie z tobą miałyby dzieć się coś złego?

— Ponieważ... — zaczęła Molly i zamilkła. — Chyba pomyślałam tak bez powodu.

— A może ktoś z twojej rodziny mógłby... Masz chyba rodzinę, matkę albo siostry, które mogłyby cię odwiedzić?

— Z matką nigdy dobrze mi się nie układało. Mam jeszcze siostry. Są już zamężne, lecz sędzę, że przyjechałyby, gdybym poprosiła. Ale nic chcę ich widzieć.

Nie potrzebuję nikogo. Nikogo oprócz Tima.

— Czy on wie o wszystkim? Powiedziałaś mu? — Niezupełnie — odparła Molly.

— Jednak niepokoi się o mnie i obserwuje mnie. Wydaje się, jakby próbował mi pomóc, osłonić przed czymś. Skoro tak, to znaczy, że potrzebuje pomocy, prawda?

— Myślę, że wiele rzeczy może być wytworem twojej wyobraźni. Wciąż jednak uważam, że powinnaś pójść do lekarza.

— Do starego Grahama? On mi nie pomoże.

— Na wyspie są jeszcze inni lekarze.

— Właściwie to już mi lepiej — powiedziała Molly. — Po prostu nie powinnam o tym rozmyślać. Chyba masz rację, że wszystko jest wytworem mojej wyobraźni. Boże drogi! Zrobiło się strasznie późno! Już dawno powinnam być w sali restauracyjnej.

Muszę lecieć.

Rzuciła pani Hillingdon zaczepne, jakby napastliwe spojrzenie i pobiegła. Evelyn przypatrywała się znikającej postaci.

## **Rozdział dwunasty**

### **Dawne grzechy nie dają o sobie zapomnieć**

— Myślę, że na coś trafiłam.

— Co mówiłaś, Victorio?

— Myślę, że na coś trafiłam. To może oznaczać forszę. Dużą forszę.

— Posłuchaj, dziewczyno. Uważaj. Nie mieszaj się do niczego. Lepiej, żebyś mi powiedziała, o co chodzi.

Victoria roześmiała się głośno.

— Poczekaj, a sam zobaczysz — odrzekła. — Wiem, jak to rozegrać. Chodzi o forszę. Dużą forszę, człowieku. Coś widziałam, czegoś się domyślałam. I chyba mam rację.

Po raz kolejny ciszę nocną zakłócił jej donośny śmiech.

\*

— Evelyn...

— Tak? — spytała Evelyn mechanicznie, bez zainteresowania. Nie spojrzała nawet na męża.

— Evelyn, czy moglibyśmy to wszystko rzucić i wrócić do domu, do Anglii?

Właśnie czesała swoje krótkie, ciemne włosy. Teraz gwałtownie opuściła ręce i odwróciła się do niego.

— Chcesz powiedzieć... przecież dopiero co przyjechaliśmy. Jesteśmy na wyspach zaledwie od trzech tygodni.

— Wiem, ale czy moglibyśmy wyjechać?

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

— Naprawdę chcesz wracać do Anglii? Do domu?

— Tak.

— I zostawić... Lucky?

Skrzywił się.

— Przypuszczam, że od początku wiedziałaś, co się dzieje.

— Tak, doskonale wiedziałam.

— Nigdy nic nie mówiłaś.

— A po co miałam coś mówić? Wyjaśniliśmy sobie wszystko wiele lat temu. Nie chcieliśmy się rozwodzić, więc postanowiliśmy żyć osobnym życiem i tylko na zewnątrz zachować pozory. — Dorzuciła jeszcze, zanim zdołał jej przerwać: —

Dlaczego jednak postanowiłeś wracać do Anglii właśnie teraz?

— Ponieważ jestem na granicy wytrzymałości. Nie zniosę tego dłużej, Evelyn. Nie mogę już!

Cichy Edward Hillingdon zmienił się nie do poznania. Ręce mu drżały, z trudnością przełykał ślinę, a jego spokojną, opanowaną twarz wykrzywił ból.

— Na miłość boską, Edwardzie, co się dzieje?

— Nic. Chciałbym tylko stąd wyjechać.

— Byłeś zakochany w Lucky bez pamięci. A teraz ci przeszło. O to chodzi, tak?

— Tak. Nie sądzę, abyś kiedykolwiek przeżyła coś podobnego.



— Och, nie mówmy teraz o mnie. Chciałabym jednak wiedzieć, co tak bardzo cię zdenerwowało.

— Nie jestem wcale zdenerwowany.

— Ależ jesteś. Tylko dlaczego?

— To chyba oczywiste, prawda?

— Wcale nie — odparła Evelyn. — Pomówmy otwarcie. Miałeś romans. To nic niezwykłego. Teraz twierdzisz, że wszystko skończone. A może nie? Może ona wcale tak nie uważa. Zgadłam? A Greg, czy wie o całej sprawie? Zawsze się nad tym zastanawiałam.

— Nie mam pojęcia — odrzekł Edward. — Nigdy nic na ten temat nie mówił.

Zawsze był do mnie przyjaźnie nastawiony.

— Och, mężczyźni potrafią być tak mało spostrzegawczy — powiedziała Evelyn zamyślona. — Chyba że Greg też ma jakiś romans na boku.

— Podrywał cię, prawda? — zapytał Edward. — Odpowiedz. Jestem pewien, że to robił...

— Ależ tak! — potwierdziła Evelyn beztrąsko. — Tylko że on podrywa wszystkie kobiety. Taki już po prostu jest. Przypuszczam, że to nic nie znaczy. Podrywanie przynależy do wizerunku, jaki sobie stworzył.

— Powiedz, Evelyn, zależy ci na nim? Chciałbym poznać prawdę.

— Na Gregu? Lubię go. Potrafi mnie rozbawić. Jest dobrym przyjacielem.

— I nic po za tym? Nie bardzo mogę w to uwierzyć.

— A ja nie rozumiem, dlaczego miałoby cię to obchodzić — rzekła Evelyn sucho.

— Chyba należy mi się takie wyjaśnienie.

Evelyn podeszła do okna, wyjrzała na werandę i wróciła.

— Chciałabym, żebyś powiedział, co cię naprawdę niepokoi, Edwardzie.

— Już ci powiedziałem.

— Nie sędzę.

— Chyba nie potrafisz zrozumieć, jak dziwnie można się czuć, kiedy człowiek otrząśnie się z takiego przemijającego szaleństwa.

— Spróbuję to sobie wyobrazić. Jednak najbardziej mnie martwi, że Lucky nadal ma nad tobą władzę. To nie jest zwykła porzucona kochanka, tylko uzbrojona w pazury tygrysica. Musisz mi

powiedzieć całą prawdę, Edwardzie. To jedyny sposób, jeśli chcesz, abym stała po twojej stronie.

— Jeżeli się od niej szybko nie uwolnię — rzeki Edward cicho — na pewno ją zabiję.

— Zabijesz Lucky? Ale z jakiego powodu?

— Za to, do czego mnie kiedyś zmusiła.

— A do czego cię zmusiła?

— Pomogłem jej popełnić morderstwo.

Po tych słowach Edwarda zapadła cisza. Evelyn wpatrywała się w męża.

— Czy wiesz, co mówisz?

— Tak. Nie zdawałem sobie sprawy, w czym jej pomagam. Poprosiła mnie, abym przyniósł coś z apteki. Nie wiedziałem... nie miałem pojęcia, do czego potrzebowała tych leków. Podrobiłem dla niej receptę...

— Kiedy to się stało?

— Cztery lata temu. Podczas pobytu na Martynice. Wtedy, kiedy żona Grega...

— Mówisz o pierwszej żonie Grega, Gail? Czy to znaczy, że Lucky ją otruła?

— Tak, i ja jej w tym pomogłem. Kiedy się zorientowałem...

Evelyn przerwała mu:

— Kiedy się zorientowałeś, Lucky przypomniła ci, że to ty podrobiłeś receptę i ty kupiłeś lekarstwa, a więc oboje jesteście w to wplątani? Zgadza się?

— Tak. Powiedziała, że zrobiła to z litości. Gail tak bardzo się męczyła, że błagała Lucky, aby przyniosła coś, co zakończy jej cierpienia.

— Morderstwo z litości! Rozumiem. I ty w to uwierzyłeś?

Edward Hillingdon milczał przez chwilę, a potem odrzekł:

— Nie. Tak naprawdę, to nie. Zaakceptowałem tę wersję, ponieważ chciałem w to uwierzyć. Byłem wtedy zadurzony w Lucky.

— A później, kiedy wyszła za Grega, czy nadal w to wierzyłeś?

— Nawet wtedy wmawiałem sobie, że tak.

— A Greg? Ile on wie na ten temat?

— Nic, zupełnie nic.

— Trudno mi w to uwierzyć! Edward Hillingdon przerwał jej:

— Evelyn, muszę się od tego wszystkiego uwolnić! Ta kobieta drwi sobie ze mnie.

Wie, że mi już na niej nie zależy. Mało tego: nienawidzę jej. Ale ona przypomina, że jesteśmy na siebie skazani z powodu tego, co razem zrobiliśmy.

Evelyn niespokojnie przemierzała pokój. Następnie zatrzymała się i spojrzała w twarz Edwardowi.

— Cały problem polega na tym, że jesteś tak naiwnie wrażliwy i strasznie podatny na wpływy innych. Ta czarownica robi z tobą, co chce, odwołując się do twojego poczucia winy. A ja powiem ci, używając kategorii biblijnych, że ciąży ci na sumieniu grzech cudzołóstwa, a nie morderstwa. Czułeś się winny z powodu romansu z Lucky.

A ona chwyciła cię w swoje szpony, wplątała w historię zabójstwa i sprawiła, że czujesz się współwinny zbrodni. Edwardzie, nie jesteś...

— Evelyn ... — powiedział, zbliżając się do niej. Zrobiła krok do tyłu i przyjrzała mu się badawczo.

— Powiedziałeś mi prawdę, czy wymyśliłeś to sobie?

— Evelyn! Dlaczego u diabła miałbym coś takiego zrobić?

— Nie wiem — rzekła pani Hillingdon powoli. — Pomyślałam tak chyba dlatego, że trudno mi zaufać komukolwiek. Poza tym... och, sama nie wiem... nie potrafię już rozpoznać prawdy, kiedy ją słyszę.

— Rzućmy to wszystko i wracajmy do Anglii, do domu! — Tak zrobimy. Ale nie od razu.

— Dlaczego nie?

— Musimy na razie zachowywać się jakby nigdy nic. To ważne, rozumiesz? Nie pozwól, aby Lucky domyśliła się, co zamierzamy zrobić.

## Rozdział trzynasty

### Śmierć Victorii Johnson

Wieczór dobiegał końca. Hałaśliwy zespół muzyczny wreszcie zamilkł. Tim stanął

na obrzeżu sali restauracyjnej i wyrzwał na taras. Kiedy gasił lampki stojące na kilku opuszczonych przez gości stolikach, usłyszał za sobą czyjś głos:

— Tim, czy możemy chwilę porozmawiać?

Tim Kendal aż podskoczył.

— Witaj, Evelyn! Co mogę dla ciebie zrobić? — spytał.

Evelyn rozejrzała się.

— Usiądźmy gdzieś na minutę — zaproponowała i podeszła do stolika znajdującego się na samym końcu tarasu. W pobliżu nie było nikogo.

— Tim, wybacz, że poruszam z tobą ten temat, ale martwię się o Molly.

Wyraz jego twarzy zmienił się nie do poznania.

— A co chodzi? — zapytał sztywno.

— Myślę, że ona nie czuje się najlepiej. Jest jakby roztrzęsiona.

— Ostatnio wiele rzeczy wyprowadza ją z równowagi.

— Uważam, że powinna pójść do lekarza.

— Tak, wiem. Ale ona nie chce. Nie lubi lekarzy.

— Dlaczego?

— Jak to dlaczego? Nie rozumiem cię.

— Zapytałam, dlaczego miałyby nie lubić lekarzy.

— No wiesz, ludzie czasami nie lubią się leczyć — odpowiedział wymijająco. —

Kontakt z lekarzem sprawia, że zaczynają się niepokoić o swoje zdrowie.

— Ty też się niepokoisz o Molly, prawda Tim?

— Tak, rzeczywiście.

— A czy nie mógłby odwiedzić jej ktoś z rodziny i pobyć z nią trochę?

— Nie. To znacznie pogorszyłoby jej stan.

— Co jest grane z tą jej rodziną?

— Och, właściwie to nic nadzwyczajnego. Molly jest trochę nerwowa i jej stosunki z rodziną nie układają się najlepiej. Zwłaszcza z matką. Od lat nie może się z nią dogadać. To dosyć dziwna rodzina i Molly zerwała z nimi kontakty. Myślę, że postąpiła słusznie.

— Z tego, co Molly mówiła, wynika — powiedziała Evelyn z wahaniem — że ma jakby zaniki

pamięci i boi się ludzi. To wygląda prawie jak mania prześladowcza.

— Nie mów tak! — rozzłościł się Tim. — Mania prześladowcza! Nie można tak mówić tylko dlatego, że Molly jest trochę nadpobudliwa. To chyba z powodu przeprowadzki do Indii Zachodnich. Znalazła się w obcym miejscu, otoczona przez te wszystkie ciemne twarze. Wiesz przecież, że istnieją różne przesady związane z ciemnoskórymi mieszkańcami tych wysp.

— Nie powiesz mi, że wierzy w nie taka dziewczyna jak Molly.

— Nigdy nie wiadomo, czego naprawdę ktoś się boi. Niektórzy ludzie nie mogą przebywać w jednym pokoju z kotami, a inni mdleją na widok gąsienicy.

— Nie zrozum mnie źle, ale czy nie sądzisz, że Molly powinna porozmawiać z psychiatrą?

— Nie! — zaprotestował Tim. — Nie chcę, aby manipulowali nią ludzie tego pokroju. Nie wierzę im. Oni tylko robią krzywdę innym. Gdyby matka Molly dała sobie spokój z psychiatrami...

— Ach, więc na tym polega problem z jej rodziną? Stąd się wzięło to — Evelyn ostrożnie dobrała odpowiednie słowo — jej niezrównoważenie.

— Nie chcę o tym mówić. Wyrwałem ją stamtąd i potem wszystko było w porządku. Dopiero niedawno zrobiła się taka znerwicowana. Ale takie choroby nie są dziedziczne. Wszyscy o tym wiedzą. Ten przesąd został obalony. Molly jest zupełnie zdrowa psychicznie. Tylko śmierć nieszczęsnego Palgrave'a wytrąciła ją z równowagi.

— Rozumiem — powiedziała Evelyn zamyślona. — Ale chyba w jego śmierci nie było nic naprawdę niepokojącego?

— Nie, oczywiście, że nie. Jednak nagła śmierć zawsze wydaje się czymś wstrząsającym.

Tim wydawał się tak nieszczęśliwy i zrozpaczony, że Evelyn zrobiło się go żal.

Położyła mu rękę na ramieniu.

— No cóż, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Gdybym jednak mogła w czymś pomóc... Może poleciałabym z Molly do Nowego Jorku, Miami albo gdziekolwiek indziej, gdzie mogłaby skorzystać z porady najlepszych specjalistów.

— Evelyn, jesteś dla nas bardzo dobra, ale Molly nic nie jest. Na pewno jej to przejdzie.

Evelyn potrząsnęła z powątpiewaniem głową. Odwróciła się powoli i rozejrzała po tarasie. Większość gości rozeszło się już do bungalowów. Podeszła do swojego stolika, aby sprawdzić, czy niczego tam nie zostawiła, i wtedy usłyszała krzyk Tima.

Natychmiast zawróciła. Tim wpatrywał się w jakąś osobę na stopniach tarasu. Kiedy Evelyn podążyła za jego wzrokiem, wstrzymała oddech. Po schodach wiodących z plaży wspinała się Molly. Miała nieskoordynowane ruchy, kołysała się dziwnie w przód i w tył, jej oddech przerywały głośne

łkania. — Molly! Co się dzieje? —

zawołał Tim. Podbiegł do niej. Evelyn ruszyła za nim. Molly zatrzymała się na szczycie schodów, schowała ręce za plecy i powiedziała, szlochając:

— Znalazłam ją... jest tam... w krzakach... Popatrzcie na moje ręce... Popatrzcie na moje ręce!

Wyciągnęła przed siebie dłonie. Evelyn zapało dech, kiedy ujrzała dziwne, ciemne plamy. W tym przyciemnionym świetle wyglądały jak czarne, ale wiedziała doskonale, że w rzeczywistości były czerwone.

— Co się stało, Molly? — wykrzyknął Tim.

— Jest na dole — rzekła Molly i zachwiała się. — W krzakach.

Tim zawahał się, spojrzął na Evelyn, potem lekko pchnął Molly w jej stronę i zbiegł po schodach. Evelyn otoczyła dziewczynę ramieniem.

— Chodź, usiądź tutaj, Molly. Powinnaś się czegoś napić.

Molly opadła na krzesło i oparła się na stole, ukrywając twarz w rozłożonych ramionach. Evelyn nie zadawała jej więcej pytań. Pomyślała, że lepiej będzie pozostawić dziewczynie trochę czasu, aby mogła dojść do siebie.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała łagodnie. — Na pewno wszystko będzie dobrze.

— Nie wiem — odrzekła Molly. — Nie wiem, co się stało. Niczego nie pamiętam... — Podniosła nagle głowę. — Co się ze mną dzieje? Co się właściwie ze mną dzieje?

— No, już dobrze, kochanie. Już dobrze.

Tim powoli wchodził po schodach. Miał śmiertelnie bladą twarz. Evelyn spojrziała na niego i uniosła pytająco brwi

— To była jedna z naszych pokojówek — wyjaśnił. — Victoria, zdaje się. Ktoś pchnął ją nożem.

## **Rozdział czternasty**

### **Śledztwo**

Molly leżała w łóżku. Po jednej stronie stali doktor Graham i doktor Robertson, lekarz policyjny, a po drugiej — Tim. Robertson zbadał Molly puls i skinął głową szczupłemu, ciemnowłosemu, człowiekowi w mundurze, który stał w nogach łóżka.

Był to inspektor Weston z miejscowej policji.

— Panowie, tylko najniezbędniejsze pytania — powiedział lekarz.

Mężczyzna przytaknął.

— Pani Kendal, proszę nam opowiedzieć, jak pani znalazła tę dziewczynę.

Przez chwilę wydawało się, jakby osoba leżąca na łóżku nie usłyszała pytania.

Potem przemówiła słabym, ledwie słyszalnym głosem:

— W krzakach... coś białego...

— Zobaczyła pani coś białego w krzakach i podeszła, żeby sprawdzić, co to jest?

Tak było?

— Tak. Leżało coś białego. Chciałam to... chciałam ją podnieść... Krew...

miałam na rękach krew. Zaczęła dygotać. Doktor Graham potrząsnął głową.

— Ona niewiele wytrzyma — wyszeptał Robertson.

— Co pani robiła na ścieżce prowadzącej na plażę?

— Nad morzem było ciepło... przyjemnie...

— Wie pani, kim była ta dziewczyna?

— To Victoria. Bardzo miła, wesoła. Dużo się śmiała. Ale teraz... och, teraz już nie będzie się śmiać. Nie zapomnę jej śmiechu, nigdy nie zapomnę... — Głos Molly brzmiał coraz bardziej histerycznie.

— Molly, nie... — odezwał się Tim.

— Cicho, cicho — przemówił łagodnie doktor Robertson. — Uspokój się. Teraz poczujesz lekkie ukłucie... — Wyjął strzykawkę.

— Nie będzie mogła odpowiadać na pytania co najmniej przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny — wyjaśnił. — Dam znać, kiedy poczuje się lepiej.

\*

Wysoki, przystojny, czarnoskóry człowiek patrzył kolejno na siedzących obok niego mężczyzn.

— Przysięgam na Boga, że to wszystko, co wiem — oświadczył. — Nie wiem nic poza tym, co już powiedziałem.

Na jego czole pojawiły się kropelki potu. Daventry westchnął. Inspektor Weston z Brytyjskiej Policji Kryminalnej na St. Honoré, który kierował rozmową, dał znak ręką, że przesłuchiwany może odejść. Wielki Jim Ellis opuścił pokój, powłócząc nogami.

— Nie powiedział oczywiście wszystkiego — stwierdził Weston. Miał miękki, charakterystyczny dla mieszkańców tych wysp głos. — Ale więcej się do niego nie dowiemy.

— Sądysz, że on sam jest czysty? — zapytał Daventry.

— Tak. Zdaje się, że dobrze mu się układało z tą dziewczyną.

— Nie byli małżeństwem?

Na twarzy porucznika Westona pojawił się lekki uśmiech.

— Nie — odpowiedział. — Nie byli małżeństwem. Nie mamy na wyspie zbyt wielu par, które wzięły ślub, ale za to wszyscy chrzczą swoje dzieci. On i Victoria mieli dwójkę.

— Myślisz, że, podobnie jak Victoria, wplątał się w tę tajemniczą sprawę?

— Raczej nie. Sądzę, że był na to zbyt ostrożny. Zresztą uważam, że ona też niewiele wiedziała.

— Jednak wystarczająco dużo, aby kogoś szantażować.

— Nie wiem, czy nazwałaby to w ten sposób. Wątpię, aby ta dziewczyna rozumiała znaczenie słowa „szantaż”. Zapłata za dyskrecję to nie to samo. Widzisz, wiele przyjeżdżających tutaj osób to bogacze zachowujący się dosyć nieobyczajnie.

Ich moralność nie wytrzymałaby szczegółowego dochodzenia. — Inspektor powiedział to dosyć cierpkim głosem.

— Zgadzam się, są takie przypadki — rzekł Daventry. — Na przykład jakaś pani nie chciałaby, aby wyszło na jaw, w czym towarzystwie spędza noc, więc wręcza upominek swojej pokojówce. Daje jej w ten sposób do zrozumienia, że płaci za dyskrecję.

— Właśnie.

— Ale to nie to samo! — zaprotestował Daventry. — Mamy przecież do czynienia z morderstwem.

— Wątpię, aby dziewczyna zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Zobaczyła coś dziwnego i to ją zaintrygowało. Zapewne miało to związek z buteleczką z tabletkami. Podobno lekarstwo należało do pana Dysona. Zajmijmy się więc teraz jego przesłuchaniem.

Gregory zjawił się jak zwykle w znakomitym humorze.

— No więc jestem — oznajmił. — W czym mógłbym panom pomóc? Smutna historia z tą dziewczyną. Była bardzo miłą osobą, oboje z żoną lubiliśmy ją.

Przypuszczam, że chodziło o jakąś domową kłótnię... Chociaż ostatnio była taka wesoła i nie wyglądała na osobę, która miała kłopoty. Jeszcze wczoraj wieczorem z nią żartowałem...



— Zdaje się, że zażywa pan jakieś lekarstwo o nazwie normatens?

— Zgadza się. Takie małe, różowe tabletki.

— Czy przepisał je panu lekarz?

— Tak. Mogę panu pokazać receptę, jeśli potrzeba. Mam drobne problemy z nadciśnieniem, jak zresztą wielu ludzi w obecnych czasach.

— Niewiele osób wie o pana kłopotach.

— No cóż, nie rozpowiadam o tym. Nigdy wcześniej nie narzekałem na swoje samopoczucie i nie lubię ludzi, którzy przez cały czas opowiadają o swoich dolegliwościach.

— Jak często zażywa pan ten lek?

— Dwa, trzy razy dziennie.

— Czy zawsze ma pan przy sobie większą ilość tabletek?

— Tak, zwykle zabieram ze sobą około pół tuzina buteleczek. Ale trzymam je zamknięte w walizce. Pod ręką mam zawsze tylko jedną fiolkę, na bieżący użytek.

— Słyszałem, że zgubił pan niedawno taką fiolkę?

— To prawda.

— I pytał pan tę dziewczynę, Victorię Johnson, czy nie widziała jej?

— Tak.

— I co odpowiedziała?

— Wyjaśniła, że ostatnim razem widziała tabletki na półce w mojej łazience.

Obiecała, że się rozejrzy.

— Co było dalej?

— Jakiś czas później przyszła i przyniosła mi te tabletki. Spytała, czy to jest buteleczka, której szukałem.

— A pan, co odpowiedział?

— Odparłem, że tak i spytałem, gdzie ją znalazła. Odrzekła, że w pokoju staruszka Palgrave'a. Zdziwiłem się, jakim cudem się tam znalazła.

— Jaka była odpowiedź?

— Dziewczyna nie miała pojęcia, ale... — zawahał się.

— Tak?

— Dała mi do zrozumienia, że wie coś jeszcze na ten temat, ale nie zwróciłem na to szczególnej uwagi. W końcu to nie było ważne, ponieważ, jak mówiłem, miałem ze sobą spory zapas tabletek. Pomyślałem, że zapewne zostawiłem fiolkę w restauracji albo gdzieś indziej, a major Palgrave z niewiadomych powodów ją zabrał. Włożył

może do kieszeni, mając zamiar mi ją oddać, ale potem zapomniał.

— Czy to wszystko, co pan wie na ten temat?

— Tak, to wszystko. Przykro mi, że niewiele mogę pomóc. Dlaczego to jest takie ważne?

Weston wzruszył ramionami.

— W obecnej sytuacji wszystko może okazać się ważne.

— Nie rozumiem, dlaczego pyta pan o te tabletki. Myślałem raczej, że chciałby pan wiedzieć, co robiłem w czasie, kiedy ta dziewczyna została zamordowana. Dlatego zapisałem wszystko tak dokładnie, jak tylko potrafiłem.

Weston spojrzał na niego uważnie.

— Naprawdę? Doceniamy chęć współpracy.

— Myślę, że to zaoszczędzi nam wszystkim kłopotów — dodał Greg i podał mu przez stół kartkę papieru.

Weston czytał uważnie zapiski. Daventry przysunął bliżej swoje krzesło i spoglądał inspektorowi przez ramię.

— Wszystko wydaje się bardzo czytelne — powiedział po pewnym czasie Weston.

— Pan i pańska żona byliście w swoim bungalowie i przebieraliście się do kolacji do za dziesięć dziewiąta. Potem, spacerując po tarasie, wypiliście państwo drinka w towarzystwie señory de Caspearo. Kwadrans po dziewiątej przyłączyli się pułkownik Hillingdon i jego żona i razem poszliście państwo na kolację. O ile pan dobrze pamięta, pan i pańska żona położyliście się spać około wpół do dwunastej.

— Oczywiście, nie wiem dokładnie, o której właściwie godzinie ta dziewczyna została zamordowana... — w słowach Dysona ukryte było pytanie. Jednak porucznik Weston jakby tego nie zauważył.

— Słyszałem, że znalazła ją pani Kendal. To musiał być dla niej bardzo nieprzyjemny wstrząs.

— To prawda. Doktor Robertson dał jej środek uspokajający.

— Musiało się to zdarzyć dosyć późno, kiedy wszyscy rozeszli się już do swoich bungalowów.

— Tak.

— Czy od dawna nie żyła? To znaczy... kiedy Molly ją znalazła?

— Nie znamy jeszcze dokładnego czasu zagonu — odparł Weston wymijająco.

— Biedna, mała Molly. Straszne przeżycie. Właściwie, nie widziałem jej wczoraj wieczór. Zapewne nie czuła się najlepiej, może bolała ją głowa i się położyła.

— A kiedy po raz ostatni widział pan panią Kendal?

— Och, tuż przed tym, jak poszedłem się przebrać. Przygotowywała nakrycia do kolacji. Układała noże.

— Rozumiem.

— Była wtedy w dobrym humorze — powiedział Greg. — Gawędziliśmy wesoło.

Wspaniała dziewczyna. Wszyscy ją bardzo lubimy. Tim ma szczęście.

— No tak. Dziękujemy panu. Nie pamięta pan nic więcej z tego, co mówiła Victoria, kiedy przyniosła tabletki?

— Nie. Tylko to, co już powiedziałem. Zapytała czy to są tabletki, których szukałem i wyjaśniła, że znalazła je w pokoju staruszka Palgrave'a.

— Nie wiedziała, skąd się tam wzięły?

— Nie, chyba nie. Naprawdę nie pamiętam...

— Dziękujemy panu. Gregory wyszedł.

— Zapobiegliwy człowiek — zauważył Weston, stukając palcami w przyniesioną kartkę papieru. — Bardzo mu zależało, abyśmy dowiedzieli się, co dokładnie robił

wczoraj wieczorem.

— Sądysz, że za bardzo? — zapytał Daventry.

— Trudno powiedzieć. Są ludzie, którzy martwią się o własne bezpieczeństwo.

Boją się, aby w nic nie zostali wmieszani. To nie musi wcale znaczyć, że mają coś na sumieniu. Może być jednak odwrotnie...

— Jakie możliwości bierzesz w ogóle pod uwagę? Właściwie nikt nie ma mocnego alibi. Jest przecież jeszcze orkiestra, tancerki, goście którzy przyszyli na dansing.

Podczas zabawy ludzie przemieszczają się, wstają od stolików, potem wracają.

Kobiety idą przypudrować noski, mężczyźni wychodzą na spacer. Dyson mógł się z łatwością wymknąć, jak zresztą każda inna osoba. Ale jemu wyraźnie zależało, aby udowodnić, że tego nie zrobił, że był tam cały czas. — Popatrzył zamyślony na zapiski. — A więc pani Kendal układała na stole noże — powtórzył. — Ciekaw jestem, czy powiedział to celowo.

— Tak to odebrałeś? Daventry zastanowił się.

— Myślę, że to prawdopodobne.

Na korytarzu obok pokoju, w którym rozmawiali dwaj mężczyźni, rozległ się hałas. Jakaś osoba o wysokim, piskliwym głosie domagała się rozmowy z policjantami. — Chcę coś powiedzieć. Mam coś ważnego do powiedzenia! Wpuście mnie do pokoju, gdzie są ci dżentelmeni. Zaprowadźcie mnie do panów policjantów!

Umundurowany strażnik otworzył drzwi.

— Przyszedł jeden z kuchcików — wyjaśnił. — Bardzo chce się z panami zobaczyć. Mówi, że wie coś, co powinni panowie usłyszeć.

Za strażnikiem wsunął się do pokoju przestraszony ciemnoskóry mężczyzna w czapce kucharskiej. Był to jeden z kuchcików, Kubańczyk. Nie pochodził z St.

Honoré.

— Powiem panom coś — zaczął. — Tak, powiem. Ona przechodziła przez kuchnię i miała w ręku nóż. Naprawdę, nóż. Trzymała go w ręku. Przeszła przez kuchnię i wyszła tylnymi drzwiami. Poszła do ogrodu. Widziałem ją.

— Proszę się uspokoić — powiedział Daventry. — Po kolei, o kim pan mówi?

— Powiem panu o kim. Mówię o żonie szefa, pani Kendal. Właśnie o niej mówię.

Trzymała w ręku nóż i wyszła na zewnątrz, w ciemną noc... To było przed kolacją.

Już nie wróciła...

## **Rozdział piętnasty**

### **Ciąg dalszy śledztwa**

— Panie Kendal, czy możemy z panem chwilę porozmawiać?

— Oczywiście — Tim podniósł wzrok znad biurka. Odsunął na bok papiery i wskazał przybyłym krzesła. Wydawał się zmęczony i przygnębiony.

— Jak panom idzie? Czy śledztwo posuwa się naprzód? Nad tym miejscem ciąży chyba jakieś fatum. Goście chcą wyjeżdżać, pytają o loty czarterowe. A już myślałem, że nam się udało. Dobry Boże! Nawet panowie nie wiedzą, ile ten hotel znaczy dla mnie i dla Molly. Zainwestowaliśmy w niego dosłownie wszystko.

— Wiem, że to bardzo trudna sytuacja dla pana — powiedział inspektor Weston. —

Naprawdę, współczujemy panu.

— Gdyby tylko udało się szybko wszystko wyjaśnić — rzekł Tim. — Ta nieszczęsna Victoria! Och, nie powinienem tak mówić o tej dziewczynie. Była naprawdę dobrą pokojówką. Ale musi istnieć jakieś proste wytłumaczenie tej sprawy.

Może była wplątana w jakąś intrygę albo romans. Może jej mąż...

— Jim Ellis nie był jej mężem. Poza tym zdaje się, że tworzyli przykładną parę.

— Gdyby tylko udało się szybko wszystko wyjaśnić... — powtórzył Tim. —

Przepraszam, panowie przecież chcieli ze mną o czymś porozmawiać, zapytać o coś.

— Tak. Chodzi ó wczorajszą noc. Według orzeczenia lekarza Victoria została zamordowana pomiędzy dziesiątą trzydzieści wieczorem a północą. Biorąc pod uwagę okoliczności, trudno będzie sprawdzić alibi większości gości. Ludzie przemieszczali się, tańczyli, wychodzili na taras, potem wracali. To bardzo komplikuje dochodzenie.

— Wyobrażam sobie. Ale to znaczy, że panowie zakładacie, że Victorię na pewno zabił ktoś z tutejszych gości?

— No cóż musimy brać pod uwagę taką możliwość. Ale jesteśmy tu po to, aby wyjaśnić zeznania jednego z pańskich kuchcików.

— Tak? Którego? Co powiedział?

— Chodzi o Kubańczyka.

— Pracuje u mnie dwóch Kubariczyków i jeden Portorykańczyk.

— Ten nazywa się Enrico i twierdzi, że pańska żona, wracając z sali restauracyjnej, przechodziła przez kuchnię. Wyszła tylnymi drzwiami do ogrodu, trzymając w ręku nóż. Tim patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Molly miała ze sobą nóż? A co w tym dziwnego? To znaczy dlaczego... Nic myśli pan chyba, że... Co pan właściwie sugeruje?

— To zdarzyło się, zanim goście zasiedli do kolacji. Około ósmej trzydzieści.

Wtedy był pan chyba w restauracji i rozmawiał z szefem sali, Fernandem.

— Tak... — Tim szukał w pamięci. — Tak. Przypominam sobie.

— A pańska żona weszła od strony tarasu?

— Rzeczywiście — zgodził się Tim. — Zawsze przychodzi sprawdzać nakrycia na stołach. Chłopakom zdarza się coś źle ustawić, zapomnieć o sztućcach i tak dalej.

Molly poprawiała nakrycia, więc bardzo prawdopodobne, że mogła potem trzymać niepotrzebny nóż lub łyżkę w dłoni.

— Weszła do sali restauracyjnej od strony tarasu. Czy rozmawiała z panem?

— Tak, zamieniliśmy kilka słów.

— Co mówiła? Pamięta pan?

— Zapytałem ją chyba, z kim rozmawiała. Słyszałem z daleka jej głos.

— I kto to był?

— Gregory Dyson.

— Ach, tak. On też o tym wspominał.

— Zdaje się, że ją podrywał — kontynuował Tim. — To do niego podobne.

Zdenerwowałem się i powiedziałem: „Niech go diabli!” Molly roześmiała się i stwierdziła, że sama pośle go do wszystkich diabłów. Molly jest sprytna i potrafi sobie radzić w takich sytuacjach. Wie pan, jej pozycja tutaj nie jest łatwa. Nie może przecież urazić gości, nawet tych, którzy czasami ją zaczepiają. To atrakcyjna dziewczyna. Molly broni się obracając wszystko w żart. A Gregory Dyson nie potrafi się powstrzymać, kiedy widzi piękną kobietę.

— Czy posprzeczali się?

— Nie sędzę. Mówiłem już, że pewnie Molly skwitowała wszystko śmiechem. Jak zwykle.

— Nie może pan jednoznacznie stwierdzić, czy miała . wtedy w ręku nóż czy nie?

— Nie pamiętam... Właściwie jestem prawie pewien... nawet całkiem pewien, że nie miała.

— Ale przed chwilą powiedział pan przecież...

— Chwileczkę. Chodziło mi o to, że skoro Molly była w sali restauracyjnej albo w kuchni, to bardzo prawdopodobne, że trzymała w ręku nóż. Pamiętam jednak dokładnie, że wychodząc z restauracji nie

miała niczego w ręku. Zupełnie niczego.

Tego jestem pewien.

— Rozumiem — rzekł Weston.

Tim spojrzał na niego z niepokojem.

— Do czego pan u licha zmierza? Co ten cholerny głupiec Enrico, Manuel czy jak mu tam, mówił?

— Powiedział, że pańska żona weszła do kuchni, wyglądała na zdenerwowaną i trzymała w ręku nóż.

— Och, dramatyzuje!

— Czy rozmawiał pan jeszcze później z żoną, na przykład podczas lub po kolacji?

— Nie, nie przypominam sobie. Właściwie byłem dosyć zajęty.

— Czy pańska żona była w restauracji podczas podawania posiłku?

— No... tak. Zawsze zajmujemy się gośćmi, sprawdzamy, czy wszystko jest w porządku.

— Czy zamienił pan wtedy z żoną chociaż jedno słowo?

— Nie, nie sędzę. Jesteśmy zwykle bardzo zajęci. Czasami nawet nie zauważamy, czym się zajmuje druga osoba, a już na pewno nie mamy czasu na rozmowy.

— Wobec tego nie pamięta pan, aby z nią rozmawiał, aż do momentu, kiedy trzy godziny później pojawiła się na schodach tarasu, zaraz po znalezieniu ciała.

— To był dla niej straszny szok. Wytrąciło ją to kompletnie z równowagi...

— Tak, wiem. Bardzo nieprzyjemne doświadczenie. Jak to się stało, że spacerowała ścieżką przy plaży?

— Po nerwowej pracy przy kolacji często wychodziła na taki spacer. Chciała odpocząć chwilę od gości, odetchnąć świeżym powietrzem.

— Kiedy wróciła, zdaje się, że rozmawiał pan z panią Hillingdon.

— Tak. Właściwie wszyscy inni położyli się już spać.

— O czym państwo rozmawiali?

— Ach, o niczym szczególnym. Dlaczego pan pyta? Co ona mówiła?

— Jak na razie nic. Nie pytaliśmy jej jeszcze o to.

— Gawędziliśmy o tym i o owym. O Molly, o prowadzeniu hotelu i tak dalej.

— A potem na taras weszła pańska żona i powiedziała, co się stało?

— Tak.

— Czy miała krew na rękach?

— Oczywiście, że tak. Znalazła przecież dziewczynę i próbowała ją podnieść. Nie potrafiła pojąć, co się właściwie stało. Oczywiście, że miała krew na rękach! Do diabła, co pan sugeruje? O co panu chodzi?

— Proszę się uspokoić — rzekł Daventry. — Wiem, że żyje pan w ogromnym stresie, ale my musimy ustalić wszystkie fakty. Podobno pańska żona nie czuła się ostatnio najlepiej?

— Nonsens. Czuła się bardzo dobrze. Tylko śmierć majora Palgrave'a odrobinę wytrąciła ją z równowagi. To naturalne. Molly jest wrażliwą dziewczyną.

— Będziemy musieli zadać jej kilka pytań, kiedy tylko nabierze sił — powiedział

Weston.

— No tak. Ale teraz to niemożliwe. Lekarz dał jej środek uspokajający i powiedział, że nie wolno jej niepokoić. Nie chciałbym, aby ktoś ją zdenerwował albo nastraszył. Rozumie pan?

— Nie będziemy nikogo straszyć — odparł Weston. — Musimy wyjaśnić wszystkie szczegóły. Nie zamierzamy jej teraz przeszkadzać, ale kiedy tylko lekarz pozwoli, chcemy z nią porozmawiać. — Jego głos był łagodny, ale stanowczy.

Tim spojrzał na Westona, otworzył usta, lecz nic nie powiedział.

\*

Evelyn Hillingdon, jak zwykle spokojna i opanowana, usiadła na wskazanym krześle. Zastanawiała się przez chwile nad zadanymi jej pytaniami. Jej ciemne, inteligentne oczy patrzyły na Westona w zadumie.

— Tak — potwierdziła. — Rozmawiałam z panem Kendalem na tarasie wtedy, gdy jego żona pojawiła się na schodach i powiedziała nam o tym morderstwie.

— Pani męża tam nie było?

— Nie. Poszedł wcześniej spać.

— Czy miała pani jakiś szczególny powód, aby rozmawiać z panem Kendalem?

Evelyn podniosła swoje starannie wymalowane brwi, wyraźnie dając do zrozumienia niestosowność



pytania.

— Co za dziwne pytanie — rzekła chłodno. — Nie, nasza rozmowa nie dotyczyła niczego szczególnego.

— Nie omawiali państwo może stanu zdrowia jego żony?

Evelyn ponownie zastanowiła się.

— Naprawdę nie pamiętam — odparła w końcu.

— Jest pani tego pewna?

— Czy jestem pewna czegoś, czego nie pamiętam? Cóż za przedziwny sposób formułowania pytań... Rozmawia się przecież o tylu różnych rzeczach.

— Słyszałem, że pani Kendal nie czuła się ostatnio najlepiej.

— Wyglądała zupełnie dobrze, może wydawała się trochę przemęczona.

Prowadzenie takiego interesu nie jest łatwe, a ona prawie nie ma doświadczenia. To naturalne, że czasami traci głowę.

— „Traci głowę” — powtórzył Weston. — Tak by to pani nazwała?

— Może to trochę mało precyzyjne określenie, ale równie dobre jak ten nowoczesny, pseudonaukowy żargon, w którym „wirusową infekcją” nazywa się atak żółciowy, a „niepokojem neurotycznym” zwykłe, codzienne kłopoty.

Pod wpływem jej uśmiechu Weston poczuł się trochę nieswojo. Stwierdził, że Evelyn Hillingdon jest inteligentną kobietą. Popatrzył na nieporuszoną twarz Daventry’ego, zastanawiając się, co też myśli jego kolega.

— Dziękuję, pani Hillingdon — powiedział.

\*

— Nie chcielibyśmy pani denerwować, ale musimy usłyszeć, jak pani znalazła tę dziewczynę. Doktor Graham mówi, że czuje się już pani wystarczająco dobrze, aby móc z nami porozmawiać.

— O tak — odrzekła Molly. — Naprawdę czuję się już całkiem dobrze. —

Uśmiechnęła się do nich nerwowo. — Wtedy byłam pod wpływem szoku. Wie pan, to było straszne przeżycie.

— Tak, na pewno. Podobno poszła pani na spacer po kolacji.

— Często tak robię.

Daventry zauważył, że odwróciła wzrok. Zaczęła nerwowo przebierać palcami.

— Która mogła być wtedy godzina? — zapytał Weston.

— No cóż, naprawdę nie wiem. Nie patrzyłam na zegarek.

— Czy grała jeszcze orkiestra?

— Grała. Przynajmniej tak mi się zdaje. Naprawdę nie pamiętam. — I gdzie pani spacerowała?

— Och, poszłam ścieżką wzdłuż plaży.

— W prawo czy w lewo?

— Och, najpierw ruszyłam w jedną, a potem w drugą stronę. Ja... nie zwróciłam na to uwagi.

— Dlaczego nie? Zmarszczyła brwi.

— No cóż... Myślałam wtedy o czymś innym.

— O czymś szczególnym?

— Nie, nie. To nie było nic szczególnego. Myślałam o rzeczach, które trzeba zrobić, załatwić w hotelu. — Znow zaczęła nerwowo przebierać palcami. — I wtedy zauważyłam coś białego w kępie krzewów hibiskusa i byłam ciekawa, co to jest.

Zatrzymałam się i... i pociągnęłam to. — Molly przełknęła szybko ślinę. — To była ona, Victoria. Zupełnie skulona. Próbowалаm podnieść jej głowę i pomazałam sobie ręce krwią...

Spojrzała na nich.

— Miałam krew na rękach — powtórzyła ze zdumieniem, jakby wspominała coś niemożliwego.

— Tak. To rzeczywiście wyjątkowo straszne przeżycie. Nie ma potrzeby, aby nam pani opowiadała o tamtej chwili. Jak długo mogła pani spacerować, zanim ją pani znalazła?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia.

— Godzinę? Pół godziny? A może ponad godzinę?

— Nie wiem — powtórzyła Molly.

Daventry zapytał spokojnym, całkiem zwyczajnym głosem:

— Czy zabrała pani ze sobą na spacer nóż?

— Nóż? — Molly wydawała się zaskoczona. — Dlaczego miałabym zabierać nóż?

— Spytałem, ponieważ jeden z kuchcików wspominał, że miała pani w ręku nóż, kiedy wychodziła pani kuchennymi drzwiami do ogrodu.

Molly zmarszczyła brwi.

— Ale ja nie wychodziłam przez kuchnię... ach, mówi pan o moim wcześniejszym wyjściu, przed kolacją. Nie, nie sędzę...

— Możliwe, że poprawiała pani sztuce na stołach.

— Tak, czasami muszę to robić. Służba źle nakrywa. Układają za mało lub za dużo noży, myślą ilość widelców i łyżek.

— A więc tamtego wieczoru mogła pani wyjść z kuchni, mając w ręku nóż?

— Nie, chyba nie. Jestem pewna, że nie. — Potem dodała: — Tim też tam był.

Proszę go zapytać. On będzie wiedział.

— Czy lubiła pani Victorię? Była pani zadowolona z pracy tej dziewczyny? — zapytał Weston.

— Tak. Ona była bardzo sympatyczna.

— Nigdy nie było między panią a nią jakiś nieporozumień?

— Nieporozumień? Nie.

— Czy nigdy nie próbowała pani czymś grozić?

— Ona mnie? Co pan ma na myśli?

— Nieważne. Nie ma pani pojęcia, kto mógłby ją zabić? Nie domyśla się pani?

— Nie, zupełnie nie — odpowiedziała stanowczo.

— No cóż, dziękujemy pani — uśmiechnął się. — Nie było wcale tak strasznie, prawda?

— To już wszystko?

— Na razie wszystko.

Daventry wstał, otworzył przed nią drzwi i odprowadził ją wzrokiem.

— „Tim będzie wiedział” — zacytował, wracając na swoje miejsce. — A Tim jest przekonany, że

nie miała ze sobą noża.

— Moim zdaniem — rzekł Weston poważnie — każdy mąż czułby się w obowiązku powiedzieć to samo. — Nóż stołowy nie jest najlepszym narzędziem zbrodni.

— Ale to był nóż do steków. Tego dnia na kolacje podawano steki. Noże do steków są ostre.

— Naprawdę trudno mi uwierzyć, że dziewczyna, z którą przed chwilą rozmawialiśmy, zamordowała kogoś z zimną krwią.

— Nie musisz w to jeszcze wierzyć. Mogło być tak, że pani Kendal wyszła do ogrodu, trzymając w ręku nóż, który wzięła z jakiegoś stołu, ponieważ był tam zbędny. Mogła nawet nie zauważyć, że go trzyma, a potem gdzieś położyć albo upuścić. Ktoś inny mógł go znaleźć i wykorzystać. Ja także uważam, że to mało prawdopodobne, aby ona była morderczynią.

— Tak czy inaczej — powiedział Daventry zamyślony — jestem pewien, że nie mówi wszystkiego, co wie. Dziwne wydają się te wymijające stwierdzenia na temat czasu. Gdzie ona była? Co robiła na plaży? Do tej pory nikt chyba nie wspomniał, aby zauważył ją wieczorem w restauracji.

— Pan Kendal jak zwykle był w pobliżu gości, ale pani Kendal tam nie było.

— Sądysz, że poszła się z kimś spotkać? Z Victorią Johnson?

— Może. Albo też widziała osobę, która spotkała się z Victorią.

— Myślisz o Gregorym Dysonie?

— Wiemy, że rozmawiał wcześniej z Victorią. Mógł się umówić na później.

Wszyscy swobodnie spacerowali po tarasie, pili i tańczyli, wychodzili z baru i wracali.

— Jedyne pewne alibi ma orkiestra — stwierdził Daventry z drwiącym uśmiechem.

## **Rozdział szesnasty**

# Panna Marple szuka pomocy

Gdyby ktoś obserwował tę sympatyczną starszą panią, która stała zamyślona na werandzie swego bungalowu, uznaliby zapewne, że zastanawia się nad tym, jak spędzić dzień. Może zaplanuje wyprawę do zamku na klifie albo wycieczkę do Jamestown — miłą przejażdżkę zakończoną lunchem na Cyplu Pelikanów, a może po prostu wybierze spokojny wypoczynek na plaży.

Jednak sympatyczna staruszka rozmyślała o zupełnie innych sprawach. Panna Marple była w bojowym nastroju.

— Coś koniecznie trzeba zrobić — powiedziała do siebie.

Co więcej była pewna, że nie ma czasu do stracenia. Należało działać szybko. Ale kogo mogłaby o tym przekonać?

Gdyby miała czas, sama zdołałaby poznać całą prawdę. Sporo się już dowiedziała, lecz to wciąż było za mało. A czas uciekał...

Pomyślała z goryczą, że tutaj, na tej rajskiej wyspie, nie miała żadnego ze swoich sprawdzonych sprzymierzeńców. Z żalem przypomniła sobie sir Henry'ego Clitheringa, zawsze gotowego wysłuchać jej z uwagą, oraz jego chrześniaka Dermota, który mimo ciągłych awansów w Scotland Yardzie nadal wierzył, że podejrzenia panny Marple mogą być uzasadnione.

Czy jednak ten miejscowy policjant o miękkim akcencie potraktuje poważnie złe przecucia jakiejś staruszki? A może doktor Graham? Nie, nie takiego człowieka potrzebowała. Doktor wydawał się zbyt łagodny i niezdecydowany. Z pewnością nie był on osobą zdolną do podejmowania szybkich decyzji i natychmiastowego działania.

Panna Marple czuła się jak bezsilny posłaniec Wszechmogącego i miała ochotę wykrzyknąć niemal biblijne pytania: „Kto za mną pójdzie? Kogo pošlę w moim imieniu?”

Dźwięk, który po chwili dotarł do jej uszu, nie został przez nią bynajmniej zinterpretowany jako odpowiedź na modlitwę. Nic podobnego.

— Hej! — Usłyszała. Wydawało jej się, że jakiś człowiek nawołuje swojego psa.

Panna Marple, zatopiona w myślach, nie zwróciła na to uwagi.

— Hej! — krzyk zabrzmiał głośniejsz, więc odwróciła się z roztargnieniem.

— Hej! — wołał pan Rafiel zniecierpliwiony. — Tak, do pani mówię — dodał.

Panna Marple nie zorientowała się od razu, że to „hej!” pana Rafiela było adresowane do niej. Nie w taki sposób zwracano się zwykle do starszej pani.

Doprawdy, niewiele to miało wspólnego z manierami dżentelmena. Jednak panna Marple nie poczuła

się urażona, ponieważ ludzie rzadko byli zgorzeleni obcesowym zachowaniem pana Rafiela. On sam ustanawiał prawa, a jego otoczenie akceptowało je. Panna Marple popatrzyła w stronę sąsiedniego bungalowu. Staruszek siedział na swojej werandzie i dawał jej przyzywający znak ręką.

— Czy mnie pan wolał? — zapytała.

— Oczywiście, że panią — odrzekł. — A pani myślała, że kogo? Może kota?

Niech pani tu podejdzie.

Panna Marple rozejrzała się za swoją torebką, zabrała ją i ruszyła w tamtą stronę.

— Nie mogę podejść do pani o własnych siłach — wyjaśnił Rafiel. — Dlatego pani musi przyjść do mnie.

— Ach tak — powiedziała panna Marple. — Rozumiem. Pan Rafiel wskazał jej krzesło obok siebie.

— Niech pani usiądzie — rzekł. — Chcę z panią porozmawiać. Coś cholernie dziwnego dzieje się na tej wyspie.

— To prawda — przyznała, siadając na wskazanym krześle. Zgodnie ze swoim zwyczajem wyjęła z torby robótkę.

— Niech pani zostawi tę robótkę! — zawołał Rafiel. — Nie znoszę tego.

Nienawidzę kobiet robiących na drutach. To mnie irytuje.

Panna Marple schowała robótkę do torby. Nie zrobiła tego zbyt potulnie, raczej zachowała się jak osoba, która dla świętego spokoju ustępuje marudnemu pacjentowi.

— Po hotelu krąży wiele plotek — stwierdził pan Rafiel. — Założę się, że to głównie pani sprawka. Pani, tego pastora i jego siostry.

— To chyba naturalne, że w tych okolicznościach ludzie plotkują — odparła panna Marple odważnie.

— Miejskowa dziewczyna została pchnięta nożem. Znaleziono ją w krzakach. Być może to całkiem zwyczajna sprawa. Facet, z którym mieszkała, mógł być zazdrosny o drugiego faceta albo też znalazł sobie inną dziewczynę, o którą ona była zazdrosna i pokłócili się. Tropikalne namiętności. Zgadza się pani?

— Raczej nie — rzekła, potrząsając głową. — Lokalne władze też w to nie wierzą.

— A więc powiedzieli panu więcej niż mnie — zauważyła panna Marple.

— A jednak założę się, że pani jest znacznie lepiej poinformowana. Słucha pani tych wszystkich plotek.

— Oczywiście, że słucham — potwierdziła.

— Nie ma pani nic innego do roboty. To chyba pani jedyne zajęcie.

— Okazuje się dosyć pouczające i użyteczne.

— Wie pani co — powiedział, przypatrując jej się uważnie — pomyliłem się co do pani, a rzadko zdarza mi się błędnie oceniać ludzi. Pani jest zupełnie inna, niż myślałem. Te pani wspomnienia o majorze, te jego historyjki... Myśli pani, że ktoś sprzątnął staruszkę, prawda?

— Niestety, tego się obawiam — rzekła.

— No cóż, ma pani rację — przyznał pan Rafiel.

Panna Marple wzięła głęboki oddech.

— To pewne? — zapytała.

— Tak, dosyć pewne. Słyszałem o tym od Daventry'ego. Nie zdradzam pani żadnej tajemnicy, ponieważ wyniki sekcji zwłok wkrótce wyjdą na jaw. Powiedziała pani o czymś Grahamowi, on poszedł do Daventry'ego, tamten do administratora wyspy, a potem powiadomiono Brytyjską Policję Kryminalną. Wszyscy wspólnie uradzili, że sprawa jest podejrzana, więc wykopali starego Palgrave'a i obejrzel go ponownie.

— I co znaleźli? — zapytała zniecierpliwiona.

— Odkryli, że dostał śmiertelną dawkę czegoś o nazwie, którą tylko lekarz potrafi wymówić poprawnie. O ile dobrze pamiętam, jakiś diflor–heksa–etylo–karben–zol.

To nie jest dokładnie ta nazwa, ale tak mniej więcej brzmiała. Przypuszczam, że lekarz policyjny użył jej, aby nikt nie wiedział, o co dokładnie chodzi. Zapewne ten środek ma również jakąś prostą, ładną nazwę, na przykład evipan, veronal, syrop Eastona albo coś w tym rodzaju. Ta oficjalna nazwa ma wprawiać laików w zakłopotanie. W każdym razie dostał sporą dawkę tego chyba zabójczego specyfiku.

Objawy są podobne do tych, jakie miewa człowiek z nadciśnieniem, który podczas wieczornej imprezy lekkomyślnie nadużyje alkoholu. Dlatego wszystko wyglądało zupełnie naturalnie i nikt nie miał najmniejszych wątpliwości. Wszyscy powiedzieli:

„biedny staruszek” i szybko go pogrzebali. Teraz zastanawiają się, czy w ogóle miał

nadciśnienie. Wspominał pani o tym kiedykolwiek?

— Nie.

— No właśnie. A jednak wszyscy uznali to za pewnik.

— Widocznie mówił o tym komuś.

— To jest tak, jak z opowieściami o duchach — zauważył pan Rafael. — Nigdy nie spotka pani człowieka, który widział ducha na własne oczy. To zawsze jest jakiś kuzyn czyjejs ciotki albo znajomy znajomego. Zostawmy jednak duchy. No więc uznali, że miał nadciśnienie, ponieważ w jego pokoju znaleziono tabletki regulujące ciśnienie krwi. Ale... i tu dochodzimy do sedna sprawy. Podobno dziewczyna, którą zamordowano, opowiadała, że fiołka z tabletkami została podrzucona majorowi przez kogoś innego... Właściwie mówiła, że buteleczka należała do tego młodego faceta, Gregory'ego.

— Pan Dyson rzeczywiście ma kłopoty z nadciśnieniem. Jego żona o tym wspomniała — powiedziała panna Marple.

— No więc te tabletki podrzucono do pokoju Palgrave'a, aby wszyscy pomyśleli, że major cierpiał na nadciśnienie i aby jego śmierć wyglądała na naturalną.

— No właśnie — rzekła panna Marple. — Ktoś bardzo sprytnie puścił w obieg historyjkę, jakoby major często wspominał o nadciśnieniu. Łatwo jest rozpuścić taką plotkę. Bardzo łatwo. Wiele takich rzeczy słyszałam w życiu,

— Nie wątpię — potwierdził pan Rafael.

— Wystarczy, że rzuci pan mimochodem kilka słów — wyjaśniła panna Marple.

— Nie opowiada pan nic na własną odpowiedzialność, tylko mówi, że właśnie usłyszał pan to od niejakiego Iksa, któremu powiedział o tym pułkownik Igrek, a ten z kolei zna sprawę od pani Zet. To zawsze jest wiadomość z drugiej, trzeciej, a nawet dziesiątej ręki i wtedy niezwykle trudno dojść, kto puścił plotkę w obieg. O tak, łatwo jest powiedzieć o czymś innym ludziom, a oni powtarzają tę informację dalej, jakby była zupełnie pewna.

— Ktoś był sprytny — przyznał pan Rafael zamyślony.

— Tak — dodała panna Marple. — Myślę, że ktoś był bardzo sprytny.

— Przypuszczam, że ta dziewczyna coś zobaczyła albo czegoś się dowiedziała i próbowała kogoś szantażować.

— Mogła nie traktować tego jako szantaż — zauważyła panna Marple. — W

takich hotelach pokojówki często wiedzą rzeczy, których goście woleliby nie ujawniać. Dlatego dostają większy napiwek albo jakiś upominek. Prawdopodobnie dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, jak ważne jest to, co wie.

— Tak czy inaczej, znaleziono ją z nożem w plecach

— powiedział brutalnie pan Rafael.



— Tak. Najwidoczniej ktoś nie chciał dopuścić do tego, aby zaczęła mówić.

— No i co pani o tym sądzi?

Panna Marple spojrzała na niego zadumana.

— Dlaczego uważa pan, że mogłabym wiedzieć coś więcej niż pan?

— Chyba rzeczywiście nic więcej pani nie wie — rzekł Rafiel — lecz jestem ciekaw, co pani sądzi na ten temat.

— Ale dlaczego?

— Nie mam tu zbyt wiele do roboty poza zarabianiem pieniędzy — wyjaśnił.

Panna Marple spojrzała na niego lekko zaskoczona.

— Zarabianiem pieniędzy? Tutaj?

— Można codziennie nadawać z pół tuzina telegramów, jeśli ktoś to lubi —

wyjaśnił pan Rafiel. — W taki oto miły sposób spędzam czas.

— Chodzi o grę na giełdzie? — zapytała niepewnie panna Marple, takim głosem, jakby mówiła w obcym języku. j

— Coś w tym rodzaju — przyznał. — To takie intelektualne współzawodnictwo.

Problem w tym, że nie zajmuje mi zbyt wiele czasu. Dlatego właśnie zainteresowałem się tamtą sprawą. Palgrave spędzał całe dni na rozmowach z panią. Nikt inny nie mógł z nim wytrzymać. O czym rozmawialiście?

— Opowiadał mi wiele historyjek — odrzekła.

— Tak, wiem. Prawie wszystkie cholernie nudne. I nawet nie wystarczyło ich raz wysłuchać. Jeżeli człowiek znalazł się gdzieś w pobliżu majora, słyszał tę samą opowieść trzy— albo czterokrotnie.

— To prawda — powiedziała panna Marple. — Niestety, to się zdarza starszym panom.

Pan Rafiel spojrzał na nią ostro.

— Je nie opowiadam historyjek — oświadczył. — Niech pani mówi dalej.

Wszystko zaczęło się od jednej z opowieści Palgrave'a, prawda?

— Tak. Twierdził, że znalazł mordercę — rzekła. — Nie było w tym nic nadzwyczajnego — dodała spokojnie — ponieważ, moim zdaniem, coś takiego przytrafia się niemal każdemu.

— Nie nadażam za panią — przyznał Rafiel.

— Nie mam na myśli nic konkretnego — wyjaśniła — ale na pewno przypomni sobie pan podobne wydarzenie z własnego życia. Czy nigdy nie zdarzyło się panu usłyszeć, jak ktoś przypadkowo mówił: „Ach tak, znałem dobrze takiego to a takiego.

Zmarł nagle. Mówią, że to sprawka jego żony, ale to chyba tylko plotki”. Na pewno słyszał pan tego typu opowieści.

— No cóż. Zdaje się, że słyszałem coś podobnego. Ale tego nigdy nie traktuje się poważnie.

— No właśnie — potwierdziła panna Marple — jednak major był bardzo poważnym człowiekiem. Myślę, że opowiadanie tych historii sprawiało mu wielką przyjemność. Powiedział, że im zdjęcie mordercy. Chciał mi je pokazać, ale w końcu tego nie zrobił.

— Dlaczego?

— Ponieważ coś zobaczył — odrzekła. — Podejrzewam, że raczej kogoś.

Zaczerwienił się, schował zdjęcie do portfela i zmienił temat rozmowy.

— A kogo zobaczył?

— Długo się nad tym zastanawiałam — przyznała panna Marple. — Siedziałam wtedy przed moim bungalowem, a on znajdował się prawie naprzeciwko mnie.

Zauważył kogoś ponad moim prawym ramieniem.

— Kogoś, kto szedł wtedy ścieżką za pani plecami. Na prawo jest ścieżka prowadząca od zatoki i parkingu.

— Zgadza się.

— Czy ktoś rzeczywiście szedł tą ścieżką?

— Państwo Dysonowie i pułkownik Hillingdon z żoną.

— Nikt więcej?

— Tego nie wiem. Oczywiście pański bungalow także był w zasięgu jego wzroku...

— Ach, więc powinniśmy jeszcze wziąć pod uwagę Esther Walters i mojego masażystę Jacksona. Zgadza się? Sądzę, że każde z nich mogło wyjść z bungalowu i wejść tam z powrotem, a pani by tego nie zauważyła.

— Tak, możliwe — powiedziała. — Nie od razu odwróciłam głowę.

— Dysonowie, Hillingdonowie, Esther i Jackson. Jedno z nich jest mordercą. Albo oczywiście ja sam... — dodał po namyśle.

Panna Marple uśmiechnęła się lekko.

— Ale on mówił o mordercy jako o mężczyźnie?

— Tak.

— Dobrze. W ten sposób skreślamy z listy Evelyn Hillingdon, Lucky i Esther Walters. A więc, zakładając że te wszystkie bzdury mają sens, tym pani mordercą byłby Dyson, Hillingdon, albo mój ugrzeczniomy Jackson.

— Albo pan — uzupełniła panna Marple.

Rafiel zignorował te ostatnią uwagę.

— Niech mnie pani nie denerwuje — rzekł. — Powiem pani teraz jedną rzecz, która przyszła mi od razu do głowy, a o której pani chyba nie pomyślała. Jeśli mordercą jest jeden z tej trójki, dlaczego stary Palgrave nie rozpoznał go wcześniej?

Do diabła! Przecież przesiadywali razem i gapili się na siebie przez ostatnie dwa tygodnie. To nie ma sensu.

— Myślę, że ma — rzekła panna Marple.

— Więc niech mi to pani wyjaśni.

— Widzi pan, z opowieści majora wynikało, że nigdy nie widział tego człowieka na własne oczy. Tę historię usłyszał od jakiegoś lekarza, który dał mu zdjęcie jako ciekawostkę. Możliwe, że major Palgrave przyjrzał się wtedy temu zdjęciu uważnie, lecz potem schował je do portfela i przechowywał jako pamiątkę. Być może czasami wyjmował fotografię i pokazywał osobie, której opowiadał historyjkę. I jeszcze jedno.

Nic wiemy, jak dawno temu to wszystko się wydarzyło. W opowiadaniu, które usłyszałam, nie było na ten temat żadnej wzmianki. Rzecz w tym, że tę historię mógł

powtarzać ludziom od wielu lat. Od pięciu, dziesięciu, a nawet kilkunastu. Niektóre jego przygody z tygrysami były sprzed dwudziestu lat.

— O, na pewno! — zawołał pan Rafiel.

— Dlatego nie sądzę, aby major Palgrave rozpoznał człowieka z fotografii, gdyby go spotkał przypadkowo. Moim zdaniem było tak: kiedy opowiadał historię, zaczął

szukać zdjęcia, wyciągnął je, potem przyjrzał się twarzy na fotografii, podniósł głowę i zobaczył tę samą osobę albo kogoś bardzo podobnego, kto zmierzał w jego kierunku i znajdował się w

odległości dziesięciu czy dwunastu stóp.

— Tak... — Rafael rozważał to, co usłyszał — to całkiem możliwe.

— Był zaszokowany — kontynuowała panna Marple — schował więc zdjęcie do portfela i zaczął głośno mówić na inny temat.

— Możliwe, że nie był tego wszystkiego pewien — zauważył pan Rafael przytomnie.

— Możliwe — przyznała. — Jednak potem mógł oczywiście przyjrzeć się dokładnie fotografii oraz temu człowiekowi i zdecydować, czy to tylko przypadkowe podobieństwo, czy ma do czynienia dokładnie z tą samą osobą.

Starszy pan zastanawiał się przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

— Coś się tutaj nie zgadza. Motyw zabójstwa nie jest zbyt przekonujący. Nawet zupełnie nieprzekonujący. Mówił do pani głośno, tak?

— Tak — odparła. — Dostyc głośno. Jak zawsze.

— To prawda. On po prostu krzyczał. A więc każdy, kto przechodził, usłyszałby to, co mówił?

— Wydaje mi się, że było go słychać z dostyc dużej odległości.

Pan Rafael ponownie potrząsnął głową i powiedział: — To wszystko jest zbyt fantastyczne. Nikt by w to nie uwierzył. Jakiś śmieszny staruszek opowiada historyjkę, którą usłyszał od kogoś innego, wyciąga nawet zdjęcie... a wszystko to dotyczy morderstwa sprzed wielu lat! W każdym razie sprzed roku czy dwóch.

Dlaczego, do licha, miałoby to w ogóle zaniepokoić mordercę? Brak jakichkolwiek dowodów, są tylko jakieś plotki z trzeciej ręki. Morderca mógł nawet przyznać się do podobieństwa i powiedzieć: „Rzeczywiście, przypominam tego faceta, zabawne, prawda?” i nikt nie potraktowałby poważnie odkrycia starego Palgrave’a. Nigdy w to nie uwierzę. Nie, jeśli to naprawdę był ten człowiek, nie musiał się niczego obawiać.

Zupełnie niczego. Takie oskarżenie mógł po prostu wyśmiać. Dlaczego u diabła miałby planować zamordowanie Palgrave’a? To byłoby całkiem zbyteczne. Musi pani przyznać.

— Tak, przyznaję — rzekła panna Marple. — W zupełności się z panem zgadzam.

I to mnie właśnie najbardziej niepokoi. Tak bardzo, że ostatniej nocy prawie nie zmrużyłam oka.

Pan Rafael przyjrzał jej się uważnie.

— Ciekawe, co też pani ma na myśli — powiedział cicho.

— Mogę się mylić... — zaczęła panna Marple niepewnie.

— Zapewne — stwierdził Rafiel z właściwym sobie brakiem taktu — mimo wszystko, chciałbym usłyszeć, co pani wymyśliła w tę bezsenłą noc.

— Istniałby bardzo uzasadniony motyw, gdyby...

— Gdyby co?

— Gdyby w najbliższym czasie miało dojść do kolejnego morderstwa. Pan Rafiel patrzył na nią osłupiały. Spróbował podnieść się trochę na swoim fotelu.

— Niech pani to wyjaśni — rzekł.

— Nie jestem w tym najlepsza — przyznała panna Marple, po czym zaczęła mówić szybko i dosyć chaotycznie. Z wrażenia zaróżowiły jej się policzki.

— Przypuśćmy, że ktoś zaplanował kolejne morderstwo. Przypomina pan sobie, że tamta opowieść majora Palgrave'a dotyczyła mężczyzny, którego żona zginęła w dziwnych, nie wyjaśnionych okolicznościach, a po jakimś czasie zdarzyła się podobna historia. Obie kobiety zginęły w ten sam sposób, a lekarz, który o tym mówił, stwierdził, że ich mężem był jeden człowiek, chociaż oczywiście o innym nazwisku.

No cóż, wygląda na to, że morderca działa według tego samego schematu, nie sądzi pan?

— Tak jak Smith z *Panien młodych w wannie*? Tak. rzeczywiście.

— Interesowałam się tym i wiem — powiedziała panna Marple — że jeśli człowiek popełnia takie przestępstwo i nie zostaje ono wykryte, zaczyna się czuć bezkarnie. To go zachęca do kolejnych zbrodni. Stwierdza, że zadanie jest łatwe, a on

— bardzo sprytny. Popełnia więc następne morderstwo, aż staje się to jego zwyczajem, jak w przypadku Smitha, o którym pan wspominał. Za każdym razem działa w innym miejscu i pod innym nazwiskiem, lecz morderstwa są bardzo do siebie podobne. Takie jest moje zdanie, jednak mogę się mylić.

— Ale ma pani przecucie, że się nie myli, prawda? — zapytał pan Rafiel chytrze.

Panna Marple kontynuowała, nie odpowiadawszy na to pytanie.

— Jeśli tak było, jak mówię, jeśli ten człowiek zaplanował sobie tutaj kolejną zbrodnię, chcąc pozbyć się następnej żony, i jest to, powiedzmy, jego trzecie czy czwarte morderstwo, to opowieść majora miałyby znaczenie. Morderca nie mógłby pozwolić na jakiegokolwiek skojarzenia. Jeżeli pan pamięta, Smith został złapany dokładnie w taki sposób. Okoliczności zbrodni zwróciły uwagę pewnej osoby, która porównała wycinki z gazet dotyczące innej sprawy. Rozumie pan teraz, że jeśli ten przestępca planował morderstwo i przygotowywał się do niego, nie mógł pozwolić, aby tuż przedtem major Palgrave opowiadał wszystkim swoją historyjkę i pokazywał

to zdjęcie.

Przerwała i spojrzała wyczekująco na rozmówcę.

— Widzi pan więc, że musiał działać bardzo szybko.

— Jeszcze tej samej nocy, tak? — zapytał pan Rafiel.

— Tak — potwierdziła.

— Błyskawiczna robota — zauważył. — Jednak możliwa do zrealizowania. Trzeba było podrzucić tabletki do pokoju Palgravc'a, puścić plotkę o nadciśnieniu, wreszcie dodać trochę czternastosylabowego specyfiku do jego drinka. Zgadza się?

— Tak. Ale to już jest zamknięta sprawa i nic musimy się tym przejmować.

Chodzi o teraźniejszość i przyszłość. Pozbywszy się majora Palgrave'a i tamtej fotografii, ten człowiek zrealizuje swój plan morderstwa.

Rafiel zagwizdał.

— Widzę, że wszystko już pani przemyślała. Panna Marple skinęła głową.

— Musimy go powstrzymać — powiedziała w niezwykle jak na siebie stanowczy, niemal rozkazujący sposób. — Pan musi go powstrzymać.

— Ja? — zdziwił się Rafiel — Dlaczego ja?

— Ponieważ pan jest bogaty i wszyscy się z panem liczą — powiedziała wprost. —

Potraktują poważnie pana słowa i domysły. Mnie nikt nie zechce wysłuchać. Uznają to wszystko za wytwór wyobraźni jakiejś staruszki.

— To prawdopodobne — rzekł. — Głupcy. Chociaż muszę przyznać, że nikt nie podejrzewałby pani o taką sprawność intelektualną, słuchając pani codziennych wypowiedzi. Bardzo logicznie pani rozumuje. Niewiele kobiet to potrafi. —

Przekręcił się niezadowolony w fotelu. — Do licha! Gdzie się podziewają Esther i Jackson? — zawołał. — Muszę zmienić pozycję. Nie, nie, pani mi w tym nie pomoże.

Jest pani za słaba. Nie wiem, co oni sobie myślą, zostawiając mnie samego na tak długo.

— Pójdę ich poszukać.

— Nie. Zostanie pani tutaj i rozwiąże tę zagadkę. Który z nich jest mordercą?

Towarzyski Greg, cichy Edward Hillingdon czy mój Jackson? To na pewno ktoś z tej trójki, prawda?

**Rozdział siedemnasty**



# Pan Rafiel przejmuje dowodzenie

— Sama nie wiem — powiedziała panna Marple.

— Jak to, pani nie wie? A o czym rozmawialiśmy przez ostatnie dwadzieścia minut?

— Pomyślałam właśnie, że mogę się mylić. Pan Rafiel popatrzył na nią zaskoczony.

— Jednak roztrzępana! — zawołał z niesmakiem. — A była pani tak pewna siebie!

— Och, nadal jestem pewna co do morderstwa, ale nie co do mordercy. Widzi pan, dowiedziałam się, że major opowiadał więcej podobnych historii. Sam pan mówił, że słyszał od niego o tej nowej Lukrecji Borgii.

— Owszem. Ale to była zupełnie inna sprawa.

— Wiem. A pani Walters opowiadał o kimś, kto został otruty gazem z piekarnika.

— Jednak ta historia, którą pani usłyszała...

Panna Marple przerwała mu w pół zdania. Nieczęsto zdarzało się to rozmówcom pana Rafiela. Zaczęła mówić niezwykle poważnie i tym razem dosyć składnie:

— Niech pan zrozumie, że nie mogę mieć całkowitej pewności. Cały problem polega na tym, że zazwyczaj nie słucha się takich historii dokładnie. Niech pan spyta pani Walters, przyznała się do tego samego. Słuchamy na początku, potem myśli zaczynają błądzić gdzieś indziej i nagle okazuje się, że umknął nam jakiś fragment historii. Zastanawiam się, czy nie było takiej krótkiej przerwy między opowieścią o tym mężczyźnie, a chwilą, w której major wyciągnął portfel i spytał, czy chce zobaczyć zdjęcie mordercy.

— Ale pani zdaniem to była fotografia człowieka, o którym mówił?

— Tak myślałam. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogło być inaczej. Ale teraz... teraz nie jestem pewna.

Pan Rafiel przyjrzał jej się uważnie.

— Problem w tym — stwierdził — że jest pani zbyt skrupulatna. To wielki błąd.

Niech się pani przestanie wahać i podejmie wreszcie decyzje. Na początku była pani zdecydowana. Jeśli chce pani znać moje zdanie, to uważam, że dopiero po tych pogaduszkach z siostrą pastora i całą resztą gości zaczęła pani mieć wątpliwości.

— Może ma pan racje.

— Wobec tego zapomnijmy na chwilę o wszystkim. Zacznijmy jeszcze raz od początku, ponieważ przekonałem się, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć pierwsza ocena sytuacji jest



najtrafniejsza. Mamy trzech podejrzanych. Przypatrzmy im się uważnie. Czy któregoś by pani wyróżniła?

— Nie, nie — odparła. — Wszyscy trzej jednakowo nie pasują do roli mordercy.

— No więc, najpierw Greg — powiedział Rafiel. — Nie znoszę faceta, chociaż oczywiście to jeszcze nie czyni go mordercą. Jednak znalazłoby się coś przeciwko niemu. Te tabletki na nadciśnienie należały do niego. Miał je pod ręką, mógł z nich łatwo skorzystać.

— Czy nie wydaje się to trochę zbyt oczywiste? — sprzeciwiła się panna Marple.

— Nie wiem, czy się wydaje — odrzekł Rafiel. — Przecież chodziło głównie o to, aby działać szybko, a on miał tabletki pod ręką. Nie było zbyt wiele czasu, żeby szukać leków u kogoś innego. Dobrze, założmy, że to Greg. Jeżeli postanowił pozbyć się swojej ukochanej żony Lucky (swoją drogą to dobry pomysł, w tej sprawie jestem po jego stronie), nie widzę właściwie żadnego motywu. Wydaje się, że to on jest bogaty. Odziedziczył kupę pieniędzy po swojej pierwszej żonie. Oczywiście, na tej podstawie można by go teoretycznie uznać za mordercę poprzedniej żony. Ale to byłaby już zamknięta sprawa. Powiedzmy, że wykręcił się od tego. Lucky to biedna krewna jego pierwszej żony. Nie chodzi o majątek, więc gdyby ją zabił, to tylko dlatego, aby móc ożenić się z inną. Czy są jakieś plotki na ten temat? Panna Marple potrząsnęła głową.

— Nic o tym nie słyszałam. On jest... bardzo szarmancki w stosunku do wszystkich kobiet.

— No cóż, użyła pani ładnego, staromodnego określenia — zauważył Rafiel. —

Ale powiedzmy otwarcie: to uwodziciel i przystawia się do wszystkich kobiet. Jednak to jeszcze o niczym nie świadczy. Potrzebujemy więcej argumentów. Przejdźmy do Edwarda Hillingdona. Teraz on jest naszym czarnym koniem.

— Nie wydaje się być szczęśliwym człowiekiem — stwierdziła panna Marple.

Pan Rafiel spojrział na nią zamyślony.

— A pani sądzi, że morderca powinien być szczęśliwy?

Panna Marple odchrząknęła.

— Doświadczenie mnie nauczyło, że zwykle tak jest.

— Nie sadzę, aby miała pani spore doświadczenie w tych sprawach — rzekł pan Rafiel.

Panna Marple mogła mu powiedzieć, że się myli, jednak postanowiła nie podważać jego sądów. Wiedziała, że mężczyźni tego nie znoszą.

— Osobiście lubię Hillingdona, wydaje mi się bardzo prawdopodobny —

oświadczył Rafiel. — Mam wrażenie, że między nim a jego żoną dzieje się coś dziwnego. Zauważyła

pani?

— Tak, zauważyłam — odparła. — Oczywiście w obecności innych zachowują się jak przykładne małżeństwo. Ale to rozumiałe.

— Zapewne wie pani znacznie więcej o tego typu przypadkach niż ja —

powiedział. — W porządku. Wszystko na pozór układa się doskonale, lecz istnieje prawdopodobieństwo, że Edward Hillingdon rozważa, jak w elegancki sposób pozbyć się Evelyn. Co pani o tym sądzi?

— Jeśli tak, musi wchodzić w grę inna kobieta — rzekła panna Marple i potrząsnęła głową z niezadowoleniem. — Wciąż nie mogę się pozbyć wrażenia, że nie jest to takie proste, jak się zdaje.

— Kogo następnego omówimy? Jacksona? — spytał. — Mnie lepiej zostawmy w spokoju.

Panna Marple po raz pierwszy uśmiechnęła się.

— A dlaczego mielibyśmy pana zostawić?

— Ponieważ, jeśli chce mnie pani uznać za podejrzanego o morderstwo, musi to pani omówić z kimś innym. Robienie tego ze mną jest stratą czasu. Poza tym, czy można mnie w ogóle brać pod uwagę? Człowieka niepełnosprawnego i przykutego do łóżka, bezwolnego manekina, którego trzeba ubierać i wozić na spacer na wózku inwalidzkim. Do licha, w jaki sposób mógłbym kogoś zamordować?

— Zapewne miał pan takie same możliwości jak każdy inny — odpowiedziała energicznie.

— Ale w jaki sposób? Niech mi pani wyjaśni.

— Chyba zgodzi się pan, że nie brakuje panu inteligencji.

— Oczywiście — oświadczył pan Rafiel. — Powiedziałbym, że jestem znacznie inteligentniejszy niż cała reszta tutejszego towarzystwa.

— A dzięki takiej inteligencji — kontynuowała panna Marple — mógłby pan przewyciężyć swoje fizyczne ograniczenia.

— Ale to wymaga trochę zachodu!

— Tak — przyznała. — To wymaga zachodu, jednak sądzę, że sprawiłoby panu satysfakcję.

Rafiel wpatrywał się w nią osłupiały przez dłuższą chwilę, a potem nagle roześmiał

się. — Ależ pani ma tupet! — zawołał. — To niesamowite, jest pani zupełnie inną osobą, niż ta urocza staruszka, na jaką pani wygląda. A więc naprawdę sądzi pani, że jestem mordercą?

— Nie — odrzekła. — Nie sądzę.

— A dlaczego?

— No cóż, właśnie dlatego, że jest pan inteligentny. Dzięki inteligencji może pan zdobyć większość rzeczy, których pan zapragnie, bez uciekania się do przemocy.

Morderstwo jest głupie.

— A tak w ogóle, kogo miałbym właściwie chcieć zamordować?

— To bardzo interesujące pytanie — powiedziała panna Marple. — Nie miałam jeszcze przyjemności wystarczająco długo z panem rozmawiać, aby stworzyć na ten temat jakąś teorię.

Rafiel uśmiechnął się szeroko.

— Rozmowy z panią mogą być niebezpieczne — zauważył.

— Każda rozmowa jest niebezpieczna, jeśli ma się coś do ukrycia — odparła.

— Ma pani chyba rację. Wróćmy jednak do Jacksona. Co pani o nim sądzi?

— Trudno powiedzieć, ponieważ właściwie nigdy z nim jeszcze nie rozmawiałam.

— A więc nie ma pani zdania na jego temat? — On mi trochę przypomina niejakiego Jonasa Parry'ego — rzekła zamyślona. — Takiego młodego człowieka z urzędu miejskiego w mojej okolicy.

— I co? — zapytał pan Rafiel.

— To nie był idealny urzędnik — stwierdziła.

— Jackson też nie jest idealny. Ale odpowiada mi. Jest świetnym fachowcem i nie przeszkadzają mu moje złorzeczenia. Wie, że zarabia cholernie dużo pieniędzy, i dlatego bardzo się stara. Nie zatrudniłbym go na stanowisku wymagającym zaufania, ale teraz nie muszę mu wcale ufać. Być może jego przeszłość jest bez skazy, może nie. Ma dobre referencje, ale ja... powiedzmy, że zachowuję wobec niego ostrożność.

Na szczęście nie mam żadnych wstydliwych tajemnic, zatem nie można mnie szantażować.

— Żadnych tajemnic? — powtórzyła panna Marple powoli. — Z pewnością ma pan jakieś tajemnice dotyczące interesów.

— Ale Jackson nie ma do nich dostępu. Nie. Ktoś mógłby uznać, że Jackson jest dobrym kandydatem na mordercę, ale ja naprawdę nie widzę go w tej roli. Moim zdaniem, to nie jego specjalność.

Przerwał na chwilę, potem nagle oświadczył: — Wie pani co, jeśli popatrzy się na wszystko z dystansu, na tę sprawę majora Palgrave'a, na jego głupie historyjki i te fantastyczne domysły, to nic do siebie nie pasuje. Właściwie... to ja powinienem zostać zmordowany. Panna Marple spojrzała na niego trochę zaskoczona.

— To przecież typowy scenariusz — wyjaśnił. — Kto jest ofiarą w historiach kryminalnych? Starcy, którzy mają dużo pieniędzy.

— I wielu ludzi chętnie by się ich pozbyło, aby odziedziczyć majątek — dodała panna Marple. — Czy jest to zgodne z prawdą?

— No cóż — zastanowił się. — Naliczyłbym pięć czy sześć osób w Londynie, które nie zalałyby się łzami, przeczytawszy mój nekrolog w „Timesie”. Ale nie posunęłyby się aż tak daleko, żeby przyspieszać mój zgon. Zresztą po co miałyby to robić? I tak wszyscy wiedzą, że wkrótce umrę. Właściwie ci szubrawcy są zaskoczeni, że tak długo wytrzymałem. Lekarze również.

— Ma pan wielką wolę życia — zauważyła.

— Przypuszczam, że panią to dziwi. Panna Marple potrząsnęła głową.

— Ależ nie — rzekła. — Uważam, że to zupełnie naturalne. Życie wydaje się znacznie cenniejsze, znacznie bardziej interesujące, jeśli człowiek wie, że może je wkrótce stracić. Może nic powinno tak być, ale tak jest. Człowiek młody, silny i zdrowy, który ma całe życie przed sobą, nie przywiązuje do niego żadnej wagi.

Młodzi ludzie popełniają przecież samobójstwa z powodu nieszczęśliwej miłości, czasem nawet pod wpływem zwykłego zmartwienia. Ale starsze osoby dobrze znają wartość życia.

— Cha, cha! — parsknął pan Rafiel. — Posłuchajcie tylko dwojga starych ramoli!

— Powiedziałam jednak prawdę, nie sądzi pan? — spytała.

— O tak! To szczerza prawda. Ale miałem chyba rację mówiąc, że to ja powinienem znaleźć się w roli ofiary?

— Zależy, komu pańska śmierć przyniosłaby korzyść — zauważyła.

— Tak naprawdę to nikomu — odparł. — Z wyjątkiem mojej konkurencji w interesach, która, jak powiedziałem, może spokojnie liczyć na to, że wkrótce wypadnę z gry. Nie jestem taki głupi, żeby rozdzielać mój majątek między krewnych. O nie!

Dostaną bardzo niewiele, znaczna część przejdzie na własność rządu. Zadbalem o to już wiele lat temu. Zapisałem majątek różnym instytucjom, fundacjom i tak dalej.

— A Jackson, na przykład, co zyskałby po pana śmierci?

— Nie dostałby ani pensa — rzekł Rafiel wesoło. — Płacę mu dwa razy tyle, co każdy inny pracodawca. Może dlatego, że musi znosić mój okropny charakter. Ale on wie doskonale, że z chwilą mojej śmierci straci dobrą posadę.

— A pani Walters?

— To samo dotyczy jej. Esther to dobra dziewczyna. Świetna sekretarka: inteligentna, grzeczna i wyrozumiała. Nie obraża się, kiedy tracę panowanie nad sobą.

Zachowuje się jak łagodna opiekunka, która ma do czynienia z nieznośnym dzieckiem. Czasami mnie irytuje, ale kto tego nie robi? Nie ma w niej nic nadzwyczajnego. Pod wieloma względami jest całkiem przeciętną, młodą kobietą, jednak trudno byłoby znaleźć kogoś odpowiedniejszego. Nie miała łatwego życia. Jej mąż nie był dobrym człowiekiem. Moim zdaniem nigdy nie potrafiła właściwie ocenić mężczyzn. Sporo jest takich kobiet. Zakochują się w każdym, kto opowie im historię swego pechowego życia. Są przekonane, że wszyscy mężczyźni potrzebują kobiecego zrozumienia, że po ślubie wezmą się w garść i poprawią. Ale oczywiście tacy mężczyźni nigdy się nie zmieniają. W każdym razie jej nieudany mąż na szczęście zmarł. Pewnej nocy wypił za dużo na imprezie i wpadł pod autobus. Esther ma na utrzymaniu córeczkę, dlatego wróciła do pracy.

Jest moją sekretarką od pięciu lat. Już na wstępie dałem jej jasno do zrozumienia, że nie powinna spodziewać się niczego po mojej śmierci. Od początku płacę jej wysoką pensję, którą co roku podwyższam o jedną czwartą. Nie można ufać nikomu, nawet najbardziej skromnym i uczciwym ludziom, dlatego powiedziałem Esther wyraźnie, że nie ma co liczyć na żaden spadek. Z każdym kolejnym rokiem mojego życia zarabia coraz więcej i jeśli będzie większość z tych pieniędzy oszczędzać, a sądzę, że właśnie tak robi, to, kiedy kopnę w kalendarz, stanie się całkiem zamożną osobą. Wziąłem na siebie odpowiedzialność za edukację jej córki i przeznaczyłem na ten cel pewną sumę, którą mała dostanie, kiedy osiągnie pełnoletniość. Tak więc Esther Walters jest dobrze urządzona. Wyznam pani, że moja śmierć będzie oznaczała dla niej poważną stratę finansową. — Popatrzył ciężkim wzrokiem na pannę Marple.

— Ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Esther jest bardzo rozsądna.

— Czy ona i Jackson mają się ku sobie? — spytała panna Marple.

— Zauważyła pani coś, prawda? Tak, myślę, że Jackson kręci się wokół niej, zwłaszcza ostatnio się nią interesuje. Oczywiście to przystojny facet, ale raczej nie ma u niej szans. Istnieje jedna zasadnicza przeszkoda: różnica klasowa. Esther stoi trochę wyżej w hierarchii od niego. Niewiele wyżej, ale jednak. Gdyby ta różnica była duża, nie miałyby znaczenia, lecz osoby należące do niższej warstwy klasy średniej są szczególnie na to wyczulone. Matka Esther była nauczycielką, a ojciec urzędnikiem bankowym. Nie, ona nie będzie sobie zawracała głowy Jacksonem. Zapewne on miałby ochotę na jej oszczędności, ale ich nie dostanie!

— Ci...! Właśnie tu idzie! — powiedziała panna Marple. Oboje patrzyli na Esther Walters, która nadchodziła ścieżką od strony hotelu.

— Wie pani, to całkiem ładna dziewczyna — zauważył Rafiel. — Ale zupełnie nie jest atrakcyjna. Nie wiem, dlaczego. Panna Marple westchnęła. Tak jak wzdycha każda kobieta, niezależnie od wieku, myśląc o nie wykorzystanych możliwościach.

Esther brakowało po prostu tego „czegoś”, co za życia panny Marple określano w różny sposób: urok osobisty, seksapil, błysk w oku. Miała jasne włosy, piwne oczy, delikatną karnację, miły uśmiech i zgrabną sylwetkę, lecz brakowało jej tego, co sprawia, że mężczyźni odwracają się za kobietą, kiedy

mijają ją —na ulicy.

— Powinna wyjść ponownie za mąż — rzekła panna Marple, zniżając głos.

— Oczywiście, że powinna. Byłaby dobrą żoną. Kiedy Esther Walters dołączyła do nich, pan Rafiel spytał trochę nienaturalnym głosem:

— Ach, więc jesteś wreszcie! Co cię tak długo zatrzymało?

— Wygląda na to, że dzisiaj rano wszyscy wysyłają telegramy — odparła Esther.

— I opuszczają hotel.

— Co się wydarzyło? Chodzi o to morderstwo?

— Chyba tak. Biedny Tim Kendal jest śmiertelnie przerażony.

— Nie dziwię się. Muszę przyznać, że ci młodzi mają pecha.

— To prawda. Zdaje się, że dużo zainwestowali w ten interes. Bardzo się martwili, czy im się powiedzie. Ale szło im dobrze.

— Rzeczywiście dobrze — zgodził się pan Rafiel. — On ma do tego smykałkę i jest cholernie pracowity. A ona jest miłą i atrakcyjną dziewczyną. Oboje harowali jak Murzyni, chociaż tutaj dziwnie brzmi to wyrażenie, ponieważ, jak widzę, Murzyni wcale nie zaharowują się na śmierć. Kiedyś obserwowałem jednego takiego, jak ogołocił drzewo kokosowe, żeby zdobyć śniadanie, a potem położył się i przespał cały dzień. Słodkie życie!

— Westchnął i dodał: — Właśnie omawialiśmy sprawę morderstwa.

Esther Walters wydawała się trochę zdziwiona. Spojrzała na pannę Marple.

— Pomyliłem się w jej ocenie — przyznał pan Rafiel z właściwą sobie szczerością.

— Nigdy specjalnie nie lubiłem takich starych babć, które tylko robią na drutach i plotkują. Ale ta jest inna. Ma oczy i uszy szeroko otwarte.

Pani Wallers spojrzała przepaszająco na pannę Marple, lecz staruszka nie wyglądała na obrażoną.

— To naprawdę miał być komplement — wyjaśniła Esther.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odrzekła panna Marple —jak również z tego, że pan Rafiel jest człowiekiem uprzywilejowanym. W każdym razie za takiego się uważa.

— Co pani przez to rozumie? — zainteresował się.

— Do czego uprzywilejowanym?

— Do bycia niegrzecznym, kiedy ma pan na to ochotę — powiedziała.

— A byłem niegrzeczny? — spytał zdziwiony. — Przepraszam, jeśli panią uraziłem.

— Nie uraził mnie pan — odparła. — Przyzwyczaiałam się.

— No, teraz jest pani złośliwa! Esther, przynieś sobie krzesło. Może się na coś przydasz.

Esther odeszła kilka kroków i wróciła z wiklinowym krzeselkiem.

— Dobrze, kontynuujmy więc nasze rozważania — rzekł pan Rafiel. — Zaczęliśmy od nieboszczyka Palgrave'a i jego nie kończących się opowieści.

— Ojej! — westchnęła Esther. — Obawiam się, że uciekałam przed nim, jak tylko mogłam.

— Panna Marple była bardziej cierpliwa — zauważył Rafiel. — Powiedz Esther.

czy on kiedykolwiek opowiadał ci historię o mordercy? — O tak — odrzekła. —

Kilkakrotnie.

— Co dokładnie mówił? Przypomnij sobie.

— No cóż — Esther zastanowiła się. — Problem w tym — powiedziała skruszona

— że nie słuchałam go zbyt uważnie. Wie pan, podobnie było z tą okropną historią o lwie w Rodezji, którą opowiadał bez końca. Odruchowo się wyłączałam.

— Wobec tego opowiedz nam, co zapamiętałaś.

— Zdaje się, że na początku było jakieś morderstwo, o którym pisano w gazetach.

Major Palgrave powiedział, że przeżył coś, co nie zdarza się każdemu. Spotkał się z mordercą twarzą w twarz.

— Spotkał! — zawałał pan Rafiel. — Czy on rzeczywiście użył takiego słowa?

Esther była lekko zmieszana.

— Chyba tak — rzekła niepewnie. — Albo powiedział: „Mogę pani pokazać mordercę”.

— A więc, co dokładnie mówił? To duża różnica.

— Nie jestem pewna... Chciał mi chyba pokazać czyjeś zdjęcie.

— To już lepiej.

— A potem opowiadał o Lukrecji Borgii.

— Mniejsza o nią. Znamy dobrze tę historię.

— Mówił o trucicielach i o tym, że Lukrecja była bardzo piękna i miała rude włosy. Stwierdził, że na świecie jest znacznie więcej trucicielek, niż sobie potrafimy wyobrazić.

— Obawiam się, że to całkiem prawdopodobne — przyznała panna Marple.

— Potem powiedział, że trucizna jest bronią kobiecą.

— Zdaje się, że odbiegliśmy trochę od głównego wątku — zauważył pan Rafiel.

— Ależ — on zawsze odbiegał od głównego wątku opowiadania. Wtedy przestawało się go słuchać. Wystarczyło tylko czasami wtrącić: „tak?”, „doprawdy?” lub „coś podobnego!”

— A co z tą fotografią, którą zamierzał ci pokazać?

— Nie pamiętam. Może to była jakaś fotografia z gazety.

— A więc nie pokazał ci zdjęcia?

— Nie — potrząsnęła głową. — Tego jestem całkiem pewna. Powiedział tylko, że nikt by się nie spodziewał, aby taka piękna kobieta mogła być morderczynią.

— Morderczynią?

— No właśnie! — zawołała panna Marple. — Wszystko znów się pogmatwało.

— Mówił o kobiecie? — spytał Rafiel.

— No tak.

— I na tym zdjęciu miała być kobieta?

— Tak.

— Niemożliwe!

— Ale tak było — upierała się Esther. — „Ona jest tu, na wyspie, powiedział, pokażę ją pani i wtedy opowiem całą historię”.

Pan Rafiel zaklął i bez ogródek powiedział, co myśli o zmarłym majorze.

— Możliwe — rzekł na zakończenie — że ani jedno jego słowo nie było zgodne z prawdą!

— Niewykluczone — mruknęła panna Marple.

— A więc tak to wygląda! — zawołał pan Rafiel. — Stary dureń opowiadał



bajeczki o swoich wyczynach. O polowaniach z oszczepem na dziki, wyprawach na tygrysy i słonie, ucieczkach z paszczy lwa. Jedna czy dwie z tych przygód mogły być prawdziwe. Resztę wymyślił albo znał z cudzych opowieści! Potem zmieniał temat i serwował historyjki o mordercach... Jedna lepsza od drugiej! Wszystkie przedstawiał

tak, jakby przydarzyły się jemu samemu. Jestem pewien, że większość z nich stworzył

na pod—stawie tego, co przeczytał w gazetach i zobaczył w telewizji. — Rafael zwrócił się do Esther oskarżycielskim tonem: — Przyznałaś, że nie słuchałaś uważnie.

Może coś źle zrozumiałaś?

— Jestem pewna, że mówił o kobiecie — Esther obstawała przy swoim. — Wiem, ponieważ zastanawiałam się, kto to jest.

— I kogo pani podejrzewała? — zapytała panna Marple. Esther zarumieniła się, lekko zakłopotana.

— Och, naprawdę nie wiem... to znaczy, nie chciałabym...

Starsza pani nie nalegała. Uznała, że obecność pana Rafaela nie sprzyja zwierzeniom Esther. Mogła coś z niej wydobyć tylko podczas spokojnej rozmowy w cztery oczy. Możliwe także, że Esther kłamała. Naturalnie panna Marple nie powiedziała tego głośno. Rozważała taką możliwość, ale nie bardzo w nią wierzyła.

Po pierwsze nie podejrzewała Esther o brak prawdomówności (choć nigdy nic nie wiadomo!), a po drugie nie widziała uzasadnienia dla takiego kłamstwa.

— Pani jednak mówiła — Rafael zwrócił się teraz do panny Marple — że major opowiadał pani tę historyjkę o mordercy, że miał podobno jego zdjęcie i zamierzał je pani pokazać.

— Tak myślałam.

— Tak pani myślała? Na początku była pani tego całkowicie pewna!

Panna Marple oświadczyła odważnie:

— Niełatwo odtworzyć rozmowę, powtarzając precyzyjnie cudze słowa. Zawsze ma się skłonność do interpretowania ich według własnego uznania, a potem przypisuje się swoje poglądy rozmówcy. Major Palgrave rzeczywiście opowiedział mi pewną historię. Podobno usłyszał ją od jakiegoś lekarza, który pokazał mu zdjęcie mordercy. Ale, szczerze mówiąc, słowa majora brzmiały dokładnie tak: „Czy chce pani zobaczyć zdjęcie mordercy?”, a ja oczywiście uznałam, że to było to samo zdjęcie, o którym opowiadał. Zdjęcie tamtego właśnie mordercy. Muszę jednak przyznać, że jest prawdopodobne, bardzo mało prawdopodobne, ale trzeba o tym pamiętać, że major mógł, z właściwą sobie skłonnością do dygresji, zmienić temat.

Fotografię widzianą kiedyś skojarzył ze zdjęciem, które niedawno zrobił tutaj jakiejś osobie, uznanej przez niego za mordercę.

— Ach, wy kobiety! — prychnął rozdrażniony starszy pan. — Wszystkie, cholera, jesteście jednakowe! Nie potraficie być precyzyjne! Nigdy nie jesteście niczego pewne, I kto nam teraz pozostał? — zawołał zirytowany. — Może Evelyn Hillingdon albo żona Grega, Lucky? — parsknął. — Wszystko to nonsens!

Wtedy usłyszeli ciche, przeprasające chrząknięcie. Przy boku pana Rafiela ujrzeli nagle Arthura Jacksona. Nadszedł tak bezszelestnie, że nikt go wcześniej nie zauważył.

— Czas na masaż, proszę pana — powiedział.

Pan Rafael natychmiast się rozgniewał:

— Co ty sobie myślisz, skradając się tutaj? Przestraszyłeś mnie!

— Przepraszam bardzo, proszę pana.

— Chyba zrezygnuję dziś w ogóle z masażu. Te masaże i tak mi wcale nie pomagają!

— Och, nie wolno tak mówić, proszę pana. — Jak przystało na profesjonalistę, Jackson wyraził swój optymizm. — Jeśli pan zrezygnuje z masażu, wkrótce przyzna mi pan rację.

Masażysta zręcznie obrócił fotel na kółkach. Panna Marple wstała, uśmiechnęła się do Esther i zeszła na plażę.

## **Rozdział osiemnasty**

### **Bez błogosławieństwa pastora**

Tego ranka plaża była raczej opustoszała. Greg jak zwykle pluskał się hałaśliwie w morzu. Lucky leżała z twarzą na piasku; jej opalone plecy błyszcząły od olejku, a jasne włosy były rozrzucone na ramionach. Hillingdonowie nie przyszli na plażę.

Señora de Caspearo, otoczona grupką mężczyzn, leżała na wznak i z przyjemnością artykułowała szeleszczące, hiszpańskie głoski. Kilkoro francuskich i włoskich dzieci bawiło się wesoło nad brzegiem wody. Pastor Prescott i jego siostra obserwowali tę scenę ze swoich leżaków. Duchowny miał nasunięty kapelusz na oczy i wglądało, jakby drzemał. Koło panny Prescott stał wolny fotel, który zajęła panna Marple.

— Boże drogi! — westchnęła głęboko.

— Wiem, wiem — odrzekła panna Prescott.

W ten sposób wspólnie uczciły pamięć tragicznie zmarłej.

— Biedna dziewczyna — powiedziała panna Marple.

— To bardzo smutne — dodał pastor. — Godne ubolewania.

— Przez chwilę ja i Jeremy myśleliśmy o wyjeździe — przyznała panna Prescott.

— Potem jednak zrezygnowaliśmy. Czułam, że to nie byłoby w porządku wobec państwa Kendalów. W końcu to nie ich wina. Coś takiego mogło się wydarzyć wszędzie.

— Nawet w środku życia może nas spotkać śmierć — rzekł pastor uroczyście.

— Wie pani, to ważne, aby im się powiodło — wyjaśniła panna Prescott. —

Utopili w tym hotelu cały swój majątek.

— Molly to słodka dziewczyna — zauważyła panna Marple. — Ale nie wygląda ostatnio najlepiej.

— Jest bardzo nerwowa — przyznała panna Prescott. — Oczywiście, jej rodzina...

— potrząsnęła głową.

— Joan, doprawdy... — Pastor lekko zganił swoją siostrę. — Są rzeczy, o których...

— Wszyscy o tym wiedzą — powiedziała panna Prescott. — Rodzina Molly mieszka w naszych stronach. Jej cioteczna babka była dziwaczką, a jej wuj rozebrał

się kiedyś na stacji metra. Zdaje się, że na Green Park.

— Joan, takich rzeczy nie można powtarzać!

— To bardzo smutne — rzekła panna Marple, potrząsając głową — choć wcale nie takie rzadkie. Pamiętam, jak kiedyś, gdy organizowaliśmy pomoc dla Armenii, pewien bardzo szanowny, starszy duchowny został dotknięty podobną chorobą.

Zadzwoniliśmy do jego żony, która natychmiast przyjechała i zabrała go do domu taksówką, zawiniętego w koc.

— Oczywiście najbliższa rodzina Molly jest w porządku — dodała siostra pastora.

— Stosunki córki z matką nigdy nie układały się dobrze, ale w dzisiejszych czasach niewiele dziewcząt potrafi porozumieć się z matkami.

— Wielka szkoda — stwierdziła panna Marple, kiwając głową. — Młoda dziewczyna naprawdę powinna korzystać z wiedzy życiowej i doświadczenia swojej matki.

— No właśnie — potwierdziła panna Prescott z naciskiem. — Wie pani, Molly podobno związała się z jakimś niewłaściwym mężczyzną.

— To się często zdarza — rzekła panna Marple.

— Oczywiście, jej rodzina nie pochwałała tego. Dziewczyna o niczym im nie powiedziała.

Dowiedzieli się od kogoś obcego. Matka chciała, żeby Molly przyprowadziła tego człowieka, aby rodzina mogła go poznać. Podobno dziewczyna nie zgodziła się. Powiedziała, że byłoby to dla niego poniżające, gdyby jej rodzina miała go lustrować jak jakiegoś konia na wyścigach. Panna Marple westchnęła.

— Trzeba mieć wiele taktu, postępując z młodzieżą — mruknęła.

— W każdym razie skutek był taki, że zabronili się jej z nim spotykać.

— Ale to przecież niemożliwe — zauważyła panna Marple. — Teraz dziewczyny pracują i spotykają się z mężczyznami, niezależnie od tego, czy im się na to pozwoli, czy nie.

— Wtedy na szczęście — ciągnęła siostra pastora

— Molly poznała Tima Kendala i tamten poprzedni mężczyzna zniknął z jej życia.

Nawet sobie pani nie wyobraża, jaką to przyniosło ulgę jej rodzinie.

— Mam nadzieję, że nie mówili o tym zbyt otwarcie — powiedziała panna Marple.

— To często zniechęca dziewczyny do budowania trwałych związków.

— Tak, rzeczywiście.

— Sama pamiętam takie sytuacje — rzekła cicho, przypominając sobie wydarzenia z przeszłości...

Tamtego młodego człowieka poznała na przyjęciu przy okazji gry w krokieta.

Wydawał się taki miły, wesoły. W swoich poglądach na świat przypominał prawie artystę-cygana. Został nieoczekiwanie ciepło przyjęty przez jej ojca i uznany za dobrą partię. Zapraszany był do ich domu wielokrotnie i panna Marple odkryła, że tak naprawdę okazał się nudny. Bardzo nudny...

Pastor zdawał się spokojnie drzemać, więc panna Marple zaczęła powoli skierowywać rozmowę na temat, którym ją najbardziej zajmował.

— Pani wie bardzo dużo o tych stronach — zagadnęła. — Przyjeżdżali tu państwo kilka razy z rzędu, prawda?

— Właściwie byliśmy tu zeszłym roku i dwa lata temu. Bardzo nam się podoba na St. Honoré. Przyjeżdżają tu tacy sympatyczni ludzie. Nie ma tu nigdy wielkich i krzykliwych bogaczy.

— Przypuszczam, że dobrze zna pani Hillingdonów i Dysonów.

— Tak, dosyć dobrze.

Panna Marple zakaszlała i powiedziała trochę ciszej:

— Major Palgrave opowiedział mi bardzo interesującą historię.

— On miał wiele opowieści w zanadrzu. Dużo podróżował po świecie. Był w Afryce, Indiach, nawet chyba w Chinach.

— Tak, rzeczywiście — przyznała panna Marple. — Ale ja nie myślałam o jednej z takich przygód. Ta opowieść ma związek z osobami, o których przez chwilę wspomniałam.

— Och! — Zawołała panna Prescott, znacząco.

— Tak. Ciekawa jestem... — spojrzenie panny Marple przesunęło się dyskretnie po plaży, aż do miejsca, w którym leżała Lucky plecami do słońca. — Piękna opalenizna, prawda? — zauważyła — i te niezwykle włosy! Są prawie w tym samym kolorze, co włosy Molly.

— Jedyna różnica polega na tym — rzekła panna Prescott — że kolor włosów Molly jest naturalny, a ten, który ma Lucky, pochodzi z drogerii!

— Doprawdy, Joan! — zaprotestował pastor, który nagle się przebudził. — Nie sądzisz, że to nieźyczliwe tak mówić?

— To nie jest brak życzliwości — odparła jego siostra kąśliwie — tylko stwierdzenie faktu.

— Moim zdaniem wygląda bardzo ładnie — powiedział pastor.

— Oczywiście. Dlatego się farbuję. Ale zapewniam cię, mój drogi Jeremy, że nie zwiedzie żadnej kobiety. Prawda? — zawróciła się do panny Marple.

— No cóż, obawiam się... — odrzekła staruszka — ja oczywiście nie mam takiego doświadczenia jak pani... ale obawiam się, że te włosy naprawdę nie wyglądają naturalnie. Co pięć, sześć dni pojawiają się odrosty... — Spojrzała na siostrę pastora i obie panie z przekonaniem pokiwały głowami.

Wyglądało na to, że pastor znów zasnął.

— Major Palgrave opowiedział mi naprawdę niezwykłą historię — powiedziała cicho panna Marple. — Mówił o... nie jestem całkiem pewna, czasami mam problemy ze słuchem, ale zdaje się, że robił jakieś aluzje do...

— Wiem, co ma pani na myśli. Wiele się w tamtym czasie mówiło na ten temat.

— To znaczy, w czasie gdy...

— Gdy zmarła pierwsza żona pana Dysona. Jej śmierć nastąpiła dosyć niespodziewanie. Właściwie wszyscy uważali ją za *malade imaginaire*\*, hipochondryczkę. Kiedy więc miała ten atak i nieoczekiwanie zmarła, pojawiły się oczywiście plotki.

— I nie podjęto żadnych... nadzwyczajnych kroków?

— Lekarz był zakłopotany. To był młody człowiek, który nie miał zbyt wielkiego doświadczenia. Z gatunku tych, których ja nazywam antybiotykami, ponieważ wszystkim przepisują antybiotyki. Wie pani, tacy, którzy nie zwracają sobie głowy dokładnym badaniem pacjenta ani nie przejmują się tym, co mu dolega. Zapisują mu po prostu jakieś gotowe tabletki, a jeśli nie pomagają, próbują innych. Tak, uważam, że był zakłopotany. Zdaje się jednak, że ona już wcześniej miała jakieś dolegliwości gastryczne. Przynajmniej tak twierdził jej mąż, nie było więc powodu, aby podejrzewać, że coś jest nie tak.

— Pani jednak sądzi, że...

— No cóż, zawsze powstrzymuję się przed ostatecznymi osądami, jednak zastanawiam się, czy...  
Mówiono różne rzeczy.

— Joan! — Pastor aż usiadł. Był nastawiony wojowniczo. — Nie życzę sobie, naprawdę nie życzę, abyś powtarzała przy mnie te złośliwe plotki. Zawsze tego unikaliśmy. Nie oglądać złych rzeczy, nie słuchać, nie mówić i przede wszystkim nie myśleć złych rzeczy! Tak powinna brzmieć dewiza każdego chrześcijanina i chrześcijanki.

Obie kobiety milczały. Zostały skarcone i, przez szacunek do osoby duchownej, powstrzymały się od protestów. W głębi duszy czuły się jednak podenerwowane i bynajmniej nie skruszone. Panna Prescott spojrzała na swego brata zirytowana, a panna Marple wyjęła robótkę i na niej skupiła swój wzrok. Na szczęście los im sprzyjał.

— *Mon pere*\* — odezwał się jakiś piskliwy głosik. Było to jedno z francuskich dzieci, które bawiły się nad wodą. Dziewczynka podeszła nie zauważona i stała teraz przy leżaku pastora.

— Słucham, moja droga? *Oui, qu'est-ce qu'il y a, ma petite?*\*

Dziewczynka wyjaśniła, że trwa kłótnia o to, kto następny powinien dostać dmuchane pływaki. Poprosiła pastora o pomoc w ustaleniu zasad zabawy. Pastor Prescott, który wyjątkowo lubił dzieci, zwłaszcza małe dziewczynki, zawsze z przyjemnością brał na siebie rolę arbitra w ich sporach. Podniósł się ochoczo i razem z dzieckiem ruszył do wody. Panna Marple i panna Prescott odetchnęły głęboko i skwapliwie wróciły do rozmowy.

\*

— Jeremy ma oczywiście rację, sprzeciwiając się złośliwym plotkom. Jednak nie można całkowicie ignorować tego, co mówią ludzie. A wtedy naprawdę wiele na ten temat mówiono.

— Tak? — zapytała ponaglająco panna Marple.

— Ta młoda kobieta, wtedy nosiła chyba nazwisko Greatorex (nie pamiętam teraz dokładnie), była kuzynką pani Dyson. Opiekowała się nią, podawała jej lekarstwa i tak dalej. — Nastąpiła krótka, nieznaczna pauza. — I oczywiście — tu panna Prescott zniżyła głos — coś się chyba zaczęło dziać między panem Dysonem i panną Greatorex. Wiele osób zwróciło na to uwagę. W takim miejscu szybko się zauważa takie rzeczy. Potem zaczęto opowiadać dziwną historię o jakimś leku, który

Edward Hillingdon kupił dla tej dziewczyny w aptece.

— Ach, więc Edward Hillingdon też brał w tym udział?

— Tak. Zauroczyła go. To też było widać. Lucky, czyli panna Greatorex, podburzała ich obu, Gregory'cgo Dysona i Edwarda Hillingdona, przeciwko sobie.

Trzeba przyznać, że była i jest pociągającą kobietą.

— Chociaż już wcale nie taką młodą — dorzuciła panna Marple.

— Właśnie! Ale zawsze się ładnie prezentuje. Ma odpowiedni strój i makijaż.

Oczywiście nie wyglądała tak olśniewająco, kiedy była tylko ubogą krewną.

Wydawała się bardzo oddana chorej. Ale cóż, widzi pani, jak to się skończyło.

— A ta historia z apteką? W jaki sposób wyszła na jaw?

— To nie działo się w Jamestown. Oni mieszkali wtedy chyba na Martynice. Zdaje się, że Francuzi są mniej skrupulatni w sprawach leków niż my. Aptekarz opowiedział

o tym komuś i wiadomość się rozniosła. Wie pani, jak to bywa.

O tak. Panna Marple wiedziała doskonale.

— Mówił, że pułkownik Hillingdon chciał jakieś lekarstwo i wydawało się, jakby nie bardzo wiedział, o co prosi. Sprawdzał nazwę zapisaną na kartce. Zresztą to tylko pogłoski.

— Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego pułkownik Hillingdon... — panna Marple zakłopotana zmarszczyła brwi.

— Sądzę, że był tylko ofiarą cudzych intryg. W każdym razie Gregory Dyson ożenił się powtórnie w nieprzyzwoicie krótkim czasie. Chyba zaledwie miesiąc później.

Spojrzały na siebie.

— Nie było jednak żadnych realnych podejrzeń? — zapytała panna Marple.

— Och, nie. Tylko pogłoski. Oczywiście, mogły być całkiem bezpodstawne.

— Major Palgrave był innego zdania.

— Powiedział pani o tym?

— Nie słuchałam go zbyt uważnie — przyznała panna Marple. — Ale... ciekawa jestem, czy pani mówił to .samo.

— Wskazał mi ją pewnego dnia — rzekła panna Prescott. — Naprawdę ją pani wskazał?

— Tak. Właściwie najpierw myślałam, że pokazuje mi panią Hillingdon. Sapnął, zachichotał i powiedział: „Niech pani spojrzy na tę kobietę! Moim zdaniem popełniła morderstwo i nie została za to ukarana”. Naturalnie byłam zaszokowana i rzekłam: „Z

pewnością pan żartuje, majorze”, a on odparł: „Tak, tak, droga pani, nazwijmy to żartem”. Dysonowie i Hillingdonowie siedzieli przy stoliku obok i bałam się, że mogą nas usłyszeć. Zachichotał i stwierdził: „Nie miałbym ochoty znaleźć się u nich na przyjęciu i dostać drinka przygotowanego przez tę osobę. Czułbym się jak na kolacji u Borgiów”.

— Bardzo interesujące — powiedziała panna Marple. — Czy wspomniał o...

fotografii?

— Nie pamiętam. Chodzi pani o jakiś wycinek z gazety?

Panna Marple już miała odpowiedzieć, lecz zamknęła usta. Przez chwilę czyjś cień przysłonił im słońce. Obok nich zatrzymała się Evelyn Hillingdon.

— Dzień dobry — przywitała się.

— Zastanawiałam się, co się z panią dzieje — odrzekła panna Prescott, patrząc na nią pogodnie.

— Byłam w Jamestown na zakupach.

— Ach tak.

Panna Prescott rozejrzała się wokół, więc Evelyn Hillingdon wyjaśniła:

— Och, nie zabrałam ze sobą Edwarda. Mężczyźni nienawidzą zakupów.

— Czy kupiła pani coś ciekawego?

— To nie takie zakupy. Po prostu musiałam pojechać do apteki.

Uśmiechnęła się, skinęła lekko głową i poszła dalej plażą.

— Tacy mili ludzie ci Hillingdonowie — zauważyła siostra pastora. — Chociaż z nią niełatwo się zaprzyjaźnić, prawda? To znaczy, zawsze jest bardzo miła i tak dalej, ale chyba nikt nie poznał jej bliżej.

Panna Marple, zadumana, przyznała jej rację.

— Nikt nie wie, co ona myśli — dodała panna Prescott.

— Może to i lepiej — rzekła panna Marple.



— Słucham?

— Nie, nic takiego. Tylko odnoszę wrażenie, że jej myśli mogłyby okazać się żenujące.

— Och! — panna Prescott wydawała się zakłopotana.

— Wiem, co chciała pani powiedzieć... — Zmieniła trochę temat. — Podobno mają uroczy dom w Hampshire, a ich syn, nie, chyba dwóch synów, właśnie zaczęło naukę w Winchesterze.

— Dobrze zna pani Hampshire?

— Nie, prawie wcale. Zdaje się, że ich dom jest gdzieś w pobliżu Alton.

— Rozumiem — panna Marple milczała przez chwilę.

— A gdzie mieszkają Dysonowie?

— W Kalifornii — odparła siostra pastora. — Oczywiście, jeśli są w domu. Dużo podróżują.

— Tak mało w rzeczywistości wiemy o ludziach, których spotykamy w podróży —

stwierdziła panna Marple. — To znaczy... jakby to ująć... wiemy tylko tyle, ile zdecydują się nam o sobie powiedzieć. Na przykład pani właściwie nie wie, czy Dysonowie mieszkają w Kalifornii.

Panna Prescott parzyła osłupiała.

— Jestem pewna, że pan Dyson o tym wspominał.

— Tak, tak. Właśnie o to mi chodzi. To samo dotyczy Hillingdonów. Chcę powiedzieć, że kiedy pani mówi, że oni mieszkają w Hampshire, w rzeczywistości powtarza pani tylko ich własne słowa, prawda? Panna Prescott trochę się zaniepokoiła.

— Myśli pani, że nie mieszkają w Hampshire?

— Ależ nie, nawet przez chwilę tak nie pomyślałam — wyjaśniła szybko panna Marple. — To był tylko taki przykład. Chciałam wykazać, jak mało wiemy o innych ludziach. — Potem dodała: — Powiedziałam pani, że pochodzę z St. Mary Mead, miejscowości, o której z pewnością nigdy pani nie słyszała. Ale pani przecież nie wie tego na pewno.

Panna Prescott powstrzymała się od stwierdzenia, że wcale jej nie interesuje, gdzie mieszka panna Marple. Wiedziała tylko, że w jakiejś wsi na południu Anglii.

— Och, doskonale rozumiem, co pani ma na myśli — zgodziła się pospiesznie. —

Wiem, że trzeba być bardzo ostrożnym, kiedy się jest za granicą.

— Niezupełnie to miałam na myśli — przyznała panna Marple.

Przez głowę przebiegały jej teraz dziwne myśli. Zadawała sobie pytanie, skąd mogłaby mieć pewność, że pastor Prescott jest pastorem, a panna Prescott jego siostrą? Tak mówili. Nie było powodów, aby im nie wierzyć. Ale to przecież nic trudnego założyć koloratkę, ubrać się odpowiednio i prowadzić stosowne rozmowy.

Gdyby był motyw...

Panna Marple dobrze знаła duchownych w swoich stronach, ale Prescottowie pochodzili z północy. Z Durham, zdaje się. Nie miała wątpliwości, że faktycznie nazywali się Prescott, ale... Problem był wciąż ten sam — wierzyła w to, co jej powiedziano.

Może jednak człowiek powinien mieć się zawsze na baczności? Może...

Zamyślona potrząsnęła głową.

## **Rozdział dziewiętnasty**

### **Złamany obcas**

Pastor Prescott wrócił znad morza lekko zasapany. Zabawa z dziećmi jest zawsze wyczerpująca.

Potem, stwierdziwszy, że na plaży jest trochę za gorąco, poszedł z siostrą do hotelu.

— Nonsens! — zawołała señora de Caspearo z pogardą, kiedy odeszli. — Na plaży nie może być za gorąco! Popatrzcie państwo, jak ona jest ubrana, ma zakryte całe ramiona i szyję. Może to i lepiej. Jej paskudna skóra przypomina kolorem obskubanego kurczaka!

Panna Marple wstrzymała oddech. „Teraz albo nigdy!”, pomyślała. Nadarzyła się okazja, aby porozmawiać z señorą de Caspearo. Niestety nie wiedziała, jak zacząć.

Wydawało się, że brak im wspólnego tematu do rozmowy.

— Czy ma pani dzieci? — zagadnęła.

— Mam troje aniołków — odrzekła señora de Caspearo, cmokając w palce.

Panna Marple nie była pewna, czy to znaczyło, że potomstwo señory przeniosło się do nieba, czy że dzieci mają łagodne charaktery.

Jeden z dżentelmenów dotrzymujących towarzystwa pani de Caspearo powiedział

coś po hiszpańsku. Señora odrzuciła w tył głowę, wybuchając w odpowiedzi głośnym i melodyjnym śmiechem.

— Zrozumiała pani, co powiedział? — zapytała pannę Marple.

— Niestety nie — odrzekła staruszka ze skruchą.

— I dobrze. To złośliwy człowiek. Przekomarzali się przez chwilę z ożywieniem po hiszpańsku.

— To bezprawie! Powtarzam, bezprawie! — oświadczyła señora de Caspearo niespodziewanie poważnie, przechodząc na angielski. — Policja nie chce nam pozwolić wyjechać z wyspy. Krzyczałam, wrzeszczałam i tupałam, ale ich jedyna odpowiedź brzmiała „nie!” Nie i nie! Wie pani, jaki będzie finał? Wszyscy zostaniemy zamordowani.

Jej towarzysz próbował ją uspokoić.

— Ależ mówiłam ci, że to pechowe miejsce. Wiedziałam o tym od samego początku. Ten stary, wstrętny major, ze swoim złym okiem, pamiętasz? Miał niedobre spojrzenie. To zły znak. Ilekroć popatrzył na mnie, robiłam znak odczyniający zły urok. — Wykonała odpowiedni gest. — Chociaż przy tym jego krzywym spojrzeniu nigdy nie byłam pewna, kiedy patrzył w moją stronę.

— Miał szklane oko — rzekła panna Marple tonem usprawiedliwienia. — Zdaje się, że jeszcze od czasu wypadku w młodości. To nie była jego wina.

— Powiem pani coś: to on sprowadził na nas nieszczęście. Tym swoim złym okiem. — Ponownie uczyniła dłonią znany, łaciński gest: palec wskazujący i mały uniesione do góry, a dwa środkowe zgięte razem. — W każdym razie — dorzuciła pogodnie — on nie żyje i nie muszę więcej patrzeć na niego. Nie lubię brzydkich widoków.

Panna Marple pomyślała, że major Palgrave doczekał się dosyć okrutnego epitafium.

W oddali zobaczyła, jak Gregory Dyson wychodzi z morza. Lucky obróciła się na piasku. Evelyn Hillingdon popatrzyła na Lucky. Zauważywszy wyraz twarzy Evelyn, panna Marple zadrżała. „Z pewnością nie jest zimno. Siedzę w pełnym słońcu”, pomyślała. Dlaczego więc przeszedł ją taki dreszcz?

Wstała i ruszyła powoli w stronę swego bungalowu. Po drodze spotkała pana Rafiela i Esther Walters, którzy szli na plażę. Pan Rafael mrugnął do niej porozumiewawczo. Panna Marple nie mrugnęła w odpowiedzi, tylko posłała mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

Weszła do bungalowu i położyła się na łóżku. Poczowała się stara, zmęczona i zaniepokojona.

Była całkowicie pewna, że nie ma czasu do stracenia. Nie ma czasu. Robi się późno... Słońce zaraz zajdzie. Słońce... Zawsze trzeba patrzeć na słońce przez ciemne okulary. Gdzie są te okulary, które dostała ostatnio w prezencie? Nie, nie będą jej potrzebne. Słońce przysłonił cień... Cień Evelyn Hillingdon? Nie, nie Evelyn.

Cień... jak to było? — „Cień z Doliny Śmierci”. Tak, właśnie tak. Trzeba... zrobić znak odczyniający zły urok... Odwrócić „złe oko”. Oko majora Palgrave’a.

Zamrugła powiekami. Przed chwilą chyba zasnęła. Ale cień był prawdziwy. Ktoś zaglądał w jej okno. Cień poruszył się i panna Marple zauważyła, że należał do Jacksona.

„Bezczelność, zaglądać w ten sposób — pomyślała. — Zupełnie jak Jonas Parry!” Porównanie nie

było korzystne dla Jacksona. Potem zastanowiła się, dlaczego on w ogóle zaglądał w okno jej sypialni. Aby zobaczyć, czy jest u siebie, albo sprawdzić, czy śpi. Wstała więc, przeszła do łazienki i wyjrzała ostrożnie przez okno.

Arthur Jackson stał przy drzwiach sąsiedniego bungalowu zajmowanego przez pana Rafiela. Zobaczyła, jak szybko obejrzał się za siebie i wślizgnął do środka.

Ciekawe, dlaczego rozglądał się tak ukradkowo? To całkiem naturalne, że wchodził

do bungalowu pana Rafiela, skoro w tylnej części domku znajdował się jego własny pokój. Często chodził tam i z powrotem, załatwiając jakieś sprawy. Zatem dlaczego teraz rozglądał się z miną winowajcy?

Powód mógł być tylko jeden — sama sobie odpowiedziała na to pytanie — chciał mieć pewność, że nikt nie widział, jak wchodzi, do środka w tej właśnie chwili.

Chodziło o to, co zamierzał tam zrobić.

Wszyscy z wyjątkiem osób, które pojechały na wycieczkę, byli teraz na plaży. Za jakieś dwadzieścia minut Jackson też się pojawi nad morzem, żeby pomóc panu Rafielowi w codziennej kąpieli. Jeśli planował coś zrobić i pozostać nie zauważonym, wybrał sobie najlepszą porę. Upewnił się, że panna Marple śpi i że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby obserwować jego poczynania. Wobec tego staruszka postanowiła przyjrzeć im się najdokładniej, jak mogła.

Usiadła na łóżku, zrzuciła swoje eleganckie sandały i założyła buty na gumowej podeszwie. Potem potrząsnęła głową, zdjęła je i wydobyla z walizki buty, w których ostatnio zahaczyła o szczelinę przy drzwiach, w wyniku czego naderwał jej się jeden obcas. Panna Marple zrećnie podpiłowała go jeszcze bardziej pilniczkiem do paznokci.

Potem bardzo ostrożnie wyszła z bungalowu, mając na nogach tylko pończochy.

Skradała się cicho, jak myśliwy polujący na grubą zwierzynę, który próbuje podejść stado antylop. W ten sposób okrążyła domek pana Rafiela i znalazła się za jego rogiem. Wtedy założyła jeden z zabranych butów, a przy drugim urwała całkowicie obcas. Osunęła się łagodnie na kolana, położywszy się na brzuchu pod oknem. Gdyby Jackson coś usłyszał i podszedł do okna, zobaczyłby starszą panią, która właśnie upadła, ponieważ złamał jej się obcas. Najwyraźniej jednak Jackson niczego nie słyszał. Panna Marple powolutku uniosła głowę. Okno domku znajdowało się nisko.

Zasłaniając się jakimś pnączem, zajrzała do środka...

Jackson klęczał na kolanach przed otwartą walizką. Panna Marple dostrzegła, że wewnątrz znajdowały się specjalne przegródki wypełnione różnymi dokumentami.

Jackson przeglądał papiery, od czasu do czasu, wyciągając któryś z podłużnej koperty.

Panna Marple nie zajmowała długo swego punktu obserwacyjnego. Chciała tylko wiedzieć, co

Jackson robił. I dowiedziała się. Szperał w cudzych rzeczach.

Niezależnie od tego, czy szukał czegoś konkretnego, czy jedynie zaspokajał swoją wrodzoną ciekawość, wiedziała, co o nim myśleć. Potwierdziło się jej przekonanie, że Arthur Jackson i Jonas Parry byli do siebie podobni nie tylko z twarzy.

Musiała się teraz jakoś wycofać. Bardzo ostrożnie opadła z powrotem na brzuch, przeczołgała się wzdłuż rabatki, aż do miejsca, w którym zniknęła z pola widzenia Jacksona. Wróciła do bungalowu, powoli zdjęła but i odłożyła oderwany obcas...

Spojrzała na buty z zadowoleniem. To dobry pomysł, który będzie mogła jeszcze w razie potrzeby wykorzystać. Założyła znów sandały i ruszyła zamyślona na plażę.

Panna Marple wybrała moment, kiedy Esther Walters była w morzu. Przesiadła się na jej miejsce. Greg i Lucky śmiali się bardzo hałaśliwie, rozmawiając z señorą de Caspearo. Staruszka cicho, prawie szeptem powiedziała, nie patrząc na Rafaela.

— Czy wie pan, że Jackson szpera w pańskich rzeczach?

— Wcale mnie to nie dziwi — odparł. — Przyłapała go pani na tym?

— Udało mi się podejrzeć go przez okno. Otworzył jedną z pańskich walizek i przeglądał dokumenty.

— Musiał zdobyć do niej klucz. Zaradny facet. Ale będzie rozczarowany. Nie dowie się w ten sposób niczego, co mogłoby go ucieszyć.

— Właśnie tu idzie — rzekła panna Marple, spoglądając w kierunku hotelu.

— Czas na tę idiotyczną kąpiel — powiedział i dodał bardzo cicho: — A pani niech nie będzie zbyt przedsiębiorcza. Nie chciałbym, aby jako następny odbył się pani pogrzeb. Niech pani pamięta o swoim wieku i zachowa ostrożność. Na wyspie jest ktoś, kto nie ma najmniejszych skrupułów. Proszę pamiętać!

## **Rozdział dwudziesty**

# Nocny alarm

Nadszedł wieczór. Zapalono lampy na tarasie. Goście jedli kolację, rozmawiali i śmiali się, ale znacznie ciszej i mniej radośnie niż podczas poprzednich dni. Grała orkiestra.

Dansing zakończył się jednak wcześniej. Ziewający goście rozeszli się do łóżek.

Pogasty światła. Zapanowała ciemność i cisza. Wszyscy w Złotej Palmie zapadli w sen...

— Evelyn. Evelyn! — Szept brzmiał natarczywie. Evelyn Hillingdon poruszyła się na poduszce.

— Evelyn! Proszę, obudź się.

Evelyn usiadła nagle. W drzwiach stał Tim Kendal. Patrzyła na niego zaskoczona.

— Evelyn; proszę cię, czy możesz pójść ze mną? Chodzi o Molly. Źle się czuje.

Nie wiem, co się z nią dzieje. Musiała chyba coś połknąć...

Evelyn zareagowała szybko i zdecydowanie.

— Dobrze, Tim. Już idę. Wracaj do niej. Zaraz do ciebie dołączę.

Tim Kendal zniknął. Evelyn zsunęła się z łóżka, zarzuciła szlafrok i spojrzała na drugie poślanie. Jej mąż nie obudził się. Leżał spokojnie, z odwróconą głową, oddychając miarowo. Evelyn zawahała się przez moment, potem jednak postanowiła go nie budzić. Wyszła z domku, minęła główny budynek i pobiegła dalej, do bungalowu, który zajmowali Kendalowie. Dogoniła Tima w drzwiach. Molly leżała w łóżku. Miała zamknięte oczy i oddychała nierównomiernie. Evelyn pochyliła się nad nią, uniosła powiekę dziewczyny, sprawdziła puls, a potem spojrzała na stoliczek przy łóżku. Stała tam pusta szklanka i opróżniona fiolka. Wzięła ją do ręki.

— To jej tabletki nasenne — powiedział Tim — ale jeszcze wczoraj buteleczka była do połowy wypełniona. Musiała chyba połknąć wszystkie.

— Biegnij po doktora Grahama — poleciła Evelyn. — Po drodze wstąp do kuchni i każ im zaparzyć mocną kawę. Jak najmocniejszą. Pospiesz się!

Tim wyskoczył pędem. Za drzwiami zderzył się z Edwardem Hillingdonem.

— Przepraszam, Edwardzie.

— Co się stało? — zażądał odpowiedzi Edward. — Co się tu dzieje?

— To Molly... Evelyn jest u niej. Muszę sprowadzić lekarza. Powinienem chyba od razu pobiec po niego, ale nie byłem pewien i pomyślałem, że Evelyn zdecyduje.

Molly byłaby bardzo niezadowolona, gdybym niepotrzebnie wezwał lekarza.

Wybiegł. Edward Hillingdon patrzył za nim przez chwilę, a następnie wszedł do sypialni.

— Co się stało? — Zapytał. — Coś poważnego?

— Och, jesteś, Edwardzie. Nie wiedziałam, czy cię budzić. Zobacz, co zrobiło to głupie dziecko.

— Źle z nią?

— Trudno powiedzieć. Nie wiadomo, ile tego połknęła. Chyba przyszliśmy w samą porę. Kazałam przynieść kawę... Może trzeba będzie zrobić jej płukanie żołądka.

— Ale dlaczego zrobiła coś takiego? Nie sądzisz chyba że z powodu... — nie dokończył.

— Z jakiego powodu? — zapytała.

— Nie sądzisz, że z powodu tego śledztwa, policji i tak dalej...

— To dosyć prawdopodobne. Takie sytuacje mogą źle wpłynąć na osoby nerwowe.

— Molly nigdy nie wydawała się nerwowa.

— Tego nigdy nie wiadomo — zauważyła Evelyn. — Zdarza się, że ludzie, po których byśmy się tego nie spodziewali, tracą panowanie nad sobą.

— Tak, pamiętam... — po raz kolejny nie dokończył zdania.

— Prawda jest taka — powiedziała Evelyn — że nic o innych nie wiemy — i dodała: — Nawet o naszych najbliższych...

— Czy ty trochę nie przesadzasz, Evelyn? Nie wyolbrzymiasz wszystkiego?

— Nie sądzę. Myśląc o kimś, masz przed sobą tylko własne wyobrażenie o tej osobie.

— Ale ciebie znam — rzekł Edward Hillingdon cicho.

— Tak ci się wydaje.

— Nie. Jestem tego pewien. A ty jesteś pewna mnie — dodał.

Evelyn spojrzała na niego i odwróciła się w stronę łóżka. Chwyciła Molly za ramiona i potrząsnęła nią.

— Powinniśmy coś zrobić, ale może lepiej poczekajmy, aż przyjdzie doktor Graham. Och, chyba ich słyszę.

\*

— Wyjdzie z tego — stwierdził doktor Graham. Odszedł kilka kroków, otarł czoło chusteczką i

odetchnął z ulgą.

— Myśli pan, że wszystko będzie w porządku? —zapytał Tim niespokojnie. —

Tak, tak. Przyszliśmy w samą porę. Zresztą ona prawdopodobnie nie wzięła dawki śmiertelnej. Za kilka dni będzie zdrowa jak ryba, chociaż dziś i jutro może się czuć okropnie. — Uniósł pustą buteleczkę. — Kto jej właściwie przepisał te tabletki?

— Lekarz w Nowym Jorku. Miała problemy z zasypianiem.

— No tak. Dzisiejsi lekarze przepisują takie środki lekką ręką. Nikt nie powie młodej dziewczynie, która ma trudności z zasypianiem, aby liczyła barany albo wstała, zjadła herbatnika i napisała kilka listów, a potem wróciła do łóżka. Teraz ludzie domagają się środków działających natychmiast. Czasami żałuję, że im je przepisujemy. Trzeba się nauczyć przewycięzać problemy. To bardzo łatwe wcisnąć dziecku smoczek do buzi, żeby przestało płakać. Ale nie można tak postępować z człowiekiem przez całe życie. Założę się — zaśmiał się cicho — że gdyby zapytać pannę Marple, co robi, kiedy nie może zasnąć, odpowiedziałyby, że liczy barany.

Odwrócił się w stronę łóżka, ponieważ Molly poruszyła się. Otworzyła oczy.

Patrzyła na nich obojętnie i nie rozpoznawała nikogo. Doktor Graham ujął jej dłoń.

— I co, moja droga? Coś ty sobie zrobiła?

Zamrugnęła powiekami, lecz nie odpowiedziała.

— Dlaczego to zrobiłaś, Molly? Powiedz, dlaczego?

— Tim chwycił ją za drugą rękę.

Jej oczy nadal pozostały nieruchome. Rozpoznawała chyba tylko Evelyn Hillingdon. Być może kryło się w tym spojrzeniu nieme pytanie, ale nie sposób było tego stwierdzić. Evelyn odpowiedziała, jakby to pytanie zostało zadane.

— Sprowadził mnie tutaj Tim — wyjaśniła.

Wzrok Molly przeniósł się teraz na Tima, potem na doktora Grahama.

— Wszystko będzie dobrze — uspokoił ją lekarz. — Ale niech pani tego więcej nie robi.

— Ona nie chciała tego zrobić — powiedział cicho Tim. — Jestem pewien, że nie.

Chciała tylko szybko zasnąć. Może tabletki nie zadziałały od razu, więc zażyła ich więcej. Molly, czy tak było?

Nieznacznie pokręciła głową.



— To znaczy, że wzięłaś je celowo? — zapytał Tim. Wtedy Molly odezwała się:

— Tak — rzekła.

— Ale dlaczego, Molly, dlaczego? Zamrugła powiekami.

— Bałam się — szepnęła ledwie słyszalnie.

— Bałaś się? Czego? Jej powieki opadły.

— Lepiej zostawmy ją w spokoju — poradził doktor, lecz Tim zawołał

impulsywnie:

— Czego się bałaś, policji? Dlatego, że nie dawali ci spokoju, że wypytywali? Nie dziwię się. Każdy by się bał. Ale na tym polega ich praca. Nikt ani przez moment nie przypuszczał, że... — przerwał.

Doktor Graham dał mu stanowczy znak ręką.

— Chcę spać — powiedziała Molly.

— To będzie dla pani najlepsze — przyznał lekarz. Ruszył do drzwi, a cała reszta poszła za nim. — Niech sobie pośpi — poradził.

— Co mam robić? — spytał Tim, niespokojnie, jak każdy, kto obawia się o chorego.

— Zostanę, jeśli chcesz — zaproponowała Evelyn życzliwie.

— Ależ nie, dziękuję — odrzekł Tim. Evelyn podeszła do łóżka.

— Czy mam z tobą zostać, Molly?

Molly otworzyła oczy.

— Nie — odparła, po czym dodała: — Tylko Tim.

Tim podszedł i usiadł przy łóżku.

— Jestem przy tobie, Molly — powiedział, biorąc ją za rękę. — Śpij spokojnie, nie zostawię cię.

Westchnęła cicho i zamknęła oczy. Doktor Graham stał przed bungalowem z Hillingdonami.

— Jest pan pewien, że w niczym nie mogę pomóc? — zapytała Evelyn.

— Nie, raczej nie. Dziękuję pani. Lepiej niech Molly zostanie teraz z mężem. Ale może jutro... Przecież on musi zajmować się hotelem. Myślę, że ktoś powinien przy niej być.

— Sądzi pan, że ona może... spróbować jeszcze raz? — zapytał Hillingdon.

Graham potarł nerwowo czoło.

— W takich przypadkach nigdy nic nie wiadomo. Chociaż to właściwie mało prawdopodobne. Jak sami państwo widzieli, odratowywanie jest bardzo nieprzyjemne.

Ale oczywiście nigdy nie można mieć całkowitej pewności. Mogła gdzieś ukryć więcej tych tabletek.

— Nigdy nie podejrzewałbym takiej dziewczyny jak Molly o skłonności samobójcze — stwierdził Hillingdon.

— Zazwyczaj nie robią tego osoby, które opowiadają, że się zabijają, i straszą otoczenie — powiedział oschle Graham. One tylko dramatyzują i rozładowują w ten sposób swoje napięcie.

— Molly zawsze sprawiała wrażenie szczęśliwej dziewczyny. Możliwe, że... —

Evelyn zawahała się. — Powinam panu o tym powiedzieć, doktorze.

Powtórzyła mu rozmowę, którą przeprowadziła z Molly na plaży tej nocy, kiedy zamordowano Victorię. Kiedy skończyła, Graham spoważniał.

— Dobrze, że mi pani o tym powiedziała. Dostrzegam tu symptomy, których absolutnie nie można lekceważyć. Tak. Rano porozmawiam z jej mężem.

\*

— Chciałbym poważnie porozmawiać o pańskiej żonie.

Siedzieli w biurze Tima. Evelyn Hillingdon została przy Molly. Lucky obiecała, że wpadnie później i ją zastąpi. Panna Marple także zaproponowała swoją pomoc.

Biedny Tim był rozdarty między obowiązkami hotelowymi a niepokojem o stan żony.

— Nie potrafię tego zrozumieć — powiedział Tim. — Nie pojmuję zachowania Molly. Jest inna. Zmieniła się nie do poznania.

— Zdaje się, że ma złe sny?

— Tak, tak. Bardzo się na nie skarżyła.

— Od jak dawna?

— Och, nie wiem. Od miesiąca, zdaje się, może dłużej. Wie pan, ona...

Myśleliśmy, że to tylko złe sny.

— Tak, doskonale rozumiem. Ale znacznie poważniejsze są te lęki. Podobno kogoś się boi. Mówiła

panu o tym?

— No... tak. Wspomniała raz czy dwa, że ktoś ją śledzi.

— A może szpieguje?

— Tak, rzeczywiście użyła kiedyś takiego określenia. Powiedziała, że śledzą ją jej wrogowie.

— A czy miała wrogów?

— Nie. Oczywiście, że nie.

— Może wydarzyło się coś w Anglii, jeszcze przed waszym ślubem?

— Nie, nic takiego nie było. Jedynie z rodziną nie układało jej się najlepiej, ale nic poza tym. Jej matka to ekscentryczka i chyba trudno z nią wytrzymać, ale...

— Nie było w jej rodzinie osób niezrównoważonych psychicznie?

Tim odruchowo otworzył usta, a potem je zamknął. Bawił się wiecznym piórem, które leżało przed nim na biurku.

— Tim, chciałbym podkreślić, że lepiej będzie, jeśli mi o tym powiesz.

— No cóż. Zdaje się, że był ktoś taki. Nic poważnego, podobno Molly miała trochę stukniętą ciotkę. Ale to nic wielkiego, przecież niemal w każdej rodzinie trafia się ktoś taki.

— Tak, to prawda. Nie chciałbym cię straszyć, ale zdarzają się skłonności do załamania nerwowego albo wyobrażania sobie nie istniejących rzeczy pod wpływem narastającego stresu.

— Właściwie niewiele o niej wiem — przyznał Tim. — Przecież nikt nie lubi opowiadać innym o swoich rodzinnych problemach.

— To oczywiste. Czy miała może wcześniej jakiegoś przyjaciela, narzeczonego, który mógłby jej na przykład grozić z zazdrości?

— Nie wiem. Chyba nie. Chociaż Molly była z kimś zaręczona, zanim się pojawiłem. Podobno jej rodzice bardzo się temu sprzeciwiali. Myślę, że trzymała się tego faceta głównie na przekór im. — Uśmiechnął się półgębkiem. — Wie pan, jak to jest z młodymi ludźmi. Jeśli im się czegoś zabrania, tym bardziej im się to podoba.

Doktor Graham także się uśmiechnął.

— O, tak. Często się to zdarza. Nie powinno się protestować przeciwko nieodpowiednim znajomościom swoich dzieci. Zazwyczaj same przestają się nimi interesować. Ten mężczyzna nigdy nie groził Molly?

— Nie. Na pewno nie. Powiedziałyby mi o tym. Stwierdziła, że z jej strony to było tylko głupie zauroczenie nastolatki. Głównie z powodu jego złej reputacji.

— No tak. To nie brzmi zbyt poważnie. Jest jeszcze jedna sprawa. Wygląda na to, że twoja żona cierpi na coś, co nazywa zanikami pamięci. Zdarza się, że traci poczucie czasu i nie potrafi powiedzieć, co robiła wcześniej. Wiedziałaś o tym, Tim?

— Nie — odpowiedział powoli. — Nie, nie wiedziałem. Nigdy mi o tym nie mówiła. Zauważyłem, że czasami zachowuje się dziwnie... — przerwał i zamyślił się.

— Tak, to wszystko wyjaśnia. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego zapomina o najprostszych sprawach albo wydaje się nie wiedzieć, jaka jest pora dnia. Myślałem, że to po prostu roztargnienie.

— To oznacza, Tim, że powinieneś jak najszybciej zabrać żonę do dobrego specjalisty.

Tim zaczerwienił się ze złości.

— Ma pan na myśli psychiatrę, tak?

— Spokojnie, spokojnie. Nazwa nie gra roli. Chodzi o neurologa, albo psychologa, który specjalizuje się w tym, co laicy nazywają załamaniem nerwowym. Jest taki specjalista w Kingston. Oczywiście można jechać do Nowego Jorku... Musi być jakaś przyczyna tych nerwowych lęków. Przyczyna, z której zapewne twoja żona nie zdaje sobie sprawy. Załatw jej wizytę, Tim. Najszybciej, jak możesz.

Poklepał młodego człowieka po ramieniu i wstał.

— Na razie nie ma powodów do obaw. Twoja żona jest otoczona przyjaciółmi.

Wszyscy będziemy jej pilnować.

— Ona nie... nie myśli pan chyba, że spróbuje jeszcze raz? — Myślę, że to mało prawdopodobne — odrzekł lekarz.

— Ale nie jest pan pewien — powiedział Tim.

— Nie można być niczego pewnym — odparł doktor.

— To jedna z pierwszych rzeczy, których uczy się lekarz.

— Raz jeszcze położył rękę na ramieniu Tima. — Nie przejmuj się tak bardzo.

— Łatwo powiedzieć — stwierdził Tim, kiedy lekarz wyszedł. — Nie przejmuj się! Czy on myśli, że ja jestem z kamienia?

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### Jackson, znawca kosmetyków

— Czy na pewno może pani z nią zostać? — zapytała Evelyn Hillingdon pannę Marple.

— Ależ oczywiście, moja droga — odparła staruszka.

— Bardzo się cieszę, że mogę się na coś przydać. Człowiek w moim wieku czuje się na świecie niepotrzebny. Zwłaszcza w takim miejscu, gdzie się tylko wypoczywa i nie ma żadnych obowiązków. Z przyjemnością posiedzę z Molly. Niech pani śmiało jedzie na tę wycieczkę. Na Cypel Pelikanów, prawda?

— Tak — odrzekła Evelyn. — Edward i ja uwielbiamy to miejsce. Mogę bez końca obserwować ptaki, które nurkują i łowią ryby. Tim jest teraz przy Molly. Ale on ma różne obowiązki, a nie chciałby zostawiać jej samej.

— Ma rację. Na jego miejscu też bym tego nie chciała — przyznała panna Marple.

— Nigdy nic nie wiadomo. Gdy ktoś już raz próbował czegoś podobnego... Ale lepiej niech już pani idzie.

Evelyn odeszła. Przyłączyła się do czekającej na nią grupki. Był tam jej mąż, Dysonowie oraz kilka innych osób. Panna Marple spojrzała na swoją robótkę, sprawdzając, czy ma ze sobą wszystko, co potrzebne, i ruszyła do bungalowu Kendalów.

Kiedy weszła na werandę, usłyszała dobiegający przez uchylone okno głos Tima.

— Chciałbym, żebyś mi powiedziała, dlaczego to zrobiłaś, Molly. Co cię do tego skłoniło? Czy to ja zawiniłem? Musi być jakaś przyczyna. Proszę, powiedz mi.

Panna Marple zatrzymała się. Nastąpiła chwila ciszy, zanim przemówiła Molly.

Miała bezbarwny, zmęczony głos.

— Nie wiem, Tim. Naprawdę nie wiem. Chyba... coś mnie opętało.

Panna Marple zastukała w okno i weszła do środka.

— Ach, to pani. To bardzo miło, że pani przyszła. Dziękuję.

— Ależ nie ma za co — odparła. — Cieszę się, że mogę pomóc. Usiądę na tym krześle, dobrze? Wygląda pani dużo lepiej, droga Molly. Bardzo się z tego cieszę.

— Czuję się już dobrze — rzekła Molly. — Całkiem dobrze. Tylko... jestem trochę śpiąca.

— Nie będę z panią rozmawiać — obiecała panna Marple. — Proszę sobie spokojnie odpoczywać, a ja zajmę się swoją robótką.

Tim Kendal posłał pannie Marple pełne wdzięczności spojrzenie i wyszedł. Starsza pani usadowiła się na krześle.

Molly leżała na lewym boku. Miała na wpół otępieły, zmęczony wzrok. Odezwała się bardzo cichym głosem, prawie szeptem:

— Jest pani bardzo miła. Ja... chyba się prześpię. Obróciła się na drugi bok i

zamknęła oczy. Jej oddech stał się bardziej regularny, ale wciąż daleko mu było do normalności. Panna Marple, która miała doświadczenie w pielęgnowaniu chorych, odruchowo wygładziła prześcieradło po swojej stronie i włożyła je pod materac.

Kiedy to robiła, wyczuła ręką, że pod materacem leżało coś twardego i prostokątnego.

Dosyć zdziwiona chwyciła ten przedmiot i wyciągnęła go. Była to książka. Staruszka rzuciła szybkie spojrzenie w stronę dziewczyny.

Ale Molly leżała zupełnie spokojnie. Widocznie usnęła. Panna Marple otworzyła książkę.

Była to nowa publikacja na temat chorób nerwowych. Książka otworzyła się sama na stronie, gdzie znajdował się opis symptomów manii prześladowczej i różnych innych objawów schizofrenii oraz pokrewnych dolegliwości. Nie była to książka naukowa, lecz taka, którą mógł zrozumieć każdy laik. Twarz panny Marple poważniała w miarę czytania. Po chwili zamknęła książkę i znieruchomiała, zamyślona. Potem pochyliła się i ostrożnie umieściła książkę pod materacem, tam gdzie ją znalazła.

Potrząsnęła głową, lekko zakłopotana. Bezszelestnie wstała z krzesła. Podeszła kilka kroków w stronę okna i obróciła szybko głowę przez ramię. Molly miała oczy otwarte, ale gdy tylko panna Marple obróciła się, powieki dziewczyny zamknęły się.

Przez moment staruszka nie wiedziała, czy spojrzenie Molly nie było jedynie wytworem jej wyobraźni. Czyżby Molly tylko udawała, że śpi? Całkiem łatwo można było to wyjaśnić. Dziewczyna zapewne bała się, że panna Marple zacznie z nią rozmawiać, kiedy przekona się, że ona nie śpi. Tak. Tak właśnie mogło być.

Czy w tym spojrzeniu Molly kryła się przebiegłość? Czy wyczytała tam coś wyraźnie nieprzyjemnego? „Nigdy nic nie wiadomo — pomyślała panna Marple —

naprawdę nie wiadomo”.

Postanowiła, że spróbuje porozmawiać z doktorem Grahamem, jak tylko będzie to możliwe. Usiadła z powrotem na swoim krześle przy łóżku. Po kilku minutach doszła do wniosku, że Molly rzeczywiście zasnęła. Nikt nie potrafiłby leżeć tak spokojnie i oddychać tak równomiernie. Panna Marple ponownie wstała. Dziś znów miała na sobie płócienne buty na gumie — może niezbyt eleganckie, ale stosowne w tym klimacie i bardzo wygodne.

Obeszła cicho sypialnię, zatrzymując się przy dwóch oknach, które wychodziły na różne strony świata. Teren wokół hotelu wydawał się cichy i opuszczony. Panna Marple odwróciła się. Właśnie zastanawiała się, czy z powrotem zająć swoje miejsce, kiedy wydało jej się, że słyszy jakiś słaby dźwięk na zewnątrz. Czyżby szuranie czyichś butów na werandzie? Zawahała się, a potem zbliżyła się do okna i uchyliła je trochę szerzej. Wychodząc, odwróciła głowę w stronę pokoju.

— Nie będzie mnie tylko chwilkę, kochanie — powiedziała. — Pójdę do mojego bungalowu, aby poszukać wzoru robótki. Byłam pewna, że wzięłam go ze sobą.

Zostanie pani sama, póki nie wrócę, dobrze? — Następnie obróciła się i pokiwała głową. — Zasnęła, biedactwo. To dobrze.

Ruszyła ostrożnie wzdłuż werandy, zeszła po schodach i zawróciła szybko w kierunku ścieżki. Gdyby ktoś przechodził w tej chwili między krzewami hibiskusa, zdziwiłby się, widząc pannę Marple, która energicznie przecina klomb kwiatów, okrąża bungalow i wchodzi do niego ponownie tylnymi drzwiami. Prowadziły one prosto do małego pokoiku, który Tim wykorzystywał czasami jako prywatne biuro. Z

pomieszczenia przechodziło się do salonu.

Zasłony w salonie były częściowo zaciągnięte, aby pokój się nie nagrzewał. Panna Marple wsunęła się za jedną z nich i czekała. Z tego miejsca miała dobry widok na każdego, kto zbliżyłby się do sypialni Molly. Minęło cztery czy pięć minut, zanim kogoś ujrzała.

Pojawiła się postać ubrana w schludny, biały uniform. Po schodach werandy wchodził Jackson. Zatrzymał się chwilę na werandzie, potem zdawało się, jakby zastukał delikatnie w przeszklone drzwi. Panna Marple nie słyszała, aby ktoś odpowiedział. Jackson rozejrzał się ukradkiem, a następnie wśliznął do środka przez uchylone drzwi. Panna Marple przesunęła się w stronę drzwi, które prowadziły do znajdującej się obok łazienki. Uniosła brwi ze zdziwienia. Zastanawiała się chwilę, potem przeszła przez korytarz i weszła do łazienki drugim wejściem. Jackson, który oglądał szczegółowo zawartość półki wiszącej nad umywalką, odwrócił się. Wydawał

się zaskoczony, co było całkiem zrozumiałe.

— Ach! — zawołał. — Nie wiedziałem...

— Pan Jackson — powiedziała panna Marple, zdumiona.

— Myślałem właśnie, że gdzieś tutaj panią znajdę — stwierdził Jackson.

— Szuka pan czegoś? — zapytała panna Marple.

— Właściwie — przyznał Jackson — sprawdzałem, jakiego kremu do twarzy używa pani Kendal.

Panna Marple doceniła, że Jackson przyłapany ze słoiczkiem kremu do twarzy w ręku, okazał się na tyle sprytny, że natychmiast o tym wspomniał.

— Ładny zapach — zauważył, pociągając nosem. — Dosyć dobry gatunek. Tańsze kremy nie zawsze są odpowiednie dla każdej cery i można po nich dostać wysypki. To samo dotyczy pudru do twarzy.

— Wygląda, na to, że sporo pan na ten temat wie — rzekła panna Marple.

— Pracowałem kiedyś w branży farmaceutycznej — wyjaśnił. — Można się tam wiele nauczyć o kosmetykach. Wkładają krem w fantazyjny słoiczek, opakowują elegancko... to zdumiewające, jak nabierają kobiety.

— Czy dlatego właśnie pan... — panna Marple przerwała mu ostrożnie. — Ależ nie. Nie przyszedłem tutaj, aby rozmawiać o kosmetykach — przyznał Jackson.

„Nie miałeś zbyt wiele czasu na wymyślenie kłamstwa — pomyślała panna Marple. — Ciekawe, czy ci się to udało”.

— Właściwie — tłumaczył się — pani Walters któregoś dnia pożyczyła pani Kendal swoją szminkę. Przyszedłem po nią. Stukałem w szybę i zobaczyłem, że pani Kendal mocno śpi, więc pomyślałem, że nic się nie stanie, jeśli wejdę do łazienki i sam poszukam tej szminki.

— Rozumiem — odrzekła panna Marple. — I znalazł ją pan?

Jackson potrząsnął głową.

— Może trzyma ją w którejś torebce — odpowiedział swobodnie. — Nie będę się tym przejmował. Pani Walters nie zależało na tej szmince tak bardzo. Tylko raz o niej wspomniała. — Kontynuował przegląd kosmetyków. — Nie ma ich zbyt wiele, prawda? Ale nie są przecież potrzebne w jej wieku. Pani Kendal ma ładną, naturalną cerę.

— Zapewne patrzy pan na kobiety w zupełnie inny sposób niż pozostali mężczyźni

— zauważyła panna Marple, uśmiechając się uprzejmie.

— Tak. Przypuszczam, że każdy zawód może zmienić sposób patrzenia na innych.

— Dobrze zna się pan na lekach?

— O tak. Miałem okazję wiele się o nich dowiedzieć. Moim zdaniem jest ich dzisiaj za dużo. Zbyt wiele środków uspokajających, wzmacniających, a także narkotyków. Dobrze chociaż, jeśli są przepisywane na receptę, ale wiele specyfików można dostać bez recepty. Niektóre z nich mogą być niebezpieczne.

— Tak, chyba tak — zgodziła się panna Marple.

— Nie pozostają one bez wpływu na zachowanie. Na przykład, stąd się bierze młodzieńcza histeria? Rzadko powstaje naturalnie, dzieciaki zażywają po prostu różne środki. Och, nie ma w tym nic niezwykłego. Tak się dzieje od wieków. Na Wschodzie podobno (sam nigdy tam nie byłem) zdarzało się wiele dziwnych rzeczy. Byłaby pana zdziwiona, słysząc na przykład, jakie narkotyki podawały żony swoim mężom w Indiach. Dawniej młode dziewczyny musiały niestety poślubiać starych mężczyzn.

Nie chciały się ich pozbywać, ponieważ po śmierci mężów zostałyby spalone na stosie pogrzebowym albo w najlepszym wypadku traktowane przez rodzinę jak wyrzutki.



Tak, ciężkie było życie hinduskich wdów. Mogły jednak podtrzymywać starzejących się mężów dzięki narkotynom. Podając im środki halucynogenne, robiły z nich półimbecylów i prędzej czy później doprowadzały ich do obłądu. — Potrzęsnała

głową. — Działo się wiele złych rzeczy. Po chwili mówił dalej:

— Albo czarownice. Można się dowiedzieć wielu interesujących rzeczy o czarownicach. Dlaczego zawsze tak szybko przyznawały się do czarów, do tego, że latały na miotłach na sabaty czarownic?

— Torturowano je — powiedziała panna Marple.

— Nie zawsze — stwierdził Jackson. — Oczywiście tortury także odgrywały dużą rolę. Ale często wyznawały wszystko, zanim jeszcze wspomniano o torturach.

Właściwie nie tyle wyznawały winy, co przechwalały się swymi wyczynami. Podobno nacierały się specjalną maścią. Nazywały to „namaszczaniem”. Niektóre preparaty, jak belladonna, atropina i tym podobne, kiedy zostaną wtarte w skórę, wywołują halucynacje. Człowiekowi wydaje się, że lewituje, czyli unosi się w powietrzu.

Biedaczki, myślały, że robiły to naprawdę.

A rytualni zabójcy? Na przykład w średniowiecznym Libanie lub Syrii podawano im konopie indyjskie, po których mieli wizje rajy i rajskich hurys. Obiecywano im po śmierci taką wieczną szczęśliwość, ale, aby ją osiągnąć, musieli dokonywać rytualnych mordów. Och, ja nie zmyślam, tak się właśnie działo. Osiągano te cele różnymi metodami.

— Przede wszystkim osięgano je, ponieważ ludzie są niezwykle łatwowierni —

zauważyła panna Marple.

— No cóż, sędzę, że można i tak to określić.

— Ludzie wierzą w to, co usłyszą — dodała panna Marple. — Zresztą wszyscy jesteśmy skłonni wierzyć w różne rzeczy. — Potem zmieniła ton i spytała ostro:

— Kto panu opowiadał o tych hinduskich mężach, których odurzano bieluniem? —

I zanim odpowiedział dorzuciła: — Może major Palgrave?

Jackson był lekko zaskoczony.

— No tak, właściwie to on. Opowiadał mi dużo takich historii. Oczywiście wiele z tych rzeczy musiało dziać się dawno temu, ale wydawało się, że doskonale o wszystkim wiedział.

— Majorowi Palgrave wydawało się, że dużo wie — stwierdziła panna Marple. —

Ale często w jego opowieściach pojawiały się nieścisłości. — Zamyślona, potrząsnęła głową. —

Major Palgrave — rzekła — powinien się z wielu rzeczy wytłumaczyć.

Z sypialni dobiegł jakiś odgłos. Panna Marple natychmiast odwróciła głowę i szybko wyszła z łazienki. W pokoju znajdowała się Lucky Dyson.

— Ja... Nie wiedziałam, że pani tu jest — powiedziała Lucky.

— Wstąpiłam tylko na chwilę do łazienki — oświadczyła panna Marple z godnością i typową wiktoriańską rezerwą.

Jackson, który był w łazience, uśmiechnął się. Wiktoriańska skromność zawsze go bawiła.

— Zastanawiałam się właśnie, czy nie chciałaby pani, abym posiedziała trochę przy Molly — wyjaśniła Lucky. Spojrzała w stronę łóżka. — Zasnęła, prawda?

— Chyba tak — odparła panna Marple. — Ale naprawdę nie ma potrzeby mnie zastępować. Proszę iść i dobrze się bawić, moja droga. Myślałam, że pojechała pani na wycieczkę.

— Wybierałam się — przyznała — ale okropnie rozboleła mnie głowa i w ostatniej chwili zrezygnowałam. Pomyślałam więc, że mogłabym się także na coś przydać.

— To bardzo miło z pani strony — stwierdziła panna Marple, zajęła swoje miejsce przy łóżku i zabrała się za robótkę — ale jest mi tu bardzo dobrze.

Lucky przez moment się wahała, potem odwróciła się i wyszła. Panna Marple odczekała chwilę, a następnie podeszła na palcach do łazienki. Jackson już wyszedł, zapewne tylnymi drzwiami. Panna Marple wzięła słoiczek kremu do twarzy, który on oglądał, i schowała do kieszeni.

## **Rozdział dwudziesty drugi**

### **Mężczyzna w jej życiu?**

Swobodna, przypadkowa pogawędka z doktorem Grahamem okazała się wcale nie tak łatwa do zrealizowania, jak spodziewała się panna Marple. Zależało jej przede wszystkim na tym, żeby nie mówić niczego wprost. Nie chciała bowiem, aby przywiązywał nadmierną wagę do pytań, które zamierzała mu zadać.

Tim wrócił już, aby zaopiekować się Molly. Panna Marple ustaliła, że zastąpi go w czasie kolacji, kiedy będzie potrzebny w restauracji. Tim zapewnił ją, że zarówno pani Dyson jak i pani Hillingdon zaoferowały swoją pomoc. Staruszka oświadczyła jednak stanowczo, że młode kobiety powinny wypocząć i rozerwać się, ona natomiast woli wcześniej zjeść jakiś lekki posiłek. W tej sytuacji wszyscy będą zadowoleni. Tim jeszcze raz serdecznie jej podziękował.

Panna Marple, krążąc dosyć niepewnie wokół hotelu i ścieżki, która prowadziła do różnych bungalowów, między innymi do domku doktora Grahama, próbowała ustalić dalszy plan działania. Po jej głowie kłębiły się różne sprzeczne i niejasne myśli, a panna Marple wyjątkowo nie lubiła takich myśli.

Cała sprawa powoli się wyjaśniała. Zaczęło się od tego pożałowania godnego zamięłowania majora Palgrave'a do historyjek. Jego opowieści zostały z pewnością podsłuchane i spowodowały, że został w przeciągu kolejnej doby zamordowany. To wydawało się panie Marple zupełnie jasne. Potem jednak, musiała przyznać, pojawiały się same trudności. Wątki prowadziły równocześnie w zupełnie różnych kierunkach. Stwierdziła, że nie może wierzyć w ani jedno słowo, które słyszała, nie może nikomu ufać, poza tym wielu jej rozmówców przypominało jej pewne osoby z St. Mary Mead. Tylko co z tego wynikało?

Coraz intensywniej myślała o kolejnej ofierze. Ktoś miał zostać zamordowany i ona wyraźnie czuła, że powinna doskonale wiedzieć kto. Pojawiła się też jakaś nowa informacja. Ale co to było? Czyżby coś usłyszała? A może zauważyła? To miało związek z czyjąś wypowiedzią. Czyją? Joan Prescott? Siostra pastora mówiła wiele rzeczy o różnych ludziach. Czy chodziło o jakiś skandal lub plotkę? Co dokładnie powiedziała Joan Prescott?

Gregory Dyson i Lucky... Myśli panny Marple zaczęły krążyć wokół Lucky.

Intuicja mówiła jej, że Lucky na pewno była zamieszana w śmierć pierwszej żony pana Dysona. Wszystko na to wskazywało. Czy możliwe, aby tą przyszłą ofiarą, o którą się niepokoiła, miał być Gregory Dyson? Czyżby Lucky chciała spróbować szczęścia u boku kolejnego mężczyzny i do tego potrzebna jej była nie tylko wolność, ale także pokaźny spadek, który odziedziczyłaby jako wdowa po Gregorym Dysonie?

— Ależ to wszystko tylko przypuszczenia. Wiem, że jestem głupia. Prawda jest zawsze całkiem oczywista. Aby ją odkryć, trzeba pozbyć się wszystkich zbędnych informacji, wszystkich śmieci. Za dużo śmieci, oto cały problem.

— Mówi pani sama do siebie? — zapytał Rafiel.

Panna Marple aż podskoczyła. Nie zauważyła jego nadejścia. Starszy pan szedł powoli ze swojego bungalowu w stronę tarasu, wspierany przez Esther Walters. —

Zupełnie pana nie zauważyłam — przyznała panna Marple

— Poruszała pani ustami. Jak tam pani pilne sprawy?

— Nadal domagają się rozwiązania — odrzekła. — Nie mogę tylko dostrzec tego, co najbardziej oczywiste...

— Cieszę się, że to takie proste. W każdym razie, gdyby potrzebowała pani pomocy, może pani na mnie liczyć.

Odwrócił się do Jacksona, który zbliżał się do nich.

— Jesteś wreszcie, Jackson. Gdzie się u diabła podziewałeś? Nigdy nie ma cię poblizu, kiedy jesteś potrzebny.

— Przepraszam, proszę pana.

Zręcznie wsunął ramię pod rękę pana Rafiela.

— Na taras, proszę pana?

— Do baru — polecił starszy pan. — W porządku, Esther. Możesz teraz iść i przebrać się w strój wieczorowy. Spotkamy się na tarasie za pół godziny.

Pan Rafiel i Jackson odeszli razem, a Esther Walters opadła na krzesło obok panny Marple. Delikatnie rozcierała ramię.

— Wydaje się bardzo lekki — zauważyła. — Ale teraz czuję, że zdrętwiała mi ręka. Nie widziałam pani nigdzie dzisiaj po południu.

— Rzeczywiście. Siedziałam z Molly Kendal — wyjaśniła panna Marple. — Czuje się już chyba znacznie lepiej.

— Moim zdaniem nic jej nie było — orzekła pani Walters.

Panna Marple uniosła brwi. Głos Esther był wyraźnie oschły.

— Chce pani powiedzieć, że... sądzi pani, że ta próba samobójstwa...

— Sądzę, że to nie była żadna próba samobójstwa — odparła Esther Walters. —

Ani przez chwilę nie wierzyłam, że przedawkowała tabletki, i uważam, że doktor Graham doskonale o tym wie.

— Zaintrygowała mnie pani — przyznała panna Marple. — Ale skąd to przypuszczenie?

— Och, jestem całkiem pewna, że mam rację. Takie rzeczy zdarzają się bardzo często. Zdaje się, że chodzi o to, aby zwrócić na siebie uwagę — wyjaśniła Esther.

— „Będziesz żałował, kiedy umrę?” — zacytowała panna Marple.

— Coś w tym rodzaju — zgodziła się sekretarka — chociaż nie sądzę, aby w tym przypadku była to akurat ta przyczyna. Tak postępują zwykle kobiety, którym bardzo zależy na mężach, chociaż oni są już nimi znudzeni.

— Pani zdaniem Molly Kendal nie bardzo zależy na mężu?

— A co pani myśli? — spytała Esther Walters. Panna Marple zastanowiła się.

— Przyznam, że brałam to pod uwagę — powiedziała. Po chwili milczenia dodała:

— Być może się myliłam.

Esther uśmiechała się lekko drwiąco.

— Wie pani, słyszałam trochę na ten temat. O całej historii z...

— Od panny Prescott?

— Och, nie tylko — odparła Esther. — W jej życiu był jakiś mężczyzna.

Interesowała się nim, lecz rodzina była mu przeciwna.

— Tak — rzekła panna Marple. — Też o tym słyszałam.

— Potem wyszła za Tima. Być może coś do niego czuła. Ale tamten człowiek nie dał za wygraną. Zastanawiałam się nawet, czy nie przyjechał tutaj za nią.

— Naprawdę? Ale kto to jest?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała. — Na pewno są bardzo ostrożni.

— Sądzi pani, że zależy jej na tamtym mężczyźnie? Esther wzruszyła ramionami.

— Przypuszczam, że to łajdak. Ale tacy zazwyczaj wiedzą, jak skutecznie zawrócić dziewczynie w głowie.

— Nie wie pani o nim nic bliższego? Esther potrząsnęła głową.

— Nie. Znam tylko przypuszczenia innych osób, ale na tym nie można się opierać.

Może ma żonę i dlatego jej rodzina była mu przeciwna albo jest rzeczywiście łajdakiem. Może dużo pił albo złamał prawo, nie wiem. Jednak jej nadal na nim zależy. Tego jestem całkowicie pewna.

— Coś pani zobaczyła albo usłyszała? — próbowała zgadnąć panna Marple.

— Wiem, co mówię — oświadczyła Esther. Jej głos brzmiał twardo i nieprzyjaźnie.

— A te morderstwa... — zaczęła panna Marple.

— Nie może pani o nich zapomnieć? — zapytała Esther. — Teraz jeszcze zawraca pani głowę panu Rafielowi. Niech pani da sobie z tym spokój. Nigdy nie dowie się pani niczego więcej. Jestem pewna.

Panna Marple popatrzyła na nią.

— Pani chyba coś wie, prawda? — zapytała.

— Tak. Myślę, że wiem. Jestem prawie pewna.

— Czy nie powinna więc pani powiedzieć komuś o tym?

— Dlaczego miałabym mówić? Jaki byłby z tego pożytek? Nie potrafiłabym niczego udowodnić. Zresztą, co by to zmieniło? Łatwo się dzisiaj wykręcić od zarzutów. Nazywają to ograniczoną poczytalnością. Człowiek spędza kilka lat w więzieniu, a potem wychodzi na wolność. Zawsze tak jest.

— Ale założmy, że pani nic nie zrobi i w wyniku tego zostanie zamordowany ktoś jeszcze. Pojawi się kolejna ofiara...

Esther potrząsnęła głową z przekonaniem.

— To się nie zdarzy — powiedziała.

— Nie może mieć pani pewności.

— Jestem pewna. W każdym razie, nie widzę kto mógłby zostać... — Zmarszczyła brwi. — Zresztą może to jest ograniczona poczytalność — dodała, trochę zaprzeczając samej sobie. — Zapewne nic nie można poradzić, jeśli ktoś jest nie zrównoważony psychicznie... Och, nie wiem! Najlepiej by się stało, gdyby ona wyjechała z kim chce, a my zapomnielibyśmy o wszystkim.

Spojrzała na zegarek, wydała okrzyk przerażenia i wstała.

— Muszę się przebrać — rzekła.

Panna Marple pozostała na miejscu i patrzyła za odchodzącą. Pomyślała, że zaimki zawsze bywały zagadkowe. Osoby pokroju Esther Walters szczególnie często używały zaimków na chybił trafił. Czyżby Esther Walters była z jakiegoś powodu przekonana, że za śmierć majora Palgrave'a i Victorii odpowiedzialna jest kobieta? Tak to zabrzmiało. Staruszka zamyśliła się.

— Ach, panna Marple! Siedzi pani samotnie i nawet nie robi na drutach?

Był to doktor Graham, na którego czekała tak długo i bezowocnie. Teraz jednak zjawił się, a nawet usiadł z własnej inicjatywy. Miał wyraźnie ochotę na kilkuminutową pogawędkę. Panna Marple wiedziała, że doktor nie zostanie długo. On także chciał się przebrać do kolacji, którą jadał raczej wcześniej. Powiedziała mu, że tego popołudnia siedziała przy łóżku Molly Kendal.

— Aż trudno uwierzyć, że ona tak szybko odzyskuje siły — zauważyła. — No cóż

— odrzekł lekarz — wcale mnie to nie dziwi. Nie zażyła zbyt wielkiej dawki.

— Och, słyszałam, że zażyła około pół buteleczki tabletek.

Doktor Graham uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie — wyjaśnił. — Nie sądzę, żeby połknęła aż tyle. Przypuszczam, że zamierzała zażyć wszystkie tabletki, lecz w ostatnim momencie część z nich wyrzuciła. Ludziom się tylko wydaje, że chcą popełnić samobójstwo. W rezultacie nie zawsze zażywają całą planowaną dawkę. To zwykle nie jest zamierzone oszustwo, raczej podświadoma troska o siebie.

— Może być to także zamierzone. Myślę o sytuacji, kiedy ktoś chce zwrócić na siebie uwagę...

— Może i tak być — przyznał doktor Graham.

— Gdyby Molly na przykład pokłóciła się z Timem?

— Wie pani, że oni się nie kłócą. Wyglądają na szczęśliwą parę... Choć to zawsze może się zdarzyć. Nie sądzę, aby teraz coś Molly groziło. Mogłaby naprawdę wstać i zająć się codziennymi obowiązkami. Ale z drugiej strony bezpieczniej, aby została jeden czy dwa dni w łóżku...

Podniósł się, skinął pogodnie głową i poszedł w stronę hotelu. Panna Marple posiedziała na swoim miejscu jeszcze chwilę.

Przez głowę przelatywały jej różne myśli. Przypomniała sobie o książce pod materacem Molly, o momencie, w którym Molly udawała, że śpi, oraz o tym, co mówiła Joan Prescott, a potem Esther Walters.

Następnie wróciła do samego początku — do majora Palgrave'a. Jakaś myśl kołatała jej się po głowie. Miało to związek z majorem. Usiłowała sobie coś o nim przypomnieć. Gdyby tylko potrafiła...

## **Rozdział dwudziesty trzeci**

### **Dzień ostatni**

„Poranek i wieczór. Nadszedł dzień ostatni” — powiedziała do siebie panna Marple.

Potem lekko zakłopotana, wyprostowała się na krześle. Przed chwilą zasnęła. To niewiarygodne, ponieważ orkiestra nadal grała. Każdy, kto potrafi zdrzemnąć się przy tej głośnej muzyce... No cóż, to by oznaczało, że zaczęła przyzwyczajać się do tego miejsca!

Jakie słowa wypowiedziała przed chwilą? To był jakiś cytat, który przekreśliła.

„Dzień ostatni?” Nic, to powinno brzmieć: „dzień pierwszy”. A jednak nie jest on pierwszy, a przypuszczalnie także nie ostatni.

Ponownie wyprostowała się na krześle. Prawda była taka, że czuła się śmiertelnie zmęczona. Ten niepokój, to poczucie winy, że czegoś nie dopatrzyła, że działała nieskutecznie. Znowu powróciło nieprzyjemne wspomnienie — tego dziwnego, przebiegłego spojrzenia, które posłała jej Molly spod półprzymkniętych powiek. Co tej dziewczynie chodzi po głowie?

Jakże inne wszystko się z początku wydawało. Tim i Molly Kendalowie — takie szczęśliwe, młode małżeństwo. Hillingdonowie — mili, sympatyczni, dobrze wychowani ludzie. Wesoły i serdeczny Greg Dyson oraz zawsze zadowolona, gadatliwa i trochę męcząca Lucky. Czwórka osób, które doskonale się ze sobą rozumiały. Pastor Prescott — taki przyjazny, życzliwy człowiek. Joan Prescott

—

trochę złośliwa, ale bardzo miła osoba. Miłe starsze panie muszą mieć swoją rozrywkę w postaci plotek. Wiedzą dobrze, co się wokół nich dzieje — kiedy dwa plus dwa równa się cztery, a kiedy pięć! Takie osoby nikomu nie robią krzywdy.

Obmówią człowieka, ale zawsze pomogą mu w nieszczęściu. Wreszcie pan Rafiel — osobowość, człowiek z charakterem. Takich ludzi się nie zapomina.

Ale panna Marple uważała, że wie o nim coś jeszcze. Sam mówił, że lekarze nigdy nie robili mu zbyt wielkich nadziei. Jednak teraz ich diagnozy były gorsze niż zwykle.

Pan Rafiel wiedział, że jego dni są policzone. Czy mając taką świadomość, mógł postępować inaczej? Panna Marple zastanowiła się. Pomyślała, że to może mieć znaczenie.

Co on takiego powiedział? Mówił wtedy trochę zbyt głośno i zbyt pewnie. Panna Marple była bardzo wyczulona na ton głosu. W swoim życiu wysłuchiwała tylu ludzi.

Pan Rafiel powiedział jej coś niezgodnego z prawdą.

Rozejrzała się dookoła. Wieczorne powietrze przesiąknięte delikatnym zapachem kwiatów, stoliki oświetlone lampkami, uroczo ubrane panie: Evelyn w ciemnej kreacji w kolorze indygo z białym wzorem, Lucky — w wąskiej, białej sukni, ze lśniącoymi, złotymi włosami. Wszyscy wydawali się tego wieczoru weseli i pełni życia. Nawet Tim Kendal był uśmiechnięty. Mijając jej stolik, odezwał się:

— Nie wiem, jak pani dziękować za pomoc. Molly już prawie całkiem wydobrzała.

Doktor mówi, że jutro może już wstać z łóżka.

Panna Marple uśmiechnęła się i rzekła, że miło jej to słyszeć. Jednak ten uśmiech kosztował ją sporo wysiłku. Była naprawdę zmęczona...

Wstała i poszła powoli w kierunku swego bungalowu.

Chciałaby kontynuować rozmyślenia, zgadywać, gromadzić fakty, przypominać sobie różne słowa i spojrzenia. Ale nie była w stanie tego robić. Jej zmęczony umysł

zbuntował się i oświadczył:

— Musisz położyć się spać!

Panna Marple zdjęła ubranie i położyła się do łóżka. Przeczytała kilka wersetów z dzieła świętego Tomasza a Kempis, które trzymała przy łóżku, a potem zgasiła światło. W ciemności zaczęła się modlić. Człowiek nie może zrobić wszystkiego sam.

Potrzebuje pomocy.



— Tej nocy nic się nie wydarzy — mruknęła, pełna nadziei.

\*

Panna Marple obudziła się nagle i usiadła na łóżku. Czuła, jak mocno bije jej serce.

Zapaliła światło i spojrzała na zegarek przy łóżku: druga w nocy. Była druga w nocy, a na zewnątrz coś się działo. Wstała, nałożyła szlafrok i pantofle, owinęła głowę wełnianym szalem i wyszła się zorientować. Ujrzała ludzi z latarkami. Między nimi znajdował się pastor Prescott, więc podeszła do niego.

— Co się stało? —

— O, panna Marple? Chodzi o panią Kendal. Kiedy jej mąż obudził się, zobaczył, że wstała z łóżka i wymknęła się z domu. Szukamy jej.

Pospieszył naprzód. Panna Marple ruszyła za nim trochę wolniejszym krokiem.

Gdzie poszła Molly i dlaczego? Czy zrobiła to z premedytacją? Czy zaplanowała, że wymknie się, kiedy tylko przestanie być pilnowana i kiedy jej mąż mocno zaśnie?

Panna Marple stwierdziła, że to dosyć prawdopodobne. Ale jaki był powód? Czy może — jak sugerowała Esther Walters — chodziło o jakiegoś innego mężczyznę?

Jeśli tak, kim był ten mężczyzna? A może Molly planowała coś znacznie gorszego...

Panna Marple szła przed siebie, rozglądając się i przeszukując krzewy. Nagle usłyszała słabe nawoływania:

— Tutaj... Tędy...

Głos dobiegał spoza terenu hotelowego. To musiało być gdzieś niedaleko małej zatoczki, która wpadała do morza. Panna Marple ruszyła w tamtym kierunku tak szybko, jak tylko mogła.

W rzeczywistości szukających nie było tak wielu, jak jej się z początku wydawało.

Większość gości nadal spała w swoich bungalowach. Panna Marple ujrzała grupkę stojącą na brzegu zatoki. Ktoś biegł w tamtym kierunku i pchnął staruszkę, prawie ją przewracając. Był to Tim Kendal. W chwilę później usłyszała jego krzyk:

— Molly! Mój Boże, Molly!

Po minucie czy dwóch pannie Marple udało się dołączyć do grupki. Był tam jeden z kubańskich kelnerów, Evelyn Hillingdon i dwie miejscowe dziewczyny. Rozstąpili się, aby przepuścić Tima. Panna Marple nadeszła, kiedy pochylał się nad wodą.

— Molly! — Osunął się powoli na kolana.

Panna Marple dokładnie widziała ciało dziewczyny na dnie zatoczki. Twarz znajdowała się pod powierzchnią wody, złote włosy rozsypały się na bładozielonym, haftowanym szalu, który okrywał ramiona. Leżała wśród liści i sitowia. Przypominało to trochę scenę z Hamleta z Molly w roli Ofelii.

Kiedy Tim wyciągnął rękę, aby dotknąć dziewczyny, w spokojnej pannie Marple obudził się zdrowy rozsądek.

Przejęła dowodzenie i odezwała się ostrym, nie znoszącym sprzeciwu głosem:

— Nich pan jej nie dotyka! — powiedziała. — Nie wolno niczego ruszać.

Tim podniósł głowę i popatrzył na nią oszołomiony.

— Ale ja muszę... To przecież Molly. Muszę... Evelyn Hillingdon dotknęła jego ramienia.

— Ona nie żyje, Tim. Nie ruszałam jej, tylko zbadałam puls.

— Nie żyje? — powtórzył Tim z niedowierzaniem. — Nie żyje... To znaczy, że się utopiła?

— Obawiam się, że tak. Na to wygląda.

— Ale dlaczego? — wybuchnął młody człowiek. — Dlaczego? — krzyczał. —

Była dzisiaj rano taka szczęśliwa. Rozmawialiśmy o tym, co będziemy robić jutro.

Dlaczego znów zawładnęło nią to okropne pragnienie śmierci? Dlaczego wykradła się w środku nocy, uciekła i utopiła? Jaka była przyczyna jej rozpaczki, jakie dotknęło ją nieszczęście? Dlaczego nie mogła mi o tym powiedzieć?

— Nie wiem, mój drogi — rzekła Evelyn łagodnie. — Nie wiem.

— Ktoś powinien sprowadzić doktora Grahama — oświadczyła panna Marple. —

Trzeba też zadzwonić na policję.

— Policję? — Tim zaśmiał się gorzko. — Co oni mogą tu pomóc?

— Policja musi stwierdzić, że to było samobójstwo — wyjaśniła starsza pani.

Tim podniósł się powoli na nogi.

— Pójdę po doktora Grahama — powiedział z wysiłkiem. — Może chociaż teraz na coś się przyda.

Ruszył niepewnym krokiem w stronę hotelu. Evelyn Hillingdon i panna Marple stały obok siebie i patrzyły na zwłoki dziewczyny. Evelyn potrząsnęła głową.

— Za późno. Jest zupełnie zimna. Nie żyje od co najmniej godziny. Co za tragedia!

Oni dwoje wydawali się tacy szczęśliwi. Ale przypuszczam, że ona zawsze była niezrównoważona.

— Nie — stwierdziła panna Marple. — Nie sądzę, aby była niezrównoważona.

Evelyn popatrzyła na nią pytająco.

— Co pani ma na myśli?

Księżyc wyłonił się nagle zza chmury. Jego srebrzysta poświata padła na rozsypane włosy Molly...

Panna Marple wydała okrzyk. Pochyliła się, przyjrzała uważnie, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła złotych włosów dziewczyny. Odezwała się do Evelyn, a jej głos zabrzmiał zupełnie inaczej:

— Myślę, że powinniśmy się upewnić.

Evelyn Hillingdon popatrzyła na nią zaskoczona.

— Sama pani powiedziała Timowi, że nie wolno niczego dotykać.

— Wiem. Ale wtedy nie świecił księżyc i nie widziałam, że...

Wskazała palcem. Następnie bardzo delikatnie dotknęła jasnych włosów i rozdzieliła je, ukazując odrosty...

— To Lucky! — zawołała głośno Evelyn. Po chwili powtórzyła:

— Nie Molly... tylko Lucky. Panna Marple skinęła głową.

— Ich włosy były prawie tego samego koloru. Ale Lucky miała ciemne odrosty, ponieważ farbowała włosy.

— Ale ona ma na sobie szal Molly...

— Bardzo jej się podobał. Słyszałam, jak mówiła, że chciałby mieć taki —

wyjaśniła starszka. — Widocznie sobie kupiła.

— A więc dlatego zostaliśmy wprowadzeni w błąd... Evelyn przerwała, napotkawszy spojrzenie panny Marple.

— Ktoś musi powiadomić jej męża — powiedziała starsza pani.

Zapadała chwila ciszy, potem Evelyn odrzekła:

— Dobrze, zrobię to.

Odwróciła się i zniknęła wśród palm. Panna Marple stała przez moment bez ruchu, a następnie lekko odwróciła głowę i odezwała się:

— Panie pułkowniku?

Edward Hillingdon wyłonił się zza drzew i stanął obok niej.

— Wiedziała pani, że tu jestem?

— Rzucił pan cień — odparła.

Po chwili milczenia pułkownik przemówił bardziej do siebie niż do niej:

— W końcu doigrała się. Lucky nie miała szczęścia...

— Zdaje się, że ucieszyła pana jej śmierć.

— Zapewne to panią zaszokuje, ale nie będę zaprzeczał. Cieszę, że ona nie żyje.

— Śmierć okazuje się często rozwiązaniem wielu problemów.

Edward Hillingdon odwrócił się powoli. Panna Marple patrzyła mu w oczy. Jej spojrzenie było spokojne i stanowcze.

— Jeśli myśli pani, że... — W jego głosie zabrzmiała groźba. Zrobił szybki krok w jej stronę.

Panna Marple powiedziała cicho:

— Za chwilę przyjdzie tu pańska żona z panem Dysonem. Albo pan Kendal z doktorem Grahamem.

Edward Hillingdon uspokoił się. Odwrócił głowę i spojrzał na martwą kobietę.

Panna Marple oddaliła się cicho. Potem przyspieszyła kroku. Zatrzymała się tuż przed swoim bungalowem.

To tutaj siedziała tamtego dnia, rozmawiając z majorem Palgravem. Tutaj szperał

on w swoim portfelu, szukając zdjęcia mordercy...

Przypomniała sobie, jak podniósł wzrok, zaczerwienił się na twarzy... „Taki wstrętny człowiek — mówiła señora de Caspearo. — Miał złe oko”.

Złe oko... oko... Oko!

## **Rozdział dwudziesty czwarty**

# Nemezis

Pan Rafael nie słyszał ani nocnego alarmu, ani odgłosów poszukiwań. Spał mocno, pochrapując cicho, kiedy ktoś chwycił go za ramiona i potrząsnął nim energicznie.

— Co jest... Co jest do diabła? — zawołał.

— To ja, panna Marple — rzekła i dodała trochę chaotycznie: — Powinam jednak powiedzieć inaczej. Zdaje się, że starożytni Grecy znali odpowiedniejsze słowo:

„Nemezis”, jeśli dobrze pamiętam.

Pan Rafael uniósł się na poduszkach najwyżej jak mógł. Wpatrywał się w nią zaskoczony. Panna Marple, która stała przed nim w świetle księżyca, z głową otuloną puszystym, jasnoróżowym wełnianym szalem, zupełnie nie przypominała postaci Nemezis.

— Więc pani jest Nemezis, tak? — zapytał pan Rafael po chwili milczenia.

— Mam nadzieję nią być. Z pańską pomocą.

— Czy mogłaby mi pani wyjaśnić, o co chodzi? Jest środek nocy.

— Uważam, że powinniśmy działać szybko. Bardzo szybko. Byłam głupia.

Wyjątkowo głupia. Powinam była wiedzieć od początku, w czym rzecz. To było takie proste.

— Co było takie proste? O czym pani mówi?

— Przespał pan wszystko — wyjaśniła. — Znaleziono kolejne zwłoki. Najpierw myśleliśmy, że to ciało Molly Kendal, ale to była Lucky Dyson. Utopiła się w zatoczce. — Lucky, tak? — powtórzył.

— Utopiła się w zatoczce? Utopiła się sama, czy ktoś jej w tym pomógł?

— Ktoś ją utopił — odrzekła panna Marple.

— Rozumiem. Przynajmniej wydaje mi się, że rozumiem. A więc dlatego pani powiedziała, że to takie proste? Greg Dyson zawsze był na początku listy podejrzanych i okazał się winny. To miała pani na myśli? A teraz obawia się pani, że się on się wykręci od odpowiedzialności?

Panna Marple wzięła głęboki oddech.

— Czy może mi pan zaufać? Musimy powstrzymać mordercę.

— Powiedziała pani chyba, że morderstwo już popełniono.

— To morderstwo było pomyłką. Dlatego w każdej chwili może zostać popełnione następne. Nie mamy czasu do stracenia. Musimy powstrzymać mordercę. Trzeba natychmiast iść.

— Łatwo pani tak mówić — stwierdził. — Powiedziała pani „my”. Co ja według pani mógłbym zrobić? Nie potrafię nawet chodzić o własnych siłach. Jak moglibyśmy razem powstrzymać mordercę? Pani ma chyba setkę na karku, a ja jestem rozpadającym się wapniakiem.

— Myślałam o Jacksonie — przyznała. — Jackson zrobi wszystko, co pan mu każe, prawda?

— Tak, robi — odpowiedział. — Zwłaszcza kiedy dodam, że mu się to opłaci.

Czy tego pani chciała?

— Tak. Niech mu pan powie, żeby poszedł ze mną i był posłuszny wszystkim moim rozkazom.

Pan Rafael przyglądał się jej przez kilka sekund. Potem oświadczył:

— Załatwione. Zdaje się, że podejmuję wielkie ryzyko. No cóż, nie pierwszy raz w życiu. Jackson!

— zawołał głośno i jednocześnie nacisnął guzik dzwonka elektrycznego, który miał pod ręką.

Nie minęło pół minuty, kiedy zjawił się Jackson. Wszedł przez drzwi prowadzące z sąsiedniego pokoju.

— Wzywał mnie pan? Czy coś się stało... — przerwał, zaskoczony widokiem panny Marple.

— Słuchaj Jackson, zrobisz, co powiem. Pójdiesz z tą damą. Zrobisz dokładnie to, co ona ci każe. Będziesz posłuszny wszystkim jej rozkazom. Zrozumiałeś?

— Ja...

— Zrozumiałeś?!

— Tak.

— Nie stracisz na tym. Zapłacę ci za fatygę.

— Dziękuję panu.

— Niech pan idzie za mną — poleciła panna Marple i odezwała się przez ramię do pana Rafaela: — Po drodze powiemy pani Walters, żeby przyszła tutaj. Niech panu pomoże wstać i przyprowadzi pana.

— Dokąd ma mnie przyprowadzić?

— To bungalowu Kendalów — wyjaśniła panna Marple. — Myślę, że Molly tam wróci.

\*

Molly wspinała się ścieżką od strony morza. Patrzyła nieruchomo przez siebie. Od czasu do czasu jej oddech przerywało ciche łkanie.

Weszła po schodach na werandę, zatrzymała się na chwile, potem pchnęła oszklone drzwi i znalazła się w sypialni. Paliło się światło, ale w pokoju nie było nikogo. Molly podeszła do łóżka i usiadła na nim. Pozostała w tej pozycji kilka minut, przykładając dłoń do czoła i marszcząc brwi.

Następnie rozejrzała się ukradkiem dookoła, wsunęła dłoń pod materac i wyciągnęła schowaną tam książkę. Pochyliła się nad nią i zaczęła przerzucać kartki, szukając czegoś. Podniosła głowę, kiedy usłyszała na zewnątrz odgłos zbliżających się szybko kroków. Gestem winowajcy schowała książkę za plecami.

Do środka wbiegł zdyszany Tim Kendal. Na jej widok odetchnął z ulgą.

— Dzięki Bogu. Gdzie byłaś, Molly? Wszędzie cię szukałem.

— Poszłam nad zatoczkę.

— Poszłaś... — przerwał.

— Tak, nad zatoczkę. Ale nie mogłam tam zostać. Nie mogłam. Ona... leżała w wodzie i... nie żyła.

— To znaczy... Myślałem, że to jesteś ty, wiesz? Dopiero przed chwilą dowiedziałem się, że to Lucky.

— Nie zabiłam jej, Tim. Naprawdę jej nie zabiłam. Jestem tego pewna. Przecież pamiętałabym, gdybym to zrobiła, prawda?

Tim osunął się powoli na łóżko.

— Co ty mówisz Molly? Nie, oczywiście, że jej nie zabiłaś! — Prawie wykrzyczał

te słowa. — Nie możesz tak myśleć! Lucky sama się utopiła. Na pewno. Hillingdon był tam w pobliżu. Leżała już wtedy z twarzą w wodzie.

— Lucky nie zrobiłaby tego. Nigdy by tego nie zrobiła. Ale ja jej nie zabiłam.

Przysięgam, że nie.

— Kochanie, oczywiście, że nie! — Tim objął ją, ale ona się wyrwała.

— Nienawidzę tego miejsca. Tu powinno być tylko słońce. Wydawało się, że tak jest. A jednak nie. Zamiast słońca, pojawił się cień... Wielki, czarny cień, który i mnie okrywa. Nie mogę się z tego cienia wydostać...

Jej głos przeszedł w krzyk.

— Cicho, Molly. Na miłość boską, cicho! — Poszedł do łazienki i wrócił z pełną szklanką. — Wypij to. Uspokoisz się.

— Nie... nie mogę niczego wypić. Za bardzo dzwonią mi zęby.

— Ależ możesz, kochanie. Usiądź na łóżku. — Objął ją ramieniem. Zbliżył szklankę do jej ust. — No już dobrze. Wypij to.

Za oknem dał się słyszeć czyjś głos.

— Jackson, idź tam — powiedziała głośno panna Marple. — Zabierz mu szklankę i nie wypuszczaj jej z rąk. Uważaj, on jest silny i na pewno zdesperowany.

Jackson charakteryzował się tym, że uwielbiał pieniądze, a tym razem zapłatę obiecał mu solidny pracodawca. Poza tym Jackson był mężczyzną o niezwyklej muskulaturze, osiągniętej dzięki długim treningom. Nie zadawał pytań, tylko działał.

Błyskawicznie przebiegł przez pokój. Jedną ręką ujął szklankę trzymaną przy ustach Molly, a drugą — unieruchomił Tima. Zręcznym ruchem wyrwał naczynie.

Tim rzucił się na niego, ale Jackson trzymał go mocno.

— Czego chcesz, do diabła? Puść mnie! Oszalałeś? Co robisz?

Tim wrywał się gwałtownie.

— Trzymaj go, Jackson! — zawołała panna Marple.

— Co się tutaj dzieje? Co się stało?

Przez oszklone drzwi wszedł pan Rafiel, podtrzymywany przez Esther Walters.

— Pyta pan, co się stało? — krzyknął Tim. — Pański człowiek oszalał. Zupełnie zwariował! To się stało. Niech pan powie, żeby mnie puścił.

— Nie! — zaprotestowała panna Marple. Pan Rafiel zwrócił się do niej.

— Mów, Nemezis — rzekł. — Musimy mieć jakiś finał.

— Byłam zupełnie głupia — zaczęła panna Marple. — Ale teraz już zmądrzałam.

Założę się o... moją nieśmiertelną duszę, że analiza płynu w szklance, który Kendal próbował dać do wypicia swojej żonie, wykaże, że zawiera śmiertelną dawkę narkotyku. To ten sam scenariusz, który pojawił się w opowieści majora Palgrave'a.

Żona w stanie depresji próbuje popełnić samobójstwo, a mąż ratuje ją na czas. Potem ona podejmuje drugą próbę, tym razem skuteczną. Oto powtarzany schemat. Major Palgrave opowiedział mi o tym i wyjął zdjęcie, następnie podniósł głowę i zobaczył...



— Ponad pani prawym ramieniem... — przerwał Rafiel.

— Nie — potrząsnęła głową. — Niczego nie zobaczył ponad moim prawym ramieniem. /

— O czym pani mówi? Powiedziała mi pani...

— Nie miałam racji. Pomyliłam się. To był głupi błąd. Wydawało mi się, że major Palgrave spojrział ponad moje prawe ramię i że coś lub kogoś tam zobaczył. On jednak nie mógł niczego widzieć, ponieważ patrzył lewym okiem, a jego lewe oko było szklane.

— Pamiętam. Faktycznie miał szklane oko — stwierdził pan Rafiel. —

Zapomniałem o tym, nie brałem tego pod uwagę. Czy chce pani powiedzieć, że niczego nie mógł zobaczyć?

— Oczywiście, że mógł — odparła. — Widział bardzo dobrze, ale tylko jednym okiem, prawym. Rozumie pan zatem, że musiał ujrzeć kogoś, kto znajdował się nie po mojej prawej, lecz po lewej stronie.

— Czy był tam ktoś?

— Tak — powiedziała. — Niedaleko siedzieli Tim Kendal i jego żona. Ich stolik stał przy dużym krzewie hibiskusa. Przeglądali właśnie rachunki. A więc major podniósł głowę, jego lewe, szklane oko patrzyło ponad moim ramieniem, ale drugim okiem zobaczył mężczyznę siedzącego na tle hibiskusa. Ujrzał tę samą co na zdjęciu twarz, najwyżej trochę starszą, na tym samym tle. Tim Kendal usłyszał opowieść majora i zobaczył, że major go rozpoznał. Dlatego oczywiście musiał go zabić.

Później musiał też zamordować Victorię, ponieważ dziewczyna widziała, jak podrzucił fiolkę z tabletkami do pokoju majora. Na początku nie pomyślała o tym, ponieważ Tim Kendal przy różnych okazjach wchodził do bungalowów gości i nie było w tym nic niezwykłego. Mógł zanieść tam coś, co major pozostawił na stoliku w restauracji. Potem jednak zastanowiła się i zadała mu kilka pytań. Musiał zatem pozbyć się dziewczyny. Ale dopiero teraz miał popełnić główne morderstwo, które planował od dawna. Specjalizował się w zabójstwach żon.

— Co za cholerna bzdura! — zawołał Tim Kendal.

Nagle rozległ się inny krzyk — gwałtowny i pełen wściekłości. Esther Walters puściła nagle pana Rafiela, niemal go przewracając i rzuciła się przez pokój. Zaczęła bezskutecznie szarpać Jacksona.

— Puść go! Zostaw! To nieprawda. Ani jedno słowo nie jest prawdziwe. Tim, kochanie, nie potrafiłbyś nikogo zabić. Wiem, że byś nie potrafił. To ta okropna dziewczyna, z którą się ożeniłeś, naopowiadała kłamstw o tobie. To nieprawda. Ani jedno słowo. Ja ci wierzę. Kocham cię i mam do ciebie zaufanie. Nigdy nie uwierzę w ani jedno słowo, ja zawsze...

Ale Tim Kendal stracił panowanie nad sobą.

— Do diabła, zamknij się, ty cholerna suko! — zawołał. — Zamknij się, dobrze?

Chcesz, żeby mnie powiesili? Zamknij swoją wielką, paskudną mordę.

— Biedna, niemądra dziewczyna — powiedział pan Rafiel miękko. — A więc tak to wyglądało?

## **Rozdział dwudziesty piąty**

### **Panna Marple wykazuje się wyobraźnią**

— A więc tak to wyglądało — powiedział pan Rafiel. On i panna Marple rozmawiali w cztery oczy.

— Miała romans z Timem Kendalem, tak?

— Sądzę, że trudno to nazwać romansem — odrzekła pruderyjna panna Marple. —

Moim zdaniem był to romantyczny związek, który miał w przyszłości zakończyć się ślubem.

— Jak to? Po śmierci jego żony?

— Nie sądzą, aby biedna Esther Walters wiedziała, że Molly ma umrzeć —

wyjaśniła panna Marple. — Myślę, że po prostu uwierzyła w historyjkę, którą opowiedział jej Tim Kendal: podobno Molly kochała kiedyś innego mężczyznę, który przyjechał za nią aż tutaj. Esther liczyła na to, że Tim się rozwiedzie. Sądzę, że to wyglądało uczciwie i przyzwoicie. No, ale była w nim bardzo zakochana...

— Cóż, można to zrozumieć. Jest przystojnym facetem. Ale dlaczego on się nią zainteresował? Wie pani?

— Pan też to wie, prawda? — zapytała panna Marple.

— Powiedzmy, że się domyślam. Ale nie rozumiem, skąd pani mogłaby o tym wiedzieć. Tym bardziej nie pojmuję, skąd dowiedział się Tim Kendal.

— Myślę, że mogłabym to wszystko wyjaśnić, wykazując się odrobiną wyobraźni, chociaż byłoby prościej, gdyby sam pan mi powiedział.

— Nie zamierzam niczego pani mówić — oświadczył Rafiel. — Pani to wyjaśni, skoro jest pani taka inteligentna.

— Cóż, wydaje się prawdopodobne — zaczęła — że pański Jackson od czasu do czasu szperał w różnych pańskich papierach, o czym zresztą już panu wspominałam.

— To bardzo prawdopodobne — przyznał Rafiel. — Ale czy nie wyjaśniłem pani, że nie dowiedział się stamtąd niczego, co mogłoby go ucieszyć? Postarałem się o to.

— Przypuszczam, że przeczytał pański testament — rzekła panna Marple.

— Ach, rozumiem. Rzeczywiście mam ze sobą kopię testamentu.

— Powiedział mi pan — oświadczyła panna Marple, jak Humpty Dumpty, głośno i wyraźnie — że nie zapisał pan Esther Walters niczego w swoim testamencie. Dał pan to do zrozumienia i jej, i Jacksonowi. Zdaje się, że w przypadku Jacksona okazało się to prawdą. Nie zapisał mu pan ani grosza, lecz Esther Walters miała odziedziczyć jakąś sumę. Nie chciał pan jednak, żeby się tego domyśliła. Czy mam rację?

— Tak, ma pani rację. Ale nie rozumiem, skąd pani o tym wiedziała.

— Domyśliłam się ze sposobu, w jaki pan o tym mówił. Bardzo pan to podkreślał

— wyjaśniła. — Nauczyłam się rozpoznawać, kiedy ktoś kłamie.

— Poddaję się — powiedział pan Rafiel. — No dobrze. Zapisałem Esther pięćdziesiąt tysięcy funtów. To miała być dla niej miła niespodzianka po mojej śmierci. Przypuszczam, że wiedząc o tym, Tim Kendal postanowił wykończyć swoją obecną żonę, podając jej sporą dawkę jakiejś trucizny, a potem ożenić się z Esther Walters i jej pięćdziesięcioma tysiącami funtów. Możliwe, że w odpowiednim czasie zamierzał się jej także pozbyć. Ale skąd się dowiedział, że ona otrzyma w spadku taką kwotę?

— Oczywiście od Jacksona — odparła. — Zaprzyjaźnili się ze sobą. Tim Kendal był dla niego uprzejmy, zapewne bez żadnego ukrytego motywu. Moim zdaniem wśród plotek, które opowiadał mu Jackson, pojawiła się informacja, że Esther Walters, niespodziewanie dla siebie samej, odziedziczy pokaźny majątek. Jackson mógł też wyznać, że on sam miał nadzieję nakłonić Esther do poślubienia go, ale jak dotąd nie udało mu się zdobyć jej przychylności. Myślę, że tak to właśnie było.

— Pani przypuszczenia zawsze wydają się bardzo prawdopodobne — zauważył pan Rafiel.

— Jednak byłam głupia — wyznała panna Marple. — Bardzo głupia. Wszystko przecież do siebie pasowało. Tim Kendal był równie sprytny, jak niegodziwy. Potrafił

bardzo zręcznie roznosić plotki. Połowa rzeczy, o których mi opowiedziano, pochodziło zapewne od niego. Krążyły pogłoski o tym, że Molly chciała poślubić nieodpowiedniego człowieka. Odnoszę jednak wrażenie, że tym nieodpowiednim młodym mężczyzną był właśnie Tim Kendal. Chociaż wówczas nie występował pod tym nazwiskiem. Rodzina Molly usłyszała o nim coś złego, na przykład, że miał

podejrzaną przeszłość. Dlatego zapalał szczerym oburzeniem i oświadczył, że nie chce zostać przedstawiony rodzinie Molly. Potem wspólnie ułożyli plan, przy czym pewnie oboje dobrze się bawili. Nadąsana dziewczyna udawała, że usycha z tęsknoty za ukochanym, aż nagle pojawił się pan Tim Kendal. Znał podobno różnych starych przyjaciół rodziny Molly, dlatego został przyjęty z otwartymi ramionami. Poza tym mógł wybić dziewczynie z głowy tamtego „poprzedniego” chłopaka. Obawiam się, że on i Molly nieźle się przy tym uśmiali. W każdym razie ożenił się z nią i jej

posagiem.

Za jej pieniądze kupił od poprzednich właścicieli ten hotel i przeprowadzili się tutaj.

Zapewne roztrwonił jej posag w krótkim czasie. Wtedy natknął się na Esther Walters i dostrzegł łatwą okazję zdobycia nowych pieniędzy.

— Dlaczego nie wykończył mnie? — zapytał pan Rafiel.

Panna Marple chrząknęła.

— Przypuszczam, że chciał najpierw być zupełnie pewny zdobycia pani Walters.

Poza tym... chciałam powiedzieć... — urwała, trochę zakłopotana.

— Poza tym wiedział, że nie będzie musiał długo czekać — dokończył pan Rafiel

— i na pewno byłoby lepiej, gdybym, przy takim majątku, umarł śmiercią naturalną.

Zgony milionerów bada się bardzo dokładnie. W odróżnieniu od zgonów zwykłych żon.— Tak, ma pan całkowitą rację. Opowiadał tyle kłamstw — ciągnęła panna Marple

— a Molly w to wierzyła. Podsunął jej książkę o zaburzeniach psychicznych, podawał

jej narkotyki, które wywoływały koszmarne sny i halucynacje. Wie pan, że ten pański Jackson zna się na tym. Rozpoznał chyba symptomy choroby Molly jako skutek zażywania narkotyków. Pewnego dnia przyszedł do jej bungalowu, aby rozejrzeć się trochę po łazience. Zainteresował się kremem do twarzy. Może skojarzył to z opowieściami o dawnych czarownicach, które podobno nacierały się maścią zawierającą belladonnę. Belladonna w kremie Molly mogła spowodować zaniki pamięci, brak poczucia czasu i sny o unoszeniu się w powietrzu. Nie dziwnego, że dziewczyna zaczęła się o siebie niepokoić. Miała wszystkie objawy choroby psychicznej. Jackson był na właściwym tropie. Może ten pomysł podsunął mu major Palgrave, opowiadając, jak hinduskie kobiety podawały swoim mężom bielun.

— Coś takiego! — zawołał pan Rafiel. — Major opowiadał takie rzeczy!

— Sprowadził śmierć na siebie — powiedziała panna Marple — i na tę biedną Victorię. Niewiele brakowało, a zginęłaby też Molly. Ale prawidłowo rozpoznał

mordercę.

— Co sprawiło, że nagle przypomniała sobie pani o jego szklanym oku? —

zainteresował się pan Rafiel.

— To zasługa señory de Caspearo. Plotła jakieś bezsensowne rzeczy o rzekomej brzydocie majora i jego „złym oku”. Wyjaśniłam jej, że ten biedny człowiek miał po prostu szklane oko i nic nie mógł na

to poradzić. Ona odparła, że on patrzył w różne strony i że miał krzywe spojrzenie. Rzeczywiście tak było. Mówiła, że to przynosi nieszczęście. Wiedziałam wtedy... byłam pewna, że usłyszałam coś ważnego.

Ubiegłej nocy, tuż po znalezieniu ciała Lucky, zrozumiałam, co to było. Wtedy zdałam sobie sprawę, że nie ma czasu do stracenia.

— Jak to się stało, że Tim Kendal zabił niewłaściwą kobietę?

— To czysty przypadek. Myślę, że miał następujący plan: przekonał wszystkich, łącznie z Molly, że dziewczyna jest niezrównoważona psychicznie. Po zaaplikowaniu jej sporej dawki narkotyku powiedział, że muszą wyjaśnić wszystkie zagadkowe morderstwa i do tego potrzebna jest jej pomoc. Ustalili, że kiedy wszyscy zasną, oboje wyjdą z domu osobno i spotkają się w umówionym miejscu nad zatoczką...

Powiedział, że wie, kto jest mordercą i że zastawią na niego pułapkę. Molly wykonała posłusznie jego polecenie, ale podany narkotyk tak ją oszołomił, że dotarła na miejsce znacznie później. Tim przybył pierwszy i zobaczył kobietę, którą wziął za Molly.

Złote włosy, bladozielony szal. Podeszedł do niej od tyłu, zasłonił usta dłonią, wepchnął ją siłą pod wodę i przytrzymał.

— Miły facet! Ale czy nie byłoby łatwiej po prostu przedawkować narkotyk?

— Tak, znacznie łatwiej. Ale to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Niech pan pamięta, że wszystkie narkotyki i leki uspokajające zostały starannie usunięte z zasięgu Molly. Gdyby więc otrzymała jakiś specyfik, to kogo w pierwszej kolejności podejrzewano by o jego dostarczenie? Oczywiście męża. Jeśli jednak w napadzie rozpaczycy wyszła z domu i utopiła się, gdy tymczasem jej niewinny małżonek smacznie spał, cała sprawa wyglądałaby na romantyczną tragedię. Nikomu by przez myśl nie przeszło, że dziewczyna mogła zostać rozmyślnie zamordowana. Poza tym

— dodała panna Marple — mordercy zawsze utrudniają sobie najłatwiejsze rzeczy.

Nie mogą się powstrzymać, aby nie opracować misternego planu.

— Mówi pani z takim przekonaniem, jakby wszystko wiedziała o mordercach.

Zatem, zdaniem pani, Tim nie wiedział, że zabił niewłaściwą osobę?

Panna Marple potrząsnęła głową.

— Nawet nie spojrzął na jej twarz, po prostu uciekł stamtąd, jak tylko mógł

najszybciej. Odczekał godzinę i zaczął organizować poszukiwania, odgrywając rolę strapionego męża.

— Ale co, u diabła, Lucky robiła nad zatoczką w środku nocy?

Panna Marple chrząknęła, lekko zakłopotana.

— Możliwe, że ona hm... czekała na kogoś.

— Na Edwarda Hillingdona?

— Ależ nie — odrzekła. — To się już skończyło. Zastanawiałam się, czy nie czekała przypadkiem na... Jacksona.

— Na Jacksona?!

— Zauważyłam, raz czy dwa, jak patrzyła na niego — mruknęła panna Marple, odwracając wzrok.

Pan Rafael zagwizdał.

— Mój Jackson uwodziciel! Nie posądzałbym go o to. Tim musiał przeżyć szok, kiedy później zorientował się, że zabił niewłaściwą kobietę.

— Tak, na pewno. Musiał być całkiem zdesperowany. Molly spacerowała gdzieś po okolicy cała i zdrowa. Jego starannie przygotowany plan, oparty na jej psychicznej niedyspozycji, nie zdałby się na nic, gdyby tylko trafiła w ręce specjalistów. Gdyby na dodatek opowiedziała, że to on wyznaczył jej spotkanie nad zatoczką, to jaki los by go spotkał? Miał tylko jedno wyjście: wykończyć Molly jak najszybciej. Istniała nadzieja, że potem wszyscy uwierzą, że oszalała Molly utopiła Lucky, a następnie, przerażona swoim czynem, odebrała sobie życie.

— I wtedy właśnie — spytał pan Rafael — postanowiła pani odegrać rolę Nemezis, tak?

Nagle odchylił się w tył i wybuchnął głośnym śmiechem.

— To cholernie dobry dowcip — powiedział. — Gdyby pani wiedziała, cóż to był

za widok! Pani w tym puszystym szalu z różowej wełny na głowie stoi w moim pokoju i oświadcza, że nazywa się Nemezis. Nigdy tego nie zapomnę!

Nadszedł

**Zakończenie**

# Molly

Nadszedł czas wyjazdu. Panna Marple czekała na samolot. Na lotnisko odprowadzała ją spora grupa osób.

Hillingdonowie wyjechali wcześniej. Gregory Dyson poleciał na którąś z wysp, a plotka głosiła, że zainteresował się jakąś wdową z Argentyny. Señora de Caspearo wróciła do Ameryki Południowej.

Molly także odprowadzała pannę Marple. Była blada i wychudzona, ale dzielnie przetrwała kolejny szok. Pan Rafiel wezwał z Anglii zaufanego człowieka i z jego pomocą dziewczyna znów zajęła się prowadzeniem hotelu.

— Praca dobrze ci zrobi — zauważył pan Rafiel. — Nie będziesz miała czasu na rozmyślenia. Zresztą to ładny hotel.

— Czy nie sądzi pan, że te morderstwa...

— Ludzie uwielbiają historie o morderstwach, które zostały już wyjaśnione —

zapewnił ją pan Rafiel. — Pracuj dalej, dziewczyno i bądź dobrej myśli. Nie przestawaj ufać mężczyznom, tylko dlatego, że spotkałaś jednego łajdaka.

— Mówi pan jak panna Marple — stwierdziła Molly. — Ciągłe mi powtarza, że pewnego dnia zjawi się „ten właściwy”.

Pan Rafiel uśmiechnął się, słysząc o kolejnym przecuciu panny Marple.

Na lotnisku oprócz Molly i pana Rafaela byli Prescottowie oraz Esther, która wydawała się teraz starsza i smutniejsza, a dla której pan Rafiel stał się wyjątkowo miły. Jackson znacznie, wyprzedził całą grupę, udając, że zajmuje się bagażem panny Marple. W ostatnich dniach był promiennie uśmiechnięty i wszyscy wiedzieli, że zarobił dużo pieniędzy.

Usłyszeli ryk silników. Na niebie pojawił się oczekiwany samolot. Wszystko odbywało się tutaj dosyć nieformalnie. Nikt nie prosił podróżnych, aby zgromadzili się przy tunelu numer 8 lub 9. Ludzie wychodzili z małego, pełnego kwiatów pawilonu wprost na płytę lotniska.

— Do widzenia, kochana panno Marple — Molly ucałowała staruszkę.

— Do widzenia. Proszę nas odwiedzić — panna Prescott uściśnęła jej serdecznie dłoń.

— Miło było panią poznać — dodał pastor. — Podobnie jak siostra, serdecznie panią zapraszam.

— Wszystkiego dobrego, proszę pani — powiedział Jackson. — Proszę pamiętać, że gdyby chciała pani skorzystać z darmowego masażu, jestem zawsze do usług.

Jedynie Esther Walters została na boku, kiedy nadszedł czas pożegnań. Pan Rafiel podszedł ostatni.

Ujął jej rękę.

— *Ave Caesar, nos morituri te salutamus* — rzekł.

— Obawiam się — odparła panna Marple — że nie znam zbyt dobrze łaciny.

— Ale to pani zrozumiała?

— Tak — odrzekła krótko. Dobrze wiedziała, co miał na myśli.

— To była wielka przyjemność, poznać pana — dodała. Potem przecięła płytę lotniska i wsiadała do samolotu.